• Rozmowa z Albinem Siwakiem o znieczulicy i budownictwie
• O czym dyskutują studenci? • Narodziny dziecka – fotoreportaż M. Zajdlera

Łódź Odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 17 (1308) ROK XXVI 23 KWIETNIA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

# Proszę wstać! Sąd idzie!

Rozmowa

z GRZEGORZEM BOŃCZĄ-MATUSZEWSKIM — ławnikiem Sądu Rejonowego Dzielnicy Łódź-Górna

**— Encyklopedyczna definicja brzmi następująco: „Ławnik ludowy — członek sądu reprezentujący czynnik społeczny w wymiarze sprawiedliwości. Ławnicy ludowi biorą udział w orzekaniu w sprawach karnych i cywilnych rozpoznawanych w I instancji na rozprawie. Są niezawiśli i mają z sędziami równe obowiązki i uprawnienia. Są wybierani na 4 lata przez rady narodowe spośród osób zgłaszanych na zebraniach w zakładach pracy, przez organizacje społeczne i zebrania wiejskie". Jak to było w pana przypadku?**

— Zostałem zgłoszony przez Związek Nauczycielstwa Polskiego. Przyjąłem to jako wyróżnienie, a jednocześnie jako ocenę mojej dotychczasowej pracy w zawodzie pedagoga. Było nas w dzielnicy 140 kandydatów, wybrano 119. Po zatwierdzeniu przez Dzielnicową Radę Narodową Łódź-Górna odbyłem kilka szkoleń specjalistycznych związanych z działalnością ławnika.

**— Którą kadencję jest pan ławnikiem?**

— Trzecią. Dokładniej: dziewiąty rok zasiadam za stołem sędziowskim.

**— Pana pierwsza sprawa?**

— Zacznę od samopoczucia. Otóż, kiedy otrzymałem zawiadomienie, by stawić się w sądzie na rozprawę, prawie zupełnie się rozkleiłem. Najgorzej było w nocy: nie mogłem usnąć, ciągle myślałem jak to będzie na rozprawie, jak sobie poradzę, jak udźwignę ciążącą na mnie odpowiedzialność. Przygotowałem jakieś karteczki, długopis, gdyż postanowiłem, że wszystko muszę notować, każde słowo, jakie padnie na sali rozpraw. Przecież mam decydować o losie innego człowieka. Rano podniecony i niespokojny przyjeżdżam do sądu I nagle grom z czystego nieba: mam sądzić swego kolegę, z którym przez 5 lat chodziłem do szkoły podstawowej! Początkowo sądziłem, że zaszedł jedynie nieprzewidziany zbieg okoliczności i człowiek z wokandy ma jedynie zbieżne imię i nazwisko z moim kolegą. Niestety. W czasie rozprawy czułem się nieswojo, choć nie wiem czy mnie poznał. Cóż mogę więcej powiedzieć? Kiedy później spotkaliśmy się w tramwaju, udał, że mnie nie widzi. Może miał żal, choć sprawa była prosta: odchodził od żony pozostawiając ją z dwojgiem dzieci. Sąd zasądził od niego na rzecz dzieci alimenty.

**— Wybiera się człowieka na funkcję ławnika, który dotąd z prawem nie miał nic wspólnego. I ten człowiek staje obok sędziego zawodowego, specjalisty. Sądzę, że w tej sytuacji niewiele pomoga dobre chęci i szczere zamiary i ławnik zapewne pozostaje przez wiele miesięcy jedynie biernym uczestnikiem narad w pokoju sędziowskim. Czy nie mam racji?**

— Nie wiem jak to jest z innymi ławnikami, ale ja nigdy nie czułem się statystą i nim być nie chciałem. Przecież przechodzimy specjalne szkolenia, a przed każdą rozprawą muszę zapoznać się z aktami. Ponadto w czasie rozprawy wysłuchujemy zarówno wypowiedzi oskarżonego, jak świadków, prokuratora i obrony. To daje nam wiedzę i argumenty przy wydawaniu wyroku.

**— Czy po dziewięciu latach zasiadania za stołem sędziowskim, można mówić o doświadczeniu?**

— Oczywiście, że można. Na początku swojej pracy jako ławnik więcej się przysłuchiwałem niż uczestniczyłem w dyskusjach. Obserwowałem. Przysłuchiwałem się jak zadają pytania sędziowie zawodowi, jak pyta prokurator a jak obrońca. To bardzo ważne. To najlepsza nauka. Jeśli więc dziewięć lat temu zadawałem pytania nieśmiało, dziś trema minęła. Dziś usiłuję by rzecz została dopowiedziana do końca, by nie pozostało ani cienia wątpliwości. Wiem, że w żadnym procesie nie ma nieważnych szczegółów, a wyjaśnienie może mieć decydujący wpływ na końcowy wyrok.

**— Czy pańskie wieloletnie doświadczenie działa na korzyść oskarżonego?**

— Po tylu latach czuję się o wiele pewniej, poznałem sporo paragrafów i wiem, że nie są to bezduszne i bezwzględne zapisy. Moje doświadczenie działa z pewnością na korzyść oskarżonego, ale i broni prawa. Po prostu nie mogę popełnić omyłki, nie mogę kierować się jedynie uczuciem czy sympatią. Rozpatruję zagadnienie na podstawie zeznań, dowodów i litery prawa Na tej podstawie wydajemy surowy, ale sprawiedliwy wyrok

**— Kto może zostać ławnikiem?**

— Ławnikiem może zostać człowiek przodujący w pracy zawodowej lub społecznej, prawego charakteru, mający ukończone 26 lat, korzystający z praw publicznych i dający rękojmię należytego wykonywania obowiązków ławnika.

**— Czy za swoją pracę ławnik otrzymuje zapłatę?**

— Jest to praca społeczna. Jedyny przywilej, to usprawiedliwienie w pracy w tym dniu, kiedy zasiada się za stołem sędziowskim. Zdarza się to co prawda raz w miesiącu, chyba, że sprawa z jakichś powodów była odraczana i ponownie wznowiona.

**— Dotąd mówimy o obowiązkach. A czy ławnik ma jakieś szczególne prawa?**

— Honor i satysfakcję.

**— I nic więcej?**

— Absolutnie Chociaż nie, ma. Gdy jadę na rozprawę otrzymuję z zakładu pracy dwa bilety tramwajowe na dojazd do sądu i na powrót.

**— Jeśli napadnie na Pana na ulicy łobuz i pobije, to czy odpowiada za pobicie ławnika czy obywatela?**

— Odpowiada za napaść na obywatela.

**— Jaka jest struktura Sądu Rejonowego?**

— W każdym z takich sądów są trzy wydziały: karny, cywilny i rodzinny. Ja jestem w wydziale karnym. Każdy z wydziałów ma swoją radę ławniczą, w skład której wchodzi sześć osób Na swoim pierwszym posiedzeniu rada wybiera swojego przewodniczącego, zastępcę i sekretarza Miałem to szczęście, że zostałem przewodniczącym Ławy Ławników przy IX Wydziale Karnym, przy Sądzie Rejonowym Łódź-Górna.

**— W ilu sprawach w ciągu tych dziewięciu lat brał pan udział?**

— W około stu.

**— Jak ludzie zachowują się przed sądem?**

— Bardzo różnie Tu pozwolę sobie na małą refleksję: jeszcze nie tak dawno gros oskarżonych stanowili ludzie w wieku dojrzałym i starsi. Dziś te proporcje się odwróciły coraz więcej młodych ludzi pojawia się na sali rozpraw w charakterze oskarżonych. Jak się zachowują? Kobiety — spokojnie, powiedziałbym, że nieraz z godnością, natomiast mężczyźni reagują spontanicznie i wybuchowo. Ich gwałtowność przejawia się w dramatycznych ruchach, rozkładaniu rąk biciu się w piersi, płaczu. Wnoszę z tego, że mężczyźni są słabsi psychicznie, mniej odporni. Młodzi natomiast

10

# ZADYMA, PUNKI! ZADYMA!

ANDRZEJ MAKOWIECKI

14

Za długim stołem usiadło ośmiu działaczy **Zrzeszenia Studentów Polskich**, którzy zjechali do klubu „Forum" z całego kraju na zaproszenie Studenckiego Radia „Żak". Przybyła także dość liczna grupa studentów z osiedla przy Al. Politechniki. Jak się już wkrótce zorientowałem byli to przeważnie działacze byłego NZS.

Zaczęło się od pytania o stosunek do stanu wojennego, zadanego wszystkim „gościom" i stanowiska sali. Odpowiedzi na pytanie prowadzącego dyskusję były różne, zaś stanowisko sali było jednoznaczne, konsekwentne i powtarzane w moją stronę kilkakrotnie, zawsze ilekroć sięgałem po długopis i notes. Chodziło o to, iż „sala" nie życzyła sobie tego, aby przebieg dyskusji był w całości, z podaniem, nazwisk relacjonowany w prasie. Powód — obawa przed ewentualnymi „represjami".

Tak więc to, co napisałem nie jest z tych względów bezstronnym zapisem dyskusji, a jedynie moją osobistą refleksją nad problemami poruszanymi w toku kilkugodzinnej wymiany poglądów. Jeśli w zapisie tym sięgam do zapamiętanych fragmentów wypowiedzi, to jedynie po to, aby zaprezentować argumenty poszczególnych stron, tj. **studentów „zza stołu" i studentów „z sali".**

## PYTANIE O STOSUNEK DO PRZESZŁOŚCI

o stosunek do 13 grudnia, to w istocie pytanie o to czego chcemy, czego potrafimy się z tej niedawnej historii nauczyć.

Jeden z dyskutantów „zza stołu" podkreślił bardzo słusznie, iż wypowiedzi formułowane dzisiaj często nie odpowiadają temu stanowi emocji, które towarzyszyły reakcjom w momen-

KAROL JÓZEF STRYJSKI

# Dialog czy suma dwu monologów?

cie, kiedy nowa „wojenna" rzeczywistość docierała do naszej świadomości. Dziś na decyzję ogłoszenia stanu wojennego patrzymy z perspektywy tych kilkunastu miesięcy, które już są naszą najnowszą historią, doświadczeń owych piętnastu miesięcy, nadziei i zawodów. Jak podkreślił ten sam młody człowiek, jeden spośród owej ósemki działaczy: **„nie wszystkie nadzieje i oczekiwania związane z ogłoszeniem stanu wojennego, tak ze strony społeczeństwa, jak i pewnie władzy są jednoznacznie oceniane".**

Inni uważali, iż stan wojenny był „po prostu **koniecznością, konsekwencją kierunku i tempa wydarzeń politycznych w kraju; uświadomieniem przegranej, utraconych nadziei na to, że uda się środkami politycznymi rozwiązać nabrzmiałe konflikty, dokonać rozstrzygnięć w rzeczowym i uczciwym dialogu".**

Były i wypowiedzi takie: **„stan wojenny, jego ogłoszenie nie było wielkim zaskoczeniem, bowiem trudno było liczyć, aby wypadki potoczyły się już wtedy inaczej".**

Ktoś inny dodał: **„przegraliśmy wszyscy, skoro do czegoś takiego, jak 13 grudnia musiało dojść. To dowodzi tego, jak wielu polityków, w tym i tych, którzy w statutach od polityki się odżegnywali nie chodziło po ziemi".**

Podkreślano jednak i to, że realizacja tego nadzwyczajnego środka „uspokojenia gorących głów Polaków" czasami tu i tam, w tym czy innym — zawiodła. Władza, szczególnie ta w głębokim terenie, nie zawsze potrafiła dotrzymać słowa. Przywoływano na pamięć przypadki swoistego rewanżyzmu, arogancji i bałaganu. Tu

5

# Podciąć korzenie znieczulicy

**Rozmowa z ALBINEM SIWAKIEM, członkiem Biura Politycznego KC PZPR, przewodniczącym Komisji Wniosków, Skarg i Sygnałów od Ludności KC PZPR.**

*— Towarzyszu Siwak, co powoduje, że ludzie piszą do Was? Przecież mamy w kraju wiele instytucji cywilnych i urzędów państwowych, w kompetencji których leży załatwianie spraw obywateli.*

— Sprawa jest jasna. Partia wzięła na swoje barki rozwiązywanie tych problemów. Społeczeństwo zauważyło, że partia nie wstydzi się, że wzięła na siebie także i nieprzyjemne, trudne sprawy. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że listy te przychodzą wręcz lawinowo, po 150—180 dziennie. Każdego dnia przyjmujemy w Komitecie Centralnym kilkadziesiąt osób. Ja, w każdy piątek, przyjmuję także około 60—80 osób, które przychodzą ze sprawami najbardziej tragicznymi. Rozmawiam wtedy z ludźmi od 8 rano do 11 w nocy. Niestety, wśród sporej części społeczeństwa panuje znieczulica, nie reagują na ludzkie krzywdy. To wszystko się nawarstwia. Często bywa tak, że jedna nie załatwiona sprawa na niższym szczeblu rzutuje na ogólną opinię, budując przekonanie, że nie ma co dochodzić swoich spraw wyżej, bo i tak się nic nie załatwi. A to nie jest prawda. Jest też sporo spraw pieniackich. I taka sprawa, nie załatwiona, bo jej przecież załatwić pozytywnie nie można, też funkcjonuje w publicznym obiegu — na niekorzyść władzy czy urzędu. A przecież średnio na 100 spraw — około 75 jest załatwionych pozytywnie, ale te pozostałe czynią więcej fermentu i zła. Rzadko natomiast ludzie, którym pomogliśmy, fakt ten podają do szerokiej wiadomości, kończąc najczęściej na podziękowaniu. Jednakże wielu ludzi mierzy własne sprawy własnymi kategoriami, zapominając, że istnieją — prawo, kodeks, przepisy stojące na straży praworządności.

Posłużę się przykładem: przyjechał rolnik i zadał mi pytanie, czy ziemia musi rodzić. Jest to oczywistość. Wówczas powiedział, że on wie, ile sprowadzamy zboża, ile inwestujemy w rolnictwo. Wszystko to prawda i rozmowa wydawała się być ciekawa i rzeczowa. Ale kiedy przystąpił do szczegółów swojej skargi, okazało się, co następuje: wojsko wybudowało, obok jego gruntów, most na rzece, niezbędny dla wioski za rzeką — liczącej 127 gospodarstw. Wojewoda, przez jego pole, wytyczył drogę od tego mostu do głównego traktu. Oczywiście dano mu z funduszu ziemi dwa razy tyle. Objął, orze, sieje, ale również orze i drogę! Stoi z widłami i nie pozwala rolnikom przejechać. Nie obchodzi go, że 127 rolników jeździ 19 km do drugiego mostu. Oczywiste jest, że tak egoistyczne traktowanie sprawy nie może mieć dla owego rolnika pozytywnego finału, więc ten, niezadowolony, powiedział wychodząc: „Prawdą jest to, co ludzie o panu opowiadają, że pan ludziom nie pomoże. A ja i tak będę dalej szukał sprawiedliwości".

Ale są i inne sprawy: na przykład ktoś ukradł coś w zakładzie pracy, naruszył dyscyplinę, za co poniósł konsekwencje. A potem przychodzi do mnie i mówi, że zrobiono mu krzywdę, bo pozbawiono źródła utrzymania. Tak, ale on nie doceniał tego źródła utrzymania. Nie pomagały rozmowy, nagany. Dopiero, jak znalazł się za bramą zakładu, przychodzi do Komitetu Centralnego i twierdzi, że stała mu się krzywda.

Jest więc, jak widać, cały szereg spraw, których nie można i nie należy załatwiać pozytywnie.

*— Powiedzieliście kiedyś, że naszą plagą jest patologia w stosunkach międzyludzkich...*

— Widzicie, kiedy zacząłem się zajmować ludzkimi sprawami, skargami, problemami, kiedy nimi wręcz przesiąknąłem, kiedy nie tylko z listów dowiaduję się o wielu problemach ludzi, ale także mówią o nich zebrani na spotkaniach, wszystko to utwierdziło mnie w przekonaniu o panującej patologii w stosunkach międzyludzkich. Faktem jest, że całe pokolenia Polaków zostały wychowane nie tak jak inne narody — w dyscyplinie, w poszanowaniu prawa, w porządku i spokoju. Nasze pokolenia, już nie będę przytaczał dlaczego, przede wszystkim biły się o swój byt. I biły się różnymi sposobami, nie zawsze zgodnie z prawem, często używając różnych posunięć i chwytów, bowiem zawsze chodziło o przetrwanie. To pozostało w nas głęboko. Dzisiaj wyrwać to z korzeniami nie jest sprawą łatwą. Ludzie się z tym zgadzają, ale kiedy jakaś sprawa ich dotyczy bezpośrednio, widzą wszystko inaczej.

Dzisiaj jednak my wszyscy, cały naród zmierzamy do podania sobie ręki. Ale kiedy obserwuję te, zakodowane w ludzkich charakterach różne sposoby walki, widzę, że to podanie ręki nie będzie łatwe. Że trudne będzie to porozumienie, takie prawdziwe, a nie to powierzchowne, z czołówek gazet. Będziemy musieli zacząć przede wszystkim od tych tajników ludzkiej duszy, trzeba będzie tłumaczyć, że to dla dobra i jednostki, i całego narodu. Ja to po prostu tak czuję.

*— Skargi dotyczą nie tylko konfliktów międzyludzkich czy rodzinnych. Wiele ich odnosi się do krzywd wyrządzanych przez ludzi zajmujących odpowiedzialne stanowiska, czy to w zakładzie pracy, czy w urzędzie.*

— Nie tylko. Są sprawy: człowiek — człowiek. Ale najwięcej jest takich, kiedy administracja krzywdzi człowieka. Na przykład — dyrektor, za krytykę usuwa pracownika, nadużywając w ten sposób swoich uprawnień. Natomiast, jeśli dyrektor wyrzucił złodzieja, pijaka — u nas taki pracownik nie znajdzie poparcia.

Są też do nas kierowane sprawy obejmujące swoją skalą całe województwo, duży zakład pracy. Nie będę gołosłownym i podam przykład: przyjechała do nas delegacja załogi Hamowni Silników Samolotowych. W zakładzie tym ludzie, z powodu nadmiernego natężenia hałasu, po 10—15 latach tracą słuch. Przyjechali z prośbą o wprowadzenie im 6-godzinnego dnia pracy, w czasie którego wykonywano by te same zadania, a ludzie przebywaliby w natężeniu decybeli 6, a nie 8 godzin. Postulat załogi nie znalazł poparcia w administracji zakładu. Tego rodzaju problemy trzeba rozwiązywać, ale była to sprawa wyjątkowa. Nie będę tu wyjaśniał szczegółów.

Jest też kilka tysięcy spraw, będących pozostałością ostatniego czasu. Dotyczą one odznaczeń tzw. „chlebowych". Był okres, kiedy na wnioskach o takie odznaczenia, umieszczenie danych o przynależności do PZPR lub związków branżowych, powodowało, że wnioski te... ginęły. Takie sprawy musimy teraz załatwić.

*— Listy, przysyłane Wam, dotyczą wyłącznie skarg, czy też zawierają propozycje konkretnych rozwiązań? Bowiem, w moim rozumieniu, każda skarga to jednocześnie wskazówka, gdzie zło należy wyplenić i co trzeba zrobić, by więcej się nie pojawiło...*

— Zgadzam się całkowicie i jeszcze wam to rozszerzę. Przychodzą do mnie ludzie, czekając często na wizytę po kilka miesięcy, którzy — o dziwo — nie skarżą się na nikogo. I niczego nie chcą, nie dopominają się, poza tym, że stawiają konkretny problem do rozwiązania w swoim zakładzie. Była na przykład u mnie grupa rolników, która chce zmeliorować swoje grunty. Proszą tylko o fachowca do nadzoru, i o materiały, a wszystkie roboty wykonają sami. Prace będą wykonane szybko, bez czekania i z sercem, bo na własnej ziemi. Wojewoda nie wyrażał zgody, zasłaniając się przepisami, więc musiałem im pomóc.

A jeszcze taki przykład. Otóż z jednego z województw, nie będę go wymieniał, przyjeżdżało wyjątkowo dużo ludzi ze skargami. Zainteresowało mnie to szczególnie, i w związku z tym wystąpiłem do gen. Jaruzelskiego z

prośbą o zezwolenie na dokonanie przeze mnie osobistej kontroli tego województwa. Otrzymałem zgodę, i z ludźmi kompetentnymi w wielu sprawach udaliśmy się w teren. W jednym z miasteczek stwierdziliśmy, że ludzie stamtąd, którzy byli u mnie ze skargami, i których ja kierowałem do miejscowego sekretarza, byli wyrzucani z pracy. Stwierdziłem, że po rozmowach „w cztery oczy" tegoż sekretarza ze skarżącymi się, o całej omawianej sprawie dowiadywała się dyrekcja zakładu pracy. I tę sprawę musiałem załatwić.

*— Pełnicie dziś odpowiedzialną funkcję członka Biura Politycznego KC PZPR, ale przez wiele lat pracowaliście na budowach. Jesteście więc fachowcem mającym doświadczenia w sprawach budownictwa. Powiedzcie zatem, jak jest naprawdę z tym, podnoszonym nieustannie, problemem. Czy trudności leżą wyłącznie w braku materiałów budowlanych?*

— Nie, wyraźnie stwierdzam, że nie. Jest duży procent spraw materiałowych. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że mogliśmy w IV kwartale zeszłego roku oddać kilkadziesiąt tysięcy mieszkań, a na skutek braku kleju podłogowego, kabli i zlewozmywaków mieszkania zostały oddane z poślizgiem — dopiero w I kwartale br.

Jest jednak kilka innych, ważnych mankamentów, np. zły system płacowy. Przecież nie zmusimy ludzi siłą, by przyszli pracować na budowy. Źle także stało się, że budowlanym nie dano tego, co im przyrzekano — mieszkań.

Stwierdzam, że budownictwo polskie jest chore. Trzeba je wyleczyć, postawić na nogi. Budownictwo to przede wszystkim ludzie. Czy wiecie, że w skali kraju ponad 35 proc. fizycznych pracowników porzuciło w II półroczu 1982 r. pracę, uciekając do pracy wygodniejszej, lżejszej, cieplejszej, bezpieczniejszej?

Uzdrawiać budownictwo — to skoordynować przepisy dotyczące zaopatrzenia budownictwa w materiały, skoordynować dostawy tych materiałów zgodnie z potrzebami. Nie może być rozbieżności między decyzjami rządu w sprawie budownictwa a decyzjami poszczególnych przedsiębiorstw pracujących na rzecz tegoż budownictwa.

I sprawa druga, która już w części przedsiębiorstw jest realizowana, to zmiana systemu płacowego i to na taki, aby ludzie otrzymywali pieniądze za efektywną pracę, a nie za to tylko, że przebywają na budowie. Robotnicy mówią: stwórzcie nam system płacowy oparty na wydajności pracy, bo nie chcemy być na czyjejś łasce, nie chcemy dotacji. Po trzecie — kiedyś był taki pomysł, żeby budowlanym po 5 latach pracy przydzielać mieszkanie. O tym się dużo mówiło i pisało, ale nikt się z tego nie wywiązał. Uważam, jako stary, doświadczony budowlarz — jak towarzysz to powiedział — że nie wyjdziemy z tego strasznego kryzysu mieszkaniowego bez rewolucji w budownictwie. Ludzie powinni zrozumieć, szczególnie młodzi, że budownictwu trzeba pomóc własnymi rękami. Należałoby więc zabezpieczyć aktami prawnymi — znają się na tym pracownicy — zasadę, że każdy, kto przepracuje w budownictwie 5 lat, otrzyma mieszkanie. Niech będą to także ludzie z innych zawodów, nawet z wyższym wykształceniem, to po pięciu latach zbudują mieszkanie nie tylko dla siebie, ale i dla dwudziestu innych rodzin. I to w skali kraju dałoby duże zwiększenie ilości mieszkań. Jeśli społeczeństwo zrozumie, że ktoś, pracujący 5 lat, otrzymał mieszkanie, ale także wybudował 19 innych, wówczas o budownictwie nie będzie tyle jałowych dyskusji.

Musi także ruszyć budownictwo indywidualne, ale nie willowe, nie 200 metrów kwadratowych, nie 150, ale 70 metrów kwadratowych. Trzeba koniecznie zmienić mentalność Polaków w kwestii domku jednorodzinnego. Musi posunąć się proces wywłaszczeniowy, powstanie ustawa sejmowa, która pozwoli przydzielić zakładom pracy działki pod domki jednorodzinne. Musiałyby się zmienić przepisy w kwestii tzw. bariery materiałowej.

Liczę, że problem budownictwa będzie rozwiązywany pozytywnie, bowiem resort energicznie robi zmiany, które w znaczny sposób poprawią sytuację. Efekty nie będą jednak natychmiastowe. Budownictwo to cykle 1,5-, 2-letnie i społeczeństwo musi się z tym liczyć.

*— Jeszcze jedno: czekanie na własne „M" Czy młodzi ludzie, którzy dziś zawierają związek małżeński, mają szansę otrzymania własnego mieszkania... przed emeryturą?*

— Piąty z kolei program rządowy, dotyczący budownictwa przewiduje rozszerzenie go na kilka sfer: państwowe, jednorodzinne, patronackie, młodzieżowe, różnego rodzaju spółdzielnie, itp. Jeszcze w tym półroczu ukaże się ustawa sejmowa, nakładająca obowiązek na zakłady pracy, bez względu na ich profil — pomocy człowiekowi, który wyraził chęć budowania domku jednorodzinnego. Teraz nie pracownik będzie starał się o działkę, a administracja zakładu, to samo dotyczy pożyczki bankowej, dokumentacji, itp., włącznie z urlopem wypoczynkowym i pozawypoczynkowym na okres budowy domku. Będzie jeszcze jedna ustawa sejmowa, dotycząca zabezpieczenia materiałów budowlanych. Chodzi tu m. in. także o zagwarantowanie ludziom, którzy zdecydują się na odbudowę cegielni, czy innych zakładów produkujących materiały, pracy i zysków. Muszą mieć pewność, że nie zniszczy ich urząd skarbowy. Płacić podatki trzeba, ale uczciwie. Jeśli damy zielone światło budownictwu, to nie może być ono umieszczone na słupie, o który ludzie rozbijają sobie głowy.

I jeszcze jedna sprawa. Mówi się u nas, że budowa domku jednorodzinnego jest bardzo droga. To prawda, ale my uważamy, nie wiadomo dlaczego, że taki domek musi być spłacony w ciągu mniej więcej dziesięciu lat. A przecież popatrzmy, jak to wygląda na świecie. Ludzie młodzi, decydujący się tam na budowę, spłacają jego koszty przez całe życie, a czasami jeszcze ich dzieci. Nie uważam, że u nas trzeba to będzie robić aż tak długo, wystarczy spokojnie policzyć z ołówkiem w ręku. Ale nie krzyczmy, że u nas wszystko jest tak drogie, bo nigdzie w ciągu kilku lat nikt nie spłacił takich własnych inwestycji.

*— Czy w listach, które do Was nadchodzą, są poruszane sprawy budownictwa?*

— Tak. Problematyka ta dominuje, zajmując ponad połowę skarg i wniosków. Dotyczą one różnych problemów: nieuczciwego podziału, zbyt długiego czekania, tragicznych warunków mieszkaniowych, itd.

*— Czy wśród spraw, napływających do Was, są sprawy z Łodzi?*

— Sporo łodzian przyjeżdża. Zgłosiła się na przykład łodzianka, którą 4 i pół roku temu zwolniono z zakładu pracy, ponoć zgodnie z literą prawa. Przez cały ten okres próbowała dochodzić swych praw, niestety, daremnie. Wreszcie trafiła do mnie. Była to osoba bardzo impulsywna i ostra. Mnie dała na załatwienie tej sprawy dwa tygodnie. Zainteresowałem tą sprawą kompetentne władze, i po rozpatrzeniu przez nie okazało się, że kobieta ma rację. Teraz łódzki zakład, który ją zwolnił przed przeszło czterema laty, będzie wypłacał jej utracone zarobki.

Przypominam sobie także sprawę łódzkich rolników, którzy przyjechali ze skargą na nieprawidłowy rozdział maszyn. Są to sprawy bardzo ciężkie, bo jeśli ubiegających się jest 100, a maszyn przychodzi sześć, trudno dokonać sprawiedliwego podziału. Po zbadaniu okazało się, że prawo nie zostało nadużyte, tym niemniej 94 rolników czuje się pokrzywdzonych.

Na zakończenie chcę powiedzieć coś co zaobserwowałem w ciągu mojej działalności w komisji wniosków i skarg. Stwierdziłem mianowicie, że dwa województwa: łódzkie i poznańskie wykazują największą dyscyplinę społeczną, jest najmniej skarg, oskarżających ludzi na stanowiskach o złą wolę czy wręcz o nadużywanie prawa. Z tych województw jest takich skarg najmniej.

*— Cieszę się, że Łódź przysparza Wam mniej kłopotów, niż inni. Dziękuję za rozmowę.*

**Rozmawiał:**

**EUGENIUSZ IWANICKI**

# Ogólnokrajowe organizacje związkowe

Rada Państwa podjęła uchwałę w sprawie zasad i sposobu tworzenia ogólnokrajowych organizacji związkowych. Tekst uchwały opublikowano w „Rzeczypospolitej" z dn. 16—17 bm. Opierając się na ustawie o związkach zawodowych Rada Państwa otworzyła możliwość powoływania ogólnokrajowych związków zawodowych wcześniej niż po 31 grudnia br.

*Ogólnokrajowa organizacja związkowa może być tworzona* — stwierdza uchwała — *jako organizacja pracowników zatrudnionych w danej gałęzi pracy, w danym rodzaju zatrudnienia lub zawodzie, zrzeszonych w dotychczas działających organizacjach związkowych w zakładach pracy.*

Oznacza to zrzeczenie się osobowości prawnej przez zakładowe organizacje związkowe wchodzące w skład tej organizacji.

Ogólnokrajowa organizacja związkowa może być także tworzona jako organizacja zrzeszająca związki zawodowe w zakładach pracy jednej gałęzi, jednego rodzaju zatrudnienia lub zawodu.

Jeden z przepisów uchwały stanowi, że *pracownicy, którzy ze względu na swą małą liczebność nie mogą utworzyć organizacji związkowej w zakładach pracy, w celu realizacji swego prawa zrzeszania się w związki zawodowe, mogą tworzyć organizacje ogólnokrajowe w danej gałęzi pracy, w danym rodzaju zatrudnienia lub w zawodzie.*

Prawo takie mają również pracownicy zatrudnieni w stowarzyszeniach wyższej użyteczności, organizacjach politycznych i społecznych, bez względu na liczbę zatrudnionych.

# Dobrze jest mieć pomysł...

*Dobrze jest mieć pomysł, a jeszcze lepiej zrealizować go. Dziś nam szczególnie potrzeba pomysłów i dziś nam potrzeba uporu przy ich realizacji. Bez dobrych pomysłów, kiedy wielu rzeczy nie dostaje, trudno wydźwignąć gospodarkę z nizin kryzysu. Statystyki notują, że tu i ówdzie nastąpił postęp. Coś drgnęło. Ale to ciągle jeszcze mało. Bez racjonalnego i twórczego myślenia nie uda się wiele osiągnąć. Są to wszystko rzeczy aż nadto oczywiste. Ale czy wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę?*

*Byłem niedawno w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w T. Nie nazwa jest akurat ważna. Ważny jest przykład. Spółdzielnia kuleje. Wybudowano tam dwie piękne obory. Za 38 milionów złotych. Te obory stoją puste. Nie działają w nich poidła, szwankują inne urządzenia. Był odbiór — działało. Po odbiorze przestało. Ale nie to jest istotne. W oborach tych jest zimno. Tak zimno, że krowy dostały zapalenia płuc. Dwie zdechły. Resztę uratowano, ale do hodowli się nie nadają. Latem na pastwisku trochę przytyją i pójdą pod nóż.*

*Obok jest stara obora. Wybudowana gdzieś w latach 50 i choć nie ma nic wspólnego z nowoczesnością — funkcjonuje. Ale schorowane stado wygląda żałośnie.*

*— Co robić? — Jakie jest wyjście z tej sytuacji? — Zapytałem o to ludzi spółdzielnią kierujących. Popatrzyli na mnie ze zdziwieniem. — Coś trzeba wymyślić. — Byli tu już — powiedzieli — przedstawiciele firmy polonijnej i mają przedstawić swoje propozycje. Niech dostarczą cielaki, to im latem podhodujemy. Zimą tu nikt nie wytrzyma.*

*Dlaczego pomysł mają mieć przedstawiciele firmy polonijnej? Czy zarządu spółdzielni nie stać na pomysły? Czy we wszystkim musimy się wyręczać innymi? Sami już niczego nie potrafimy?*

*Zabudowania spółdzielni w T. stoją w szczerym polu. Nie ma obok ani jednego domu. Ludzie tu pracują jak w urzędzie, osiem godzin i do domu. Nie bardzo czują, że to jest ich spółdzielnia. Nie czują również tego, że muszą myśleć i to, co wymyślą konsekwentnie realizować.*

*A więc nie wszystko, co tak bardzo oczywiste jest dla wszystkich oczywiste jednakowo.*

**W.P.**

## W NUMERACH NASTĘPNYCH


- ROBOTNICY MÓWIĄ O PIERWSZOMAJOWEJ TRADYCJI
- KOBIETA, KTÓRA TWORZYŁA MILICJĘ W KARTUZACH
- KONSTYTUCJA 3 MAJA W OPINII INNYCH PAŃSTW
- W „HARNAMIE" TAŃCZĄ MIMO KRYZYSU
- CUDZE CHWALIMY, SWEGO NIE ZNAMY — RZECZ O LEKARZACH
- WYWIAD Z BEATĄ TYSZKIEWICZ
- SZALONE DZIECI ALLACHA
- DRAMATYCZNY LOT NAD AZJĄ
- ANDRZEJ MAKOWIECKI PREZENTUJE PUNKÓW — CIĄG DALSZY REPORTAŻU „ZADYMA, PUNKI! ZADYMA!"
- JAK CINKCIARZE GRAJĄ W POKERA

# Dokumenty

## Z przemówienia radiowego Wandy Wasilewskiej wygłoszonego w Moskwie w dniu 28 kwietnia 1943 roku.

Do Polski, do kraju, do rodzinnych domów prowadzi jedna droga — droga walki i pracy dla zwycięstwa. I najkrótsza droga jest właśnie stąd — ze Związku Radzieckiego.

Część Polaków, którzy znajdowali się na terenie Związku Radzieckiego, wybrała inną drogę — drogę tułaczki po dalekich lądach i morzach.

My, którzyśmy zostali na terytorium Związku Radzieckiego, musimy sobie jasno powiedzieć:

Prawo powrotu do kraju zdobywa się walką i pracą. Walką i pracą musimy wykazać nasz patriotyzm i naszą polskość.

Związek Patriotów Polskich od dłuższego czasu czyni starania o stworzenie na terenie Związku Radzieckiego polskich oddziałów. Wierzymy, że w najbliższym czasie będziemy mogli ramię przy ramieniu z Armią Czerwoną, pod polskim sztandarem polskich oddziałów zadokumentować z bronią w ręku naszą miłość do Polski, nasze prawo do Polski.

Ale nie wszyscy mogą iść do armii, nie wszyscy są zdolni do służby wojskowej.

Ci muszą pracować dla frontu, dla przyśpieszenia zwycięstwa tak, jak pracują wszyscy obywatele radzieccy.

Polacy w sowchozach, kołchozach, w fabrykach, w instytucjach — waszą pracą musicie wykazać wasz patriotyzm i waszą wolę powrotu do wyzwolonej spod jarzma hitlerowskiego ojczyzny.

Rzetelnością, oddaniem sprawie zwycięstwa, pracą i walką musimy zdobywać zaufanie i szacunek tych ludzi, obok, razem z którymi pracujemy.

Rzetelnym stosunkiem do swoich obowiązków obywatelskich musimy pomóc rządowi radzieckiemu w zachowaniu i rozbudowie polskich szkół i instytucji opieki społecznej na terenie Związku Radzieckiego.

Związek Radziecki wziął na siebie główny ciężar walki z wrogiem ludzkości i Polski — hitleryzmem. Armia Czerwona dwa lata stoi w walce z bohaterstwem nie znanym dotąd w dziejach. I Związek Radziecki, niezależnie od przerwania stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie, zawsze był i pozostanie sojusznikiem polskiego narodu walczącego o swoją wolność.

## Depesza przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR J. Stalina do prezydium zjazdu Związku Patriotów Polskich.

Dziękuję wam za serdeczne i przyjacielskie zwrócenie się do rządu radzieckiego.

Gorąco witam was i Związek Patriotów Polskich w ZSRR, rozpoczynający pomyślną pracę w zwarciu swoich sił i wzmocnieniu przyjaźni między narodami Polski i Związku Radzieckiego.

Zapewniam was, że Związek Radziecki zrobi wszystko możliwe, aby przyśpieszyć rozgromienie naszego wspólnego wroga — hitlerowskich Niemiec, wzmocnić polsko-radziecką przyjaźń i ze wszystkich sił pomóc wskrzeszeniu silnej i niepodległej Polski.

Życzę wam powodzenia w waszej pracy.

**J. STALIN**

Moskwa, 9 czerwiec 1943

## Z deklaracji ideowej uchwalonej na I Zjeździe Związku Patriotów Polskich.

Wyznając zasadę, że całość ziem polskich musi być zjednoczona w granicach państwa polskiego, uważamy, że granice traktatu ryskiego nie odpowiadały uprawnionym dążeniom Ukraińców i Białorusinów do własnego zjednoczenia narodowego. Zgodnie z zasadami wolności, o które zjednoczone narody walczą przeciw hitleryzmowi, nie żądamy dla siebie ani jednej piędzi ziemi ukraińskiej, białoruskiej czy litewskiej.

Najwyższy czas zasypać sztucznie wytworzoną przepaść, która dzieliła nas długo od bliskich nam językiem, duchem, historią narodów ukraińskiego, białoruskiego, rosyjskiego i czeskiego. W atmosferze przyjaźni i wzajemnego zaufania sprawa mniejszości narodowych może być i będzie uregulowana pomyślnie, zgodnie z interesami wszystkich zainteresowanych narodów.

Zabezpieczeni od wschodu i południa, silni poparciem naszych sojuszników będziemy mogli wziąć na siebie brzemię współodpowiedzialności za ustalenie straży pokoju na Odrze dla uniemożliwienia nowej niemieckiej napaści.

Moskwa, 10 czerwiec 1943

## Z uchwały I Zjazdu Emigracji Polskiej we Francji w sprawie wydarzeń w kraju

Pierwszy walny zjazd emigracji polskiej we Francji, obradujący w Paryżu, w dn. 17 i 18 grudnia 1944 roku przy udziale przeszło 700 delegatów reprezentujących 260 skupisk polskich, przesyła gorące pozdrowienia Krajowej Radzie Narodowej i Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego w Lublinie, uznanemu przez emigrację polską we Franoji za jedyny prawowity rząd polski, wynikły z walki narodu o niepodległość i demokrację. Walny zjazd przesyła wyrazy wdzięczności i solidarności bohaterskim partyzantom w kraju oraz Wojsku Polskiemu, które pod wodzą gen. Roli-Żymierskiego i przy pomocy sojuszniczej Armii Czerwonej wyzwoliło znaczną część Polski, a obecnie przygotowuje się do nowej ofensywy w celu wyswobodzenia całej ojczyzny od germańskiego najeźdźcy.

Walny zjazd wyraża radość i entuzjazm z powodu unieważnienia faszystowskiej konstytucji sanacyjnej, narzuconej krajowi w roku 1935 przez rząd nielegalny, bo wynikły z zamachu stanu, dokonanego w maju 1926 roku, i z powodu przywrócenia jedynej legalnej konstytucji demokratycznej, uchwalonej w sposób przepisany prawem przez Sejm Ustawodawczy 17 marca 1921 r.

Walny zjazd wita wielkie reformy demokratyczne, urzeczywistnione przez PKWN w wyzwolonej części Polski, a w szczególności reformę rolną, która kładzie kres tysiącletniej krzywdzie chłopa polskiego i usuwa główne źródło wszystkich nieszczęść naszego narodu. Reformy te czynią z narodu prawdziwego gospodarza kraju i pozwalają mu zbudować Polskę zdrową i zasobną, zdolną zapewnić chleb, oświatę i wolność wszystkim swoim synom.

Walny zjazd wyraża swoje zadowolenie z powodu decyzji PKWN o wytyczenie wschodniej granicy Polski w drodze przyjaznych umów z odnośnymi republikami sowieckimi, zgodnie z zasadą, że ziemie polskie — Polsce, ukraińskie — Sowieckiej Ukrainie, białoruskie — Sowieckiej Białorusi, litewskie — Sowieckiej Litwie.

Emigracja polska popiera gorąco wysunięte przez PKWN żądanie przywrócenia Polsce Prus Wschodnich oraz zachodniego Pomorza i Śląska, zabranych nam w przeszłości przez germańskiego napastnika. Walny zjazd stwierdza, że wyrażona w Manifeście chełmskim zagraniczna polityka PKWN, oparta na braterskich sojuszach z ZSRR i innymi narodami słowiańskimi oraz na przyjaźni ze wszystkimi państwami sprzymierzonymi, stanowi najlepszą gwarancję bezpieczeństwa Polski i trwałego pokoju. Zjazd wita ze szczególnym zadowoleniem słowa manifestu o tradycyjnej przyjaźni z Francją demokratyczną, z którą łączy nas półtora wieku wspólnej walki o wolność, równość, i braterstwo.

18 grudzień 1944, Paryż

## UKŁAD O PRZYJAŹNI, POMOCY WZAJEMNEJ I WSPÓŁPRACY POWOJENNEJ MIĘDZY RZECZĄPOSPOLITĄ POLSKĄ A ZSRR

**Prezydent Krajowej Rady Narodowej Rzeczypospolitej Polskiej i Prezydium Rady Najwyższej Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, ożywieni niezłomną wolą doprowadzenia wspólnie wojny z najeźdźcami niemieckimi do całkowitego i ostatecznego zwycięstwa,**

**pragnąc utrwalić zasadniczy przełom w dziejach stosunków polsko-radzieckich na rzecz przyjaznej, sojuszniczej współpracy, jaka się ustaliła między Polską i ZSRR w toku wspólnej walki z imperializmem niemieckim,**

**w przeświadczeniu, że dalsze umocnienie dobrych stosunków sąsiedzkich i przyjaźni między Polską i graniczącym z nią Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich odpowiada żywotnym interesom narodów polskiego i radzieckiego,**

**w przekonaniu, że zachowanie przyjaźni i ścisłej współpracy między narodem polskim i radzieckim będzie służyło sprawie pomyślnego rozwoju gospodarczego obu krajów zarówno w czasie wojny, jak i po wojnie,**

**dążąc do poparcia po wojnie ze wszech miar sprawy pokoju i bezpieczeństwa narodów —**

**postanowili zawrzeć w tym celu niniejszy układ i wyznaczyli, jako swoich pełnomocników (następują nazwiska pełnomocników), którzy po dokonaniu wymiany pełnomocnictw uznanych za sporządzone w należytej formie i w zupełnym porządku zgodzili się na następujące postanowienia:**

**Art. 1. Wysokie układające się strony będą wspólnie ze wszystkimi Narodami Zjednoczonymi prowadziły nadal walkę z Niemcami aż do ostatecznego zwycięstwa. W tej walce wysokie układające się strony zobowiązują się udzielać sobie wzajemnie pomocy wojennej i innej wszelkimi środkami będącymi w ich rozporządzeniu.**

**Art. 2. Wysokie układające się strony, w przeświadczeniu, że interesy bezpieczeństwa i pomyślnego rozwoju narodów polskiego i radzieckiego wymagają zachowania i wzmocnienia stałej i niezachwianej przyjaźni w czasie wojny, jak i po zakończeniu wojny, będą umacniały przyjazną współpracę pomiędzy obydwoma krajami w myśl zasad wzajemnego poszanowania swej niezależności, jak również nieingerowania w sprawy wewnętrzne drugiego państwa.**

**Art. 3. Wysokie układające się strony zobowiązują się również po zakończeniu obecnej wojny z Niemcami użyć wspólnie wszystkich środków będących w ich rozporządzeniu, aby usunąć wszelką groźbę ponownej agresji ze strony Niemiec lub jakiegokolwiek innego państwa, które sprzymierzyłoby się z Niemcami bezpośrednio lub w jakiejkolwiek innej formie.**

**Dla osiągnięcia tego celu wysokie układające się strony będą uczestniczyły w duchu jak najbardziej szczerej współpracy we wszystkich międzynarodowych poczynaniach zmierzających do zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa narodów i w pełni wniosą swój wkład do sprawy urzeczywistnienia tych wzniosłych celów.**

**Wysokie układające się strony będą realizowały niniejszy układ w myśl zasad międzynarodowych, w których ustaleniu uczestniczyły obie układające się strony.**

**Art. 4. Jeżeli jedna z wysokich układających się stron w okresie powojennym zostanie wciągnięta w działania wojenne przeciwko Niemcom, które by wznowiły swoją politykę agresji, albo przeciwko jakiemukolwiek innemu państwu, które w takiej wojnie sprzymierzyłoby się z Niemcami bezpośrednio lub w jakiejkolwiek innej formie, druga wysoka układająca się strona bezzwłocznie udzieli układającej się stronie, wciągniętej w działania wojenne, wojennej oraz innej pomocy i poparcia wszystkimi środkami będącymi w jej rozporządzeniu.**

**Art. 5. Wysokie układające się strony zobowiązują się nie zawierać bez wzajemnej zgody rozejmu lub pokoju ani z rządem hitlerowskim, ani z jakąkolwiek inną władzą w Niemczech, zagrażającą lub mogącą zagrozić niepodległości, całości terytorialnej lub bezpieczeństwu którejkolwiek z wysokich układających się stron.**

**Art. 6. Każda z wysokich układających się stron zobowiązuje się nie zawierać żadnego sojuszu i nie brać udziału w żadnej koalicji, skierowanej przeciwko drugiej wysokiej układającej się stronie.**

**Art. 7. Wysokie układające się strony będą współpracowały w duchu przyjaźni również po zakończeniu obecnej wojny w celu dalszego rozwoju i umocnienia więzi ekonomicznej i kulturalnej między obydwoma krajami i będą sobie pomagały wzajemnie w odbudowie gospodarczej obydwu krajów.**

**Art. 8. Układ niniejszy wchodzi w życie z chwilą jego podpisania i podlega ratyfikacji w możliwie najkrótszym czasie. Wymiana dokumentów ratyfikacyjnych odbędzie się w Warszawie, możliwie jak najrychlej. Układ niniejszy pozostaje w mocy w ciągu lat 20 od chwili jego podpisania.**

**Jeśli jedna z wysokich układających się stron na 12 miesięcy przed upływem 20-letniego okresu nie złoży oświadczenia o swojej chęci wypowiedzenia układu, układ ten pozostanie w mocy na okres następnych 5 lat, i tak za każdym razem, dopóki jedna z wysokich układających się stron nie złoży na 12 miesięcy przed upływem kolejnego pięciolecia oświadczenia na piśmie, uprzedzającego o swoim zamiarze wypowiedzenia układu.**

**Na dowód czego pełnomocnicy podpisali układ niniejszy i zaopatrzyli go swymi pieczęciami.**

**21 kwiecień 1945, Moskwa**

## Z przemówienia prezydenta m. st. Warszawy St. Tołwińskiego

(...) Organizacja aparatury miejskiej uzyskała na ogół uznanie i aprobatę grona współpracujących z nami rzeczoznawców radzieckich z ob. Proninem na czele. Tej współpracy i pomocy okazywanej nam przez ZSRR w odbudowie i organizacji odbudowy Warszawy należy się specjalne miejsce, jest to przykład prawdziwie braterskiego stosunku, zadzierzgniętego na polu walki ze wspólnym wrogiem, a pogłębianego obecnie przy warsztacie pracy pokojowej nad odbudową naszej stolicy — Warszawy. Nie potrzebuję tutaj przypominać o historycznej deklaracji bratnich republik radzieckich Ukrainy, Białorusi i Litwy o przyjęciu na siebie 50 proc. kosztów odbudowy głównych dzielnic zburzonej Warszawy. (...)

Jest to jak gdyby punkt zwrotny w dotychczasowej naszej organizacji pracy związanej z odbudową Warszawy. Otrzymaliśmy metodyczne wskazówki, których rzeczoznawcy radzieccy udzielili nie tylko rządowi i Zarządowi Miejskiemu, ale kierownikom poszczególnych instytucji w terenie. Jednocześnie z pierwszym darem marszałka Stalina, pomocą żywnościową, przyszedł transport domków fińskich. Zaczęła się praca nad odbudową pod kierunkiem specjalistów radzieckich, inż. Krasnowa i Woroncewa. Była to pierwsza budowa na terenie Warszawy. I znów rzeczoznawcy radzieccy oddali nam swoje doświadczenie, organizując naszą pracę, przezwyciężając trudności transportowe i inne. Przeszło miesiąc temu przybyła grupa elektryków radzieckich z inż. Ławrinienko na czele i stanęła przy odbudowie elektrowni wspólnie i w oparciu o naszą aparaturę. Zostały wyznaczone terminy, których ściśle dochowano. Pierwszy turbogenerator, którego wykończenie przewidziano na 20 kwietnia, został rzeczywiście w tym terminie wykończony i po wysuszeniu go w przeciągu pięciu dni uruchomiony — 26 kwietnia. (...).

Ponadto pomoc rzeczowa ZSRR znalazła wyraz w ofiarowaniu Warszawie 500 nowych samochodów i 200 samochodów z frontu wraz z paliwem. (...)

5 maj 1945, Warszawa

## Z przemówienia prezydenta KRN B. Bieruta na konferencji prasowej w Belwederze

Historyczne, przełomowe, epokowe znaczenie aktu, jaki podpisaliśmy ostatnio w Moskwie, polega przede wszystkim na tym, iż podstawą zawarcia umowy był zwrot w polskiej polityce zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej, który podjęła i przeprowadziła w Polsce demokracja polska. Tylko wyrzeczenie się wszelkich tendencji imperialistycznych, tylko idea państwa jednonarodowego, tylko taka polityka wewnętrzna, która odpowiada zasadom demokratycznym, mogła rozwiązać zasadnicze problemy, jakie stały przed Polską do rozwiązania. Pomyślne rozwiązanie tych problemów daje w wyniku Polskę nową, o nowych granicach, o nowej strukturze narodowej, komunikacyjnej i technicznej, a więc o nowych, zupełnie dotychczas niedostępnych dla Polski podstawach gospodarczego rozwoju. Tylko ta nowa Polska będzie mogła zająć wśród narodów Europy właściwe miejsce. Będzie mogła stać się niezależnym, gospodarczo silnym krajem, powiązanym jak najściślej z całokształtem gospodarki ogólnoeuropejskiej, krajem, którego znaczenie zostanie rychło ocenione przez wszystkie narody europejskie jako jeden z krajów twórczych, który w oparciu o swą nową politykę wewnętrzną i zagraniczną będzie współdziałał w ogólnej odbudowie życia gospodarczego świata i w duchu utrwalenia współpracy pokojowej wszystkich demokratycznych państw i narodów, sprzymierzonych w walce z niebezpieczeństwem faszyzmu i agresji.

Rozwiązanie sprawy granicznej na wschodzie stworzyło podstawę dla przyjaznego, sąsiedzkiego współżycia między Polską i ZSRR, między Polską i narodami słowiańskimi, sąsiadującymi z nami na wschodzie, z którymi dotychczas Polska w ciągu wielu wieków posiadała wiele sporów, wzajemnej niechęci, nawet nienawiści. Tylko demokracja polska mogła dokonać tego zwrotu w taki sposób, żeby odtąd zaistniały pomiędzy obu krajami możliwości stosunków opartych na współdziałaniu, na coraz to mocniejszym utrwalaniu przyjaźni.

27 sierpień 1945, Warszawa

## Z przemówienia wiceministra spraw zagranicznych Z. Modzelewskiego na X sesji KRN.

(...) Przechodząc do omówienia naszych stosunków z poszczególnymi krajami, muszę zatrzymać się przede wszystkim na stosunkach naszych ze Związkiem Radzieckim. Stosunki te oparte na przyjaźni i braterstwie broni w walce ze wspólnym wrogiem układają się jak najlepiej. (...)

Dziś, gdy w pewnych kołach rozlegają się głosy podające w wątpliwość nasze granice zachodnie, gdy korzystając z niezasłużonej tolerancji, a czasem nawet ze zwykłego poparcia, rozzuchwalony hitleryzm podnosi głowę i ze zwykłym sobie tupetem już przebąkuje o rewanżu — nauczyliśmy się w dwójnasób cenić sojusz ze Związkiem Radzieckim, który daje nam gwarancję, że w razie groźby ponownej agresji niemieckiej będziemy mieli potężnego sojusznika tuż obok. (oklaski)

W trudnym okresie pierwszej zimy powojennej Związek Radziecki był tym naszym sojusznikiem, który mimo własnej ciężkiej sytuacji żywnościowej pomagał i pomaga nam zbożem i innymi produktami w najkrytyczniejszych chwilach.

Dzięki pomyślnemu ułożeniu stosunków ze Związkiem Radzieckim byliśmy w stanie podpisać układy repatriacyjne, w wyniku których setki tysięcy rodzin polskich zza Bugu i z głębi Związku Radzieckiego powracają do Polski. Z radością stwierdzić mogę, że repatrianci korzystają z jak najżyczliwszej i jak najdalej idącej pomocy władz radzieckich w całej swojej drodze powrotnej do kraju (oklaski). (...)

Nie sposób tutaj wyliczyć wszystkich korzyści, jakie przynosi nam ścisła przyjazna współpraca ze Związkiem Radzieckim. Dziś nie ma już w Polsce poważniejszego polityka, powiem nawet, że nie ma uczciwego Polaka, który by nie rozumiał absolutnej konieczności takiego właśnie, a nie innego ułożenia sąsiedzkich stosunków między nami i naszym potężnym słowiańskim sąsiadem. Toteż uważając w dalszym ciągu naszą serdeczną przyjaźń ze Związkiem Radzieckim za podstawę naszego bezpieczeństwa, chcemy zapewnić Wysoką Izbę jak najbardziej kategorycznie, że z tej obranej drogi sojuszu i przyjaźni nie zejdziemy, choćby to się tu i ówdzie nie wszystkim podobało (oklaski). Sądzimy również, iż Wysoka Izba powita z radością nasze solenne zapewnienie, że i nadal czynić będziemy wszystko, aby współpracę polityczną, gospodarczą i kulturalną ze Związkiem Radzieckim jak najbardziej rozwinąć dla dobra obydwu krajów, dla dobra powszechnego pokoju i bezpieczeństwa (oklaski).

28 kwiecień 1946, Warszawa

# Na początku 1923 roku

**Lidia Fotijewa była sekretarką Włodzimierza Iljicza Lenina w ciągu ostatnich pięciu lat jego życia. Prowadziła w tym czasie notatki o swojej pracy i pracy Lenina. Publikujemy wyjątki z tych notatek dotyczące ostatnich miesięcy i dni życia Włodzimierza Lenina.**

**19 stycznia** Włodzimierz Iljicz dwukrotnie wzywał Wołodiczewą. Raz około godziny siódmej wieczorem, i drugi — kilka minut po ósmej. Czytał drugi wariant notatek „Jak powinniśmy zreorganizować Inspekcję Robotniczo-Chłopską?", uzupełniał go i wnosił poprawki. Zajęło to około 30 minut. Powiedział, że Nadieżda Konstantinowna dostarczy mu informacji dotyczącej jednej części jego artykułu, a mnie polecił dowiedzieć się, jakie są u nas instytucje zajmujące się sprawą naukowej organizacji pracy, ile jest tego rodzaju instytucji, ile odbyło się zjazdów poświęconych temu zagadnieniu i jakie grupy brały w nich udział. Następnie spytał, czy w Piotrogrodzie nie ma jakichś materiałów na ten temat. (...)

**24 stycznia** Włodzimierz Iljicz wezwał mnie i polecił, bym poprosiła Dzierżyńskiego lub Stalina o materiały komisji w sprawie gruzińskiej. Włodzimierz Iljicz powiedział przy tym, że poleca Marii Glasser, Gortunowowi i mnie dokładne przestudiowanie tych materiałów i zreferowanie mu ich. Włodzimierz Iljicz dodał przy tym, że potrzebne mu to na zjazd partii. O tym, że „sprawa gruzińska" omawiana była w Biurze Politycznym, widocznie nie wiedział.(...)

**29 stycznia** Stalin powiadomił mnie telefonicznie, że materiałów bez zgody Biura Politycznego dać nie można. Pytał, czy nie mówię Włodzimierzowi Iljiczowi czegoś niepotrzebnego, co informuje go o bieżących sprawach. Na przykład artykuł Włodzimierza Iljicza o Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej dowodzi, że znane mu są niektóre okoliczności. Odpowiedziałam, że nic niepotrzebnego Włodzimierzowi Iljiczowi nie mówię i nie ma podstaw, by sądzić, że jest on informowany o bieżących sprawach.

**30 stycznia** Włodzimierz Iljicz wezwał mnie, aby dowiedzieć się, jaką odpowiedź dał Stalin. Kiedy mu zreferowałam ją, oświadczył, że będzie walczyć o otrzymanie tych materiałów.(...)

**1 lutego** Włodzimierz Iljicz wezwał mnie wieczorem o godz. 6 min. 30. Zawiadomiłam go, że Biuro Polityczne zezwoliło na otrzymanie materiałów komisji gruzińskiej. Włodzimierz Iljicz wskazał, na co zwrócić uwagę przy analizie materiałów i w ogóle w jaki sposób posługiwać się nimi, oraz powiedział: „Gdybym tak był na wolności..." — przejęzyczył się, ale następnie powtórzył, śmiejąc się: „Gdybym tak był na wolności, to bez trudu zrobiłbym to wszystko sam" (...)

**2 lutego** o godz. 11 min. 45 Włodzimierz Iljicz wezwał Wołodiczewą. Dyktował artykuł: „Lepiej mniej, ale lepiej". Skończył o godz. 12 min. 30.

Prosił Wołodiczewą, żeby zawiadomiła mnie, abym przyszła do niego nazajutrz. Na jej pytanie, o której godzinie, Włodzimierz Iljicz odpowiedział, że jest teraz przecież wolnym człowiekiem! Dorzucił tylko, że nie wolno mu nikogo przyjmować między drugą a piątą; po chwili zastanowienia dodał, że mogę przyjść o szóstej, ale najlepiej będzie, jeśli uzgodnię to z jego siostrą.

Wołodiczewa mówiła potem, że sądząc z wyglądu zewnętrznego, stan zdrowia Włodzimierza Iljicza znacznie się poprawił. Wyglądał świeżo i rześko, doskonale dyktował, nie robiąc przerw, bardzo rzadko miał trudności ze znalezieniem określeń, można nawet powiedzieć, że nie dyktował, a mówił, gestykulując przy tym.

**3 lutego** Włodzimierz Iljicz wezwał mnie o godzinie 7 wieczorem na kilka minut. Zapytał, czy przejrzeliśmy materiały komisji gruzińskiej. Odpowiedziałam, że tylko pobieżnie i że nie jest ich tak wiele, jak sądziliśmy. Następnie Włodzimierz Iljicz zainteresował się, czy ta sprawa była omawiana w Biurze Politycznym. Odpowiedziałam, że nie mam prawa o tym mówić. Wówczas Włodzimierz Iljicz zapytał: „Czy zakazano wam mówić właśnie i specjalnie o tym?". Odpowiedziałam, że w ogóle nie mam prawa mówić o sprawach bieżących. „Znaczy, że jest to sprawa bieżąca?" — zapytał Włodzimierz Iljicz. Zrozumiałam w tej chwili, że zdradziłam się. Włodzimierz Iljicz nadal wypytywał: „Dowiedziałem się o tej sprawie jeszcze od Dzierżyńskiego przed moją chorobą. Czy komisja złożyła sprawozdanie w Biurze Politycznym?" Nie pozostawało mi nic innego, jak poinformować, że komisja złożyła sprawozdanie w Biurze Politycznym i że Biuro w zasadzie zatwierdziło jej decyzję. Włodzimierz Iljicz powiedział wtedy: „Sądzę, że mniej więcej w ciągu trzech tygodni przygotujecie Waszą relację, a wówczas ja wystosuję list". Zaraz potem przyszli lekarze (...)

**10 lutego** o godzinie siódmej wieczorem Włodzimierz Iljicz wezwał mnie i polecił, abym artykuł „Lepiej mniej, ale lepiej" dała Ciurupie, który ma go przeczytać w ciągu dwóch dni. Następnie prosił o dostarczenie kilku książek. Oto nazwiska autorów oraz tytuły tych książek: Rożycyn „Nowoczesna nauka a marksizm"; „Podstawowe problemy teorii pieniądza" — zbiór artykułów; Falkner „Przełom w rozwoju światowego kryzysu przemysłowego"; Drews „Mit o Chrystusie"; Kuryłow „Koniec caratu rosyjskiego"; Modzalewski „Tworzenie mitów proletariackich. Przyczynek do idealistycznych odchyleń współczesnej poezji proletariackiej" itd.

Włodzimierz Iljicz wyglądał na zmęczonego, mówił z wielkim trudem.

**12 lutego** Włodzimierz Iljicz wezwał mnie na kilka minut. Stan jego zdrowia pogorszył się, miał silne bóle głowy. Według słów Marii Iljiniczny, zdenerwowano go. Poprzedniego dnia Förster zakomunikował, że Włodzimierz Iljicz stanowczo nie powinien czytać gazet, nie powinien nikogo przyjmować ani interesować się sprawami politycznymi. Na pytanie Włodzimierza Iljicza, co rozumie on przez to ostatnie, Förster odpowiedział: „No, na przykład interesowanie się sprawą spisu urzędników radzieckich...". Widocznie fakt, że lekarze byli tak dobrze zorientowani, zdenerwował Włodzimierza Iljicza. Przez cały czas Włodzimierz Iljicz rozmawiał ze mną o tych trzech sprawach i skarżył się na bóle głowy.

**20 lutego** wieczorem Włodzimierz Iljicz prosił o sprawozdanie z X Zjazdu Rad RFSRR. Nadieżda Konstantinowna obiecała je przynieść, ale Maria Iljiniczna uważała, że raczej nie należy tego robić, ponieważ czytanie sprawozdania źle się odbije na stanie zdrowia Iljicza.

Włodzimierz Iljicz był tym bardzo dotknięty i zapewniał, że sprawozdanie już czytał, ale że jest mu potrzebne do pewnej sprawy, którą go obecnie nurtuje. Mimo to sprawozdania mu nie dano i to zdenerwowało Włodzimierza Iljicza.

W ciągu następnych dni Włodzimierz Iljicz czytał. Prosił o VII tom „Notatek z rewolucji" Suchanowa. Mówił trochę o rozmaitych konkretnych sprawach.

**2 marca** Włodzimierz Iljicz po raz ostatni przejrzał artykuł „Lepiej mniej, ale lepiej" i oddał go do druku. Został on opublikowany w „Prawdzie". Artykuł ten, będący logiczną kontynuacją artykułu „Jak powinniśmy zreorganizować Inspekcję Robotniczo-Chłopską?" tworzy wraz z nim jak gdyby jedną całość.

**3 marca** przekazałam Włodzimierzowi Iljiczowi naszą pisemną relację i wnioski na temat materiałów komisji Dzierżyńskiego w „sprawie gruzińskiej".

**5 marca** Włodzimierz Iljicz około godziny dwunastej w południe wezwał Wołodiczewą i w ciągu 15-20 minut podyktował jej dwa listy.

Jak informował później dyrektor Kożewnikow, listy te, według słów Włodzimierza Iljicza, niczym go nie wzburzyły, ponieważ dotyczyły tylko załatwienia pewnych konkretnych spraw. Jednakże gdy tylko stenografistka (Wołodiczewa) odeszła, Włodzimierz Iljicz zaczął odczuwać dreszcze.

W jakiś czas potem Włodzimierz Iljicz wezwał mnie i dał szereg poleceń.

**6 marca** rankiem Włodzimierz Iljicz wezwał mnie i Wołodiczewą, której podyktował zaledwie półtora wiersza.

Przeczytał swój list do Stalina, podyktowany w przeddzień. Polecił przekazać ten list Stalinowi do rąk własnych i uzyskać odpowiedź.

Odpowiedzi Stalina Włodzimierz Iljicz nie mógł przeczytać, ponieważ w dniu otrzymania odpowiedzi miał ostry atak choroby. Od tego dnia rozpoczęło się ogólne gwałtowne pogorszenie się stanu jego zdrowia. Nie mógł już więcej pracować.

**10 marca** wprowadzono nocny dyżur lekarzy. Do 15 maja Włodzimierz Iljicz przebywał na Kremlu pod pieczą najlepszych lekarzy rosyjskich i zagranicznych, otoczony troskliwą opieką swej rodziny i KC partii. Następnie, na zalecenie lekarzy przewieziono go do Gorek.

**LIDIA FOTIJEWA**

(„Lenin we wspomnieniach współczesnych", tom II, KIW, Warszawa 1960)

# Dialog i tolerancja

**JERZY KWIECIŃSKI**

Tematy uchodzące za drażliwe nie wygasają automatycznie, przez sam fakt ich przemilczania. Temat, który pragnę poruszyć jest na ogół pomijany milczeniem przez zwolenników jednego światopoglądu, lękających się pomówienia o nietakt, w stosunku do wyznawców światopoglądu odmiennego, którzy bez widocznych zahamowań dość często korzystają z prawa do publicznego głoszenia swoich zasad.

Myślę tu o atmosferze współżycia osób wierzących i niewierzących. Nie jest ona u nas, jak sądzę, aż tak zła, jak mogliby tego sobie życzyć przedstawiciele postaw skrajnych, opętani poczuciem szczególnego posłannictwa — nawracania drugich na wiarę lub pozbawiania ich wiary. Ale nie jest zła przede wszystkim dlatego, że tych drugich już się prawie nie spotyka, od wielu bowiem lat zniknęły całkowicie z naszego życia społecznego zarówno indywidualne postawy, jak i jakiekolwiek formy zrzeszania się „wojującego ateizmu".

Należą już do odległej przeszłości czasy, kiedy w szeregach ruchu laickiego odgrywali pewną rolę nieprzejednani, którym słusznie przylepiano złośliwą etykietkę „osobistych nieprzyjaciół Pana Boga". Za swoją moralną powinność uważali oni przerabianie współziomków na niedowiarków, a ludzi dzielili na wartościowych lub szkodliwych według ich stosunku do religii. Zresztą bywali często wśród nich ludzie obcy socjalizmowi, którym bliższy ideowo był kapitalistyczny fabrykant broni lub kolonizator, jeśli tylko opowiadał się za ateizmem, niż ksiądz związany sympatiami z postępowym ruchem społecznym. Nie ma już w Polsce takiego środowiska, takiej organizacji, gdzie można by, bez obawy narażenia się na śmieszność i potępienie — głosić tego rodzaju ortodoksyjne wyznanie niewiary.

I należy zdać sobie z tego sprawę, że tym co dziś wyróżnia u nas ludzi o laickim światopoglądzie jest poszanowanie zasad wolności sumienia, zawierające w sobie także gotowość obrony wierzących w przypadku zagrożenia ich słusznych praw do uprawiania religijnego kultu lub jakiejkolwiek wobec nich dyskryminacji. Należy jedynie ubolewać, że ta oczywista prawda o ludziach z kręgu laickiego nie jest szerzej znana wśród wierzących. Kto podtrzymuje i szerzy kłamliwe wyobrażenia o tym środowisku, będącym integralną częścią społeczeństwa i narodu? Kto bierze na swoje sumienie grzech oszczerstwa, w imię jakich „wyższych" racji czy może całkiem przyziemnych interesów?

Nie chodzi zresztą o same tylko jątrzące wypowiedzi (jak pamiętne kazanie jednego z biskupów, dzielące ludzi w podobny sposób, jak to czynili niegdyś „osobiści nieprzyjaciele Pana Boga"). Problem w tym, iż te próby podsycania wrogości padają niekiedy na podatny grunt. Kto zdoła wymienić wszystkie przyczyny, które sprawiają, że niehumanistyczny (a przy tym niechrześcijański) stosunek do niewierzących ma jeszcze dość znaczny zasięg! Spróbujmy dotknąć niektórych przyczyn.

1. Raptowny i przez większość nieoczekiwany przeskok od uprzywilejowanej pozycji Kościoła katolickiego w przedwojennej Polsce, jako „religii panującej" do przeprowadzonego wkrótce po wojnie prawnego rozdziału Kościoła od państwa. Nie u wszystkich znalazła zrozumienie otwarcie przedstawiana argumentacja władz, unikająca urażania uczuć religijnych, a wielu zapomniało o tym, jak drastyczne formy przybierały nieraz przed wojną ataki jednostek czy kół niewierzących pod adresem Kościoła i duchowieństwa. Kto mógłby pozwolić sobie w Polsce Ludowej, jak przed wojną Tadeusz Boy-Żeleński, na wydanie publicystycznej książki o roli duchowieństwa katolickiego w Polsce, pod niemile brzmiącym tytułem: „Nasi okupanci"!?

2. Utożsamianie od pokoleń przez znaczną część katolickiego środowiska polskości z katolicyzmem, uzasadnione w znacznej mierze okolicznością, iż dwaj główni zaborcy reprezentowali wobec nas protestantyzm i prawosławie, ale wypływające także z nieznajomości dziejów ojczystych, w których przecież Polacy innowiercy zapisali niejedną chlubną kartę, poczynając choćby od „ojca literatury polskiej", Kalwina Mikołaja Reja.

3. Reminiscencje dawnych (bo uchylonych od połowy lat pięćdziesiątych) ograniczeń swobody głoszenia poglądów sprzecznych z oficjalną linią polityczną, a nawet — stosowanie represji. Zapomina się jednak o tym, że represje dotykały w znacznie mniejszym stopniu duchownych i świeckich przedstawicieli katolicyzmu, niż działaczy z kręgu ściśle politycznego, a zwłaszcza rzeczywistych lub rzekomych „odstępców" od idei socjalizmu i aktualnej linii partii. Trudno więc uznać, iż szczególną cechą tego okresu było „prześladowanie religii".

4. Dominujące przez długi czas tradycje konserwatywne katolicyzmu polskiego wobec postępowych ruchów społecznych oraz dewocyjna postawa znacznej części katolików polskich obojętna zarówno na problematykę filozoficzno-teologiczną, jak i na nakazy stosowania w życiu codziennym norm etyki chrześcijańskiej. Obserwacje czynione z zewnątrz pozwalają zresztą na stwierdzenie, iż władze kościelne wykazują ostatnimi laty dużo troski o filozoficzne i moralne pogłębienie nurtu życia religijnego.

Dzisiaj, być może, te najprymitywniejsze poglądy i postawy dewocyjnych ekstremistów mają już znacznie mniejszy zasięg, niż jeszcze przed niewielu laty, być może też ogólny poziom wykształcenia społeczeństwa i wreszcie długoletnia już praktyka współdziałania wierzących z niewierzącymi przyczyniły się do tego, że wiele drażliwych dawniej spraw straciło na ostrości. Co nie znaczy, że nie ma już żadnych przyczyn utrudniających wzajemne zrozumienie.

Wydaje mi się, że na przeszkodzie do całkowicie pomyślnego ułożenia się wzajemnych stosunków ludzi z kręgu laickiego i religijnego znajduje się jeszcze kilka nieporozumień, które należałoby przedstawiać otwarcie i o nich dyskutować.

Jednym z nich jest dość często podnoszony, a przy tym nadużywany argument o ilościowo przytłaczającej dominacji środowiska wierzących, czy też katolików nad wszystkimi pozostałymi obywatelami o różnych orientacjach religijnych i filozoficznych. Wyprowadza się z tego nieraz wniosek, że owa większość jest uprawniona moralnie do wywierania decydującego wpływu na regulacje prawno-ustrojowe, dotyczące świeckiego charakteru życia publicznego.

Otóż obserwacja przynajmniej niektórych środowisk zawodowych i społecznych wcale nie potwierdza tak jednoznacznego poglądu, że niewierzący wraz z ludźmi obojętnymi religijnie i wyznawcami niekatolickich wyznań stanowią w sumie zupełnie nieznaczącą mniejszość. Stwierdzam to jedynie mimochodem, ponieważ argument „większościowy" w sprawach wolności sumienia niezgodny jest z zasadami humanizmu i tolerancji.

Nie rozwijając tematu szerzej (ponieważ wymagałby on odrębnego rozpatrzenia) zapytałbym tylko: czy tam, gdzie społeczeństwo jest silnie zróżnicowane religijnie lub gdzie wierzący stanowią mniejszość należałoby normy życia społecznego nagiąć do opinii i nastrojów większości! Na przykład — narzucić wierzącej mniejszości przymus obcowania z emblematami i hasłami antyreligijnymi w miejscach publicznych — szkołach i urzędach, miejscach pracy? Kto uznaje, że byłoby to pogwałceniem poglądów i uczuć, ten powinien konsekwentnie odrzucić argument większościowy.

Istniejący w Polsce — podobnie, jak np. we Francji czy Stanach Zjednoczonych — rozdział prywatnej sfery życia (do której zalicza się światopogląd filozoficzny i uprawianie kultu religijnego) od sfery publicznej obejmującej ogół obywateli, podyktowany jest zasadą wolności sumienia, czyli troską o eliminowanie z życia społecznego tego wszystkiego, co uprzytamniając ludziom dzielące ich różnice podtrzymywałoby atmosferę podziału obywateli, poczucie wzajemnej obcości i nieufności.

Wysuwany też bywa argument tego rodzaju: „Nie ma w szkole religii, a jest (lub ma być) wykład marksizmu. Czy nie oznacza to nierówności praw?" W istocie jednak sytuacja przedstawia się tak, że znaczna część dzieci i młodzieży, podlegając dobrowolnej katechetyzacji (z całkowitym przyzwoleniem władz) znajduje się faktycznie w orbicie wpływów światopoglądu religijnego, toteż niemożność zapoznania się ze światopoglądem materializmu naukowego (nie antyreligijnego, lecz areligijnego) oznaczałaby faktyczną nierówność szans w dokonywaniu świadomego wyboru filozoficznej orientacji.

Powiedzmy też bez osłonek, że ewentualne organizowanie poza systemem oświatowym zajęć marksistowskich przez te czy inne organizacje społeczne nie wytrzymywałoby w praktyce konkurencji z potężną i doświadczoną, od wieków wyspecjalizowaną instytucją kościelną. Być może niewszyscy przeciwnicy nauki marksizmu w szkołach zdają sobie sprawę, jak iluzoryczne byłoby „równouprawnienie" niewierzących z wierzącymi w państwie, którego instytucje zatraciłyby charakter świecki.

Inną przyczyną nieporozumień w dziedzinie przyjaznego, opartego na równości i tolerancji współżycia obywateli jest, jak mi się wydaje, przeświadczenie części wierzących o szczególnym obowiązku „misyjnym" w stosunku do osób niewierzących. Dobrze, jeśli polega to na — wypływającym z miłości bliźniego — pragnieniu nawrócenia go, w celu zapewnienia mu najwyższego dobra, jakim jest — w przekonaniu religii — zbawienie duszy. Taką postawę reprezentują ludzie zasługujący z pewnością na szacunek, skłonni są bowiem w niewierzącym widzieć bliźniego, nie zaś „demona zła", mierzą wartość każdego człowieka miarą jego wartości etycznej i w każdej moralnie słusznej sprawie gotowi są lojalnie z nim współdziałać.

Gorzej z innego typu „misjonarzami", których, moim zdaniem, wśród wierzących nie brak. Ich wiara, z którą często nie idzie w parze, zgodne z jej nakazami, godziwe życie, wyraża się głównie w nienawiści do niewierzących. Tak jakby swoje podświadome poczucie grzechu za łamanie obowiązujących nakazów i zakazów chcieli zmazać krzykliwym udziałem w „krucjacie przeciwko niewiernym", ponieważ spodziewają się, że będzie im to w zaświatach policzone za zasługę i przechyli szalę na ich korzyść.

Gdyby nawet nie mieli w swoim zasięgu niewierzących, musieliby ich „na siłę" wynaleźć, bo łatwiej i prościej dla człowieka prymitywnego wyżywać się w nienawiści niż wznieść się na moralne wyżyny chrześcijańskiej miłości bliźniego. Nie traćmy też z oczu, że w ich szeregach czują się jak u siebie „świeżo farbowani katolicy", którzy swój akces do religii zgłosili ze względów czysto politycznych i pragnęliby uczynić z niej instrument walki z ustrojem socjalistycznym.

I być może w związku z tym nieobcy jest niewierzącym następujący dylemat: czy lepiej mieć do czynienia z prymitywnie dewocyjnym i agresywnym „przeciwnikiem", nad którym przecież prędzej czy później można będzie przed opinią publiczną wykazać swoją moralną i intelektualną wyższość, czy też życzyć sobie, żeby społeczność katolicka w Polsce reprezentowała pogłębioną znajomość zasad wiary i moralne zasady postępowania? Trudniej jest sprostać takiemu wyzwaniu...

Jestem przekonany, że jednak to drugie jest z korzyścią dla wszystkich. Lepiej bowiem mieć światłego i rzetelnego partnera, pryncypialnego w obronie swoich niezbywalnych praw do religijnego modelu życia, gotowego zarazem do szczerego dialogu i lojalnego współdziałania z ludźmi o odmiennych poglądach w imię wyższych wartości — ogólnoludzkich, obywatelskich, narodowych.

Obie strony muszą zasługiwać na wzajemny szacunek, jeśli ich porozumienie ma dobrze służyć wspólnej sprawie.

# Relacja ze studenckiej dyskusji

*Dokończenie ze strony 1*

i ówdzie pod wojskowym parasolem odżyło przycupnięte „stare". Niektórym pomyliło się to, **czy stan wojenny powinien być metodą czy celem.**

Przykładów na racje tej ostatniej wypowiedzi można znaleźć niestety sporo. Stąd ważną jest i wciąż aktualną konkluzja, iż błędy, które zostały ujawnione po wydarzeniach sierpniowych spowodowały wielką szkodę dla partii, kraju i socjalizmu. Wielokrotnie jednak większe szkody może przynieść nieudolne albo pozorne naprawianie tych błędów. Już J. Kadar pisał:

**„(...) członkowie partii i naród mogą zawsze zrozumieć, że przy pracy nie można uniknąć błędów, czasami nawet poważnych błędów, ale nigdy nie zrozumieją i nigdy nie przebaczą kierownictwu powtarzania raz rozpoznanych i potępionych błędów..."**

W tym momencie dyskusji najczęściej „wypominano" władzy tryb przygotowania i uchwalenia w stanie wojennym ustawy o szkolnictwie wyższym, która, jak podkreś[illegible] dość zg[illegible]dnię, **„nawet w przybliżeniu nie odpowiada duchowi tego projektu, który był wcześniej konsultowany ze społecznością akademicką".** Nie chodziło bynajmniej studentom o upieranie się przy pierwotnych proporcjach ich reprezentacji we władzach uczelni, ale — jak to określali — o „kwestie bardziej zasadnicze".

Przy okazji tej dyskusji wyszło jednak, że nie tylko mogą mieć racje ci, którzy zarzucają władzy, że nie wyciągnęła do końca wniosków z „lekcji sierpnia", ale że i im samym nie zaszkodziłaby powtórka z lekcji historii najnowszej, tej zupełnie ostatniej, jak i wiedzy politycznej. A dla tych spośród dyskutantów, którzy tak głośno i po wielekroć wołali o moralną legitymację władzy do ogłoszenia stanu wojennego przypomnę, iż to prawda, że **leninowska zasada związku polityki i moralności nakazuje wszystkie formy działalności politycznej oceniać w myśl klasowych kategorii moralnych.** Ale ten kto z władzą walczy lub walczy o władzę winien pamiętać, że taka walka to nie zabawa pod trzepakiem, że to nie zabawka, a jeżeli już to taka, która może wybuchnąć, zranić ręce manipulatorów.

I jeszcze jedno — opozycji zawsze łatwiej obiecywać cokolwiek, bo nie ponosi za obietnice odpowiedzialności.

Ale te i inne prawdy były odrzucane przez większość sali, argumenty wyśmiewane. Cóż, można i tak, jednak tylko wówczas, kiedy z założenia nie chce się prowadzić dialogu, a jedynie wykorzystywać dyskusję do wygłaszania demagogicznych mów.

Taki stosunek doprowadził do tego, że — jak to skonstatował jeden z grona tych „z sali" — ten czas, który tu upłynął trudno nazwać dyskusją, to było „bicie piany". Ten sam student argumentował, iż bariera, która wyrosła między tymi „zza stołu", a tymi „z sali" była skutkiem różnych pozycji, na jakich znaleźli się działacze byłego NZS i twórcy ZSP.

**„Przecież przed 13 grudnia mogliśmy się z sobą dogadać, lepiej czy gorzej, ale mogliśmy. Były ku temu odpowiednie warunki, instytucje i demokratyczne struktury"** — wypomniał sąsiad.

W odpowiedzi jeden z tych siedzących za stołem zaprotestował:

**„Nie mogę przytoczyć wiele takich przykładów domawiania się, dogadywania SZSP i NZS. Mogę natomiast przypomnieć jedną z uchwał kongresu NZS, która wyraźnie zakazywała fraternizowania się członkom obu naszych związków. Być może tu, w Łodzi, uchwały tej nie przestrzegano, u nas, w środowisku warszawskim niestety tak".**

Jeszcze jeden zarzut i znów kolejna replika. Tak do pierwszej przerwy.

Tymczasem przypomnę — pytanie o stosunek do przeszłości, **to w istocie pytanie o to, czego potrafimy się z tej niedawnej historii nauczyć.** Tam na sali miałem przeświadczenie, że jak dotąd — niewiele!

## PYTANIE O STOSUNEK DO ZSP

W tym pytaniu nagabywano o przesłanki powstania Zrzeszenia i tzw. legitymację środowiska. Czy w ogóle powinni zaistnieć?

Jeden z wiceprzewodniczących władz naczelnych organizacji argumentował m. in.:

**— „Decyzja o podjęciu działania na rzecz powołania ZSP była wypadkową dwu tez. Pierwsza, chyba najbardziej oczywista, to konkluzja, że życie społeczne nie znosi próżni. Skutki formalno-prawne, polityczne i społeczne, wynikające z przerwania tradycji i ciągłości ruchu studenckiego byłyby niewspółmiernie wielkie. Po drugie — nie znam innej inicjatywy podobnej do tej, jaką podjęliśmy my. Wykorzystaliśmy po prostu pierwszy, sprzyjający moment reaktywowania organizacji studenckiej".**

Jest to myślenie i postawa typowa dla filozofii kolaboranta. — podejmuje ktoś z sali:

**— „Ja, albo nikt! Koniecznie ja, bo na moje miejsce przyjdzie ktoś inny, na pewno gorszy i będzie już zupełnie źle. Nie broniliście nas, działaczy b. NZS. Nie byliście z nami solidarni, bo sądzicie, że lepiej zachować ciągłość. W imię takich wartości nie okazaliście solidarności pokrzywdzonemu"** — zarzucano działaczom ZSP.

I odpowiedź:

**— „Uważam, że solidarność z pokrzywdzonym człowiekiem jest wartością sama w sobie. Są też różne sposoby wyrażenia tej solidarności. Trudno nam jednak zarzucać brak solidarności, skoro sami nie byliśmy w lepszej sytuacji. Nas też formalnie nie było. „Już w uchwale I Plenum SZSP ustosunkowaliśmy się do tej kwestii i wielu innych. Ale już wtedy zarzucano nam, że uczyniliśmy to «pod publiczkę»".**

Myślę, że co by wówczas SZSP nie uchwaliło, to samej organizacji, jej nikłemu już autorytetowi w środowisku akademickim niewiele by pomogło. Z drugiej strony działacze NZS już wcześniej okrzyczeli SZSP „organizacją skompromitowaną". Dziś ZSP utożsamiane jest często jako organizacja będąca kontynuatorem SZSP. Jeden z dyskutantów wyraził to tak:

**— „Intuicyjnie środowisko was nie akceptuje. Bowiem po pierwsze nie mogło powstać coś «przyzwoitego», w czasie kiedy wszystko co «przyzwoite» było niszczone** (np. NZS — przyp. K.J.S.). **Po drugie — wstąpienie do ZSP wiązałoby się z koniecznością wyrzeczenia się wielu wartości, których wyrzec się nie mogą. Dlatego propozycja pt. ZSP w moim rozumieniu nie jest propozycją „uczciwą" z przedłożonych środowisku akademickiemu..."**

Była to wypowiedź charakterystyczna dla tej dyskusji i równie megalomańska. W odpowiedzi jeden z tych „zza stołu" powiedział:

**— „Jest nas w ZSP około 17 tys. w całym kraju. Plenum Rady Naczelnej składa się w 70 proc. z ludzi bardzo młodych, studentów pierwszego i drugiego roku. Mają przed sobą perspektywę kilku lat studiów i tyleż samo działalności społecznej, a za sobą inne, może mniej trudne doświadczenia niż my, z byłych SZSP i NZS. To im powinno pomóc, to być może będzie ich atutem".**

Równocześnie działacze ZSP podkreślali, że nie przesądzają tego, iż propozycja organizacji studenckiej taka jak ZSP jest najlepszą ze wszystkich możliwych. Alternatywą jest samorząd studencki. W środowisku warszawskim powstają tzw. bratniaki. Są blokowani — jak przyznawał przedstawiciel środowiska warszawskiego — pomimo że w swoim statucie zapisali kierowniczą rolę PZPR. [illegible]e nie mają programu, bo za program trudno uznać dzielenie paczek, które otrzymali z Kościoła.

Jeśli pomysł z ZSP okaże się zły, jeśli okaże się, że Zrzeszenie środowisku nie jest potrzebne — nie upierali się ci „zza stołu" — to zapewne następcy stworzą nowy, lepszy model ruchu studenckiego.

Mówiono także o trudnościach, na jakie w działalności napotyka nowa organizacja:

**— „Jesteśmy bici z prawa i z lewa. Nie mamy nawet własnej propagandy, bo czyni się nam różne „wstręty". Nie mamy jeszcze dość sił, aby przebić się przez bariery biurokracji. Mamy koncepcję, naszej pracy na uczel[illegible]iach. Może jeszcze niedoskonałą, ale już jakąś. Czujemy odpowiedzialność za losy środowiska, choć nie twierdzimy wcale, że reprezentujemy poglądy wszystkich studentów. O co nam chodzi? Między innymi o to, aby środowisko nie traciło więcej niż utraciło dotąd. A utraciliśmy już w skali kraju 50 klubów studenckich oraz akademickie centrum rehabilitacji. Jeśli nie uzyskamy z jednej strony wiarygodności, a z drugiej — siły, to utracimy resztę. Będą o to mieli pretensje ci, którzy przyjdą po nas. Powiedzą, że „daliśmy ciało", że zaprzepaściliśmy to, co stworzyli w sensie bazy i dorobku nasi poprzednicy".**

## DLACZEGO ZSP?

Czyli pytanie o to, czy istnieje jakaś alternatywa.

W tym momencie dyskusji po raz pierwszy pojawiła się pewna zgodność stanowisk. Bowiem jedna i druga strona przyznała, że nie jest alternatywą „wewnętrzna emigracja", zamykanie się w okładkach skryptów. A więc co, jeśli nie ZSP? Tu już były różnice. To co wymieniano najczęściej to: samorząd studencki, osiedlowy, kluby zainteresowań, kluby dyskusyjne, nieformalne grupy rówieśniczo-przyjacielskie itp.

Na wstępie tej części dyskusji zaprezentowano wyniki sondy przeprowadzonej przez SR „Zak". Na pytanie: czy wstąpisz do ZSP? — odpowiadano: **„Nie. Bo to jest organizacja stworzona „przez nich", a nie nas samych; nie przekreślam ich zupełnie. Decydować będą efekty, a ponadto jeśli nie będzie innej organizacji, to ludzie tam pójdą; mało wiem o Zrzeszeniu, nie znam programu, więc trudno mi się wypowiedzieć; stan wojenny ciąży na wszystkim. Oni wtedy powstali, a więc i ZSP ma tę samą pieczątkę, co nowe związki w zakładach pracy; nie. Na pewno nie. Zrzeszenie nie jest mi potrzebne".**

Ale były i takie odpowiedzi:

**— „Jestem turystą, a ZSP daje pieniądze na turystykę. Mój związek z tą organizacją polega jedynie na podpisaniu deklaracji wstąpienia. Lubię turystykę i chcę ją uprawiać. W przeciwnym razie nie zapisałbym się do nich".**

**— „Jako osoba fizyczna dobrowolnie do ZSP bym nie wstąpił. Jestem działaczem klubowym, a ZSP daje pieniądze na działalność naszego klubu. Wstąpiliśmy zbiorowo do Zrzeszenia. Korzystam z pomocy ZSP, dlatego nie wypada mi jakoś się z tą organizacją nie utożsamiać".**

Wymowne, prawda? Stąd trudno się dziwić tego typu reakcji, jak ta zacytowana niżej:

**— „Mnie to oburza. Idą tam, bo dają pieniądze! Szczególny rodzaj akceptacji ZSP. Z drugiej strony współczuję tym bez poglądów i o nijakiej postawie, ale to przecież przez takich jak oni tak wiele w naszym kraju przegrywamy. Są jak ten rękaw podatny na każdy podmuch wiatru. Jeśli wśród nas, przyszłej inteligencji przeważać będą tacy, co to albo będą woleli czekać w nieskończoność, albo tylko brać, to nasza Łódź, Polska, nie popłynie w żadnym kierunku. Będziemy kręcić się w koło aż do następnego „tąpnięcia".**

Równocześnie przeciwnicy ZSP, działacze b. NZS byli konsekwentni i uparci w negacji Zrzeszenia. Przykładem na to może być jedna z ostatnich wypowiedzi w dyskusji, która sprowadza się do następującego stwierdzenia:

**— „Dla mnie ZSP jest rodzajem kuchni polowej. Jeśli my, studenci, będziemy grzecznie stali w rządku, to każdemu coś tam się dostanie. A ja myślę, że o to nam wcale nie chodzi. Przykładem może być brak zorganizowanej reakcji na ograniczenie stypendiów. Każdy po pokojach psioczył, ale nikt z tym nie wyszedł otwarcie. Dlaczego? Widać nie to już dziś dla większości studentów jest najważniejsze. Człowiekowi tonącemu nie potrzebna jest pajdka łaskawego chleba. Zabrano nam, studentom, po 13 grudnia coś o wiele więcej niż NZS. I tej straty dziś ZSP nie zastąpi..."**

Ta ostatnia wypowiedź zabrzmiała tonem szczególnie gorzkim. Źródłem tej goryczy jest świadomość przegranej działaczy b. NZS, ale jest dużo racji w tym, że sytuacja w uczelniach daleka jest od dobrej. Apatia, obojętność i poczucie bezsiły, świadomość, a raczej przekonanie o braku szans życiowych, to dominanty poglądów i postaw znakomitej części studentów. Ta sytuacja wymaga pilnej zmiany. Jeśli ta generacja nie jest dzisiaj „straconym pokoleniem", to może się okazać nim za lat kilka, u progu samodzielnego zawodowego i społecznego życia. Za tę ewentualność, której wcale nie musi życie potwierdzić, nie będzie odpowiedzialnym jedynie ZSP.

## I PYTANIE OSTATNIE

To pytanie o sens, potrzebę i konkluzje tej dyskusji. Jeden z uczestników spotkania powiedział m. in. w ten sposób:

**— „Były tu stawiane jakby dwie tezy, dwa generalne pytania. Pierwsze pytanie o to, czy aktywność społeczna w naszym środowisku musi być okrzyczana mianem kolaboracji? Druga teza głosi, że najwyższą wartością jest solidarność środowiska. W imię tej solidarności można np. nie robić nic, albo robiąc coś, jak np. członkowie ZSP można być oskarżonym, że tę solidarność się depcze. A przecież w ZSP są nie tylko ci, co znają się na buchalterii, ale i tacy, co chcą pisać nie tylko do szuflady i śpiewać nie tylko do lustra w swoim pokoju, czy spotykać się w jakiś bliżej nieokreślonych grupach dla własnej satysfakcji, doskonalenia retoryki. Prawdą jest, że organizacja powstała w momencie trudnym. Stan wojenny długo będzie przez większą część społeczeństwa wspominany niemile. Z czasem jednak nowe roczniki nie będą przed przystąpieniem do ZSP zastanawiały się czy warto, bo organizacja powstała w stanie wojennym. Będą tam szli ci młodzi po to, aby znaleźć w ZSP formy sensownego życia w szkole wyższej.**

**Mówię to po to, aby powiedzieć, że ceniąc dyskusję za jeszcze cenniejsze uważam działanie. Ono zadecyduje o przyszłości ZSP. Perspektywa nowego wielkiego konfliktu społecznego w kraju, do której tu niektórzy agitowali mi nie odpowiada jako cel sam w sobie. Czekanie na jego eksplozję, szykowanie się do tego wybuchu, to w istocie destrukcja. A to mi nie odpowiada, to jest wbrew sensowi życia. Wierzę, że ZSP przetrwa, ale nie dlatego, że przekonali mnie ci, co tej organizacji bronili, ale dlatego, iż uważam, że w przyszłości przyjdą do Zrzeszenia młodzi studenci nie po pieniądze, ale dlatego, że będą chcieli coś przez Zrzeszenie zrobić dla siebie, uczelni, środowiska".**

Inni zachęcani do podzielenia się opinią, co dała im ta dyskusja o ZSP i nie tylko o Zrzeszeniu, powiedzieli:

**— Myślę, że to był dobry początek:**

**— Dyskusja utwierdziła mnie w przekonaniu, że tam gdzie rozmawia dwóch Polaków muszą być trzy zdania;**

**— Uważam, po tym co tu usłyszałem i nie tylko, że ZSP przetrwa, że propozycja takiej organizacji była środowisku potrzebna. Nie usłyszałem tu nic więcej ponad własne wątpliwości, które sam miałem przed wstąpieniem do Zrzeszenia. Ponadto nie zaprezentowano tu żadnej rozsądnej alternatywy poza stanięciem obok.**

**— Mnie nasunęła się taka konkluzja: dialog dwu stron, które nie chcą, nie potrafią lub nie mogą się wzajemnie zrozumieć, to tylko suma dwu monologów...**

# Dialog czy suma dwu monologów?

Foto: M. Zajdler

**KAROL JÓZEF STRYJSKI**

## Spór nie tylko o kino „Polesie"

# Kinodrama

Ubędzie Łodzi następne kino, ubędzie Retkini jedyne kino. Ubędzie wreszcie jedno z dwóch kin na Polesiu.

Zapadła decyzja o likwidacji „Polesia". ZOZ poleski wymówił kinu dzierżawę. Bo faktem jest, że budynek kina jest własnością ZOZ, konkretnie szpitala im. Madurowicza. Płacono miesięcznie kilkanaście tysięcy za dzierżawę i w ten sposób kino funkcjonowało na cudzym. Przez ponad 20 lat nikomu to w zasadzie nie przeszkadzało, było kino i był obok szpital. Niedawno jednak ktoś wpadł na pomysł, że trzeba „sąsiada" wchłonąć w kompleks budynków szpitalnych. Zabrać kino i koniec.

JANISŁAW KARCZEWSKI — dyrektor do spraw technicznych ZOZ Łódź-Polesie:

— *Zerwaliśmy umowę o dalszej dzierżawie z trzymiesięcznym wypowiedzeniem. Od 1 kwietnia 83 powinniśmy przejąć budynek kina, został jednak problem zapłacenia przedsiębiorstwu kilkaset tysięcy złotych za plany remontu, które zostały już zrobione. Oczywiście zapłacimy, plany być może będą nam przydatne.*

*Za zlikwidowaniem kina przemawia przynajmniej kilka czynników. Po pierwsze, nie do pomyślenia jest fakt, że bezpośrednim sąsiadem szpitala jest kino. W szpitalu słychać gwar wychodzących widzów, ponadto bliskość podjazdu dla karetek pogotowia w każdej chwili mogłaby się skończyć wypadkiem. Poza tym — trudne warunki lokalowe naszego ZOZ. Proszę sobie wyobrazić, że nie mamy żadnej sali, która mogłaby pomieścić tylu pracowników. Nie ma pomieszczenia dla organizacji, związków, dla partii. Szpital nie ma wreszcie przyzwoitej pralni i suszarni.*

*Remont i adaptacja pomieszczeń potrwałyby kilka miesięcy. Przedtem jednak musimy przejąć budynek. Nie mając jeszcze w swoim posiadaniu lokalu nie możemy podjąć konkretnych decyzji, jeżeli chodzi o remont.*

LUCJAN ŻYDOWSKI — lekarz naczelny Szpitala im dr. M. Madurowicza:

— *Już od dłuższego czasu jest przetarg czy kino „Polesie" ma być kinem, czy też ten budynek ma służyć lepszemu funkcjonowaniu szpitala. Nie chodzi przecież tylko o to żeby położyć gdzieś chorych, ale również o zaplecze. U nas są bardzo ciężkie warunki, proszę pana. Chociażby pralnia i suszarnia, brakuje pomieszczeń socjalnych, nie ma też odpowiedniego pomieszczenia, gdzie mógłby się zebrać cały personel szpitala.*

*Moim zdaniem nie będzie wielkiej straty. Kino nie spełnia dzisiaj swojej roli, jest przede wszystkim za małe i bardzo zaniedbane. Owszem, uważam, że w tak wielkiej dzielnicy powinno być kino. Ale jakieś nowe i estetyczne, nigdy ten budynek. Poza tym, kto to słyszał, żeby kino było bezpośrednim sąsiadem szpitala, żeby pacjenci mieli bezpośredni kontakt z oczekującymi przed budynkiem kinomanami i odwrotnie. Dlatego też uważam, że decyzja o zabraniu kina dla potrzeb szpitala jest w pełni zasadna.*

*W tym budynku będzie pralnia, suszarnia, poprawimy pracę laboratoriów. W sali kinowej będą mogły odbywać się zebrania całego zespołu, organizacji. Poza tym ta sala służyć będzie Instytutowi Ginekologii i Położnictwa AM, jako sala wykładowa dla studentów.*

*A o kinie dla Retkini należało pomyśleć wcześniej. O wolno stojącym, przestronnym i ładnym budynku. W ogóle o domu kultury, drogi panie.*

Takie argumenty postawili ZOZ-owcy. Bezwzględnie postanowiono kino zlikwidować. Sytuacja o tyle jest wygodna, że ZOZ jako właściciel budynku ma prawo zerwać umowę. Z trzymiesięcznym wypowiedzeniem. Zabrać klucze, po prostu.

Na osiedlu zawrzało, nic dziwnego — lokatorzy Karolewa i Retkini zostaną pozbawieni jedynego kina.

ZOFIA P.: — *Ja co prawda do kina chodzę rzadko, nie mam czasu. Ale tutaj mieszka dużo młodzieży, będą musieli teraz dojeżdżać kawał drogi od centrum. Albo mniejsze dzieci, do tej pory miały okazję przyjść na poranek, na bajki. Z „Polesia" korzystała również młodzież szkolna, która nie musiała „pchać" się tramwajem do śródmieścia.*

KAZIMIERZ W.: — *Retkinia właściwie nie posiada żadnego przybytku kultury, nie ma żadnych możliwości rozrywki. Do tej pory nie pomyślano o budowie jakiegoś domu kultury. Tymczasem likwiduje się jeszcze kino. Granda...*

Z pisma do I sekretarza KC PZPR i ministra kultury i sztuki oraz prasy terenowej:

*„...My, mieszkańcy największego osiedla mieszkaniowego Retkinia i Karolew w Łodzi, będącego pustynią kulturalną, bo nie posiadającego żadnych obiektów i inwestycji kulturalnych, oprócz istniejącego kina „Polesie" II kategorii, zwracamy się ze skargą na powstały zamysł dyrekcji szpitala im. Madurowicza, zlikwidowania z dn. 31 marca br. tej, tak potrzebnej kulturalno-propagandowej placówki, poprzez wymówienie umowy o najem sali kinowej z przyległymi pomieszczeniami, w których — po wyrugowaniu kina, ma być urządzona suszarnia bielizny dla potrzeb szpitala.*

*My nie negujemy potrzeby zbudowania czy zmodernizowania suszarni bielizny, ale należy tę sprawę rozwiązać w sposób inny, rzeczowy i bez krzywdy dla społeczeństwa Retkini i Karolewa, a mianowicie budując odpowiedni, tani pawilon...*

*...Zlikwidowanie kina dla celów suszarni bielizny spowoduje to, że nasza młodzież zostanie sprowadzona na dalszą złą drogę, wzorem lat 60 i 70-tych, na chuligaństwo, rozboje, kradzieże, gwałty, kiedy to nikt o młodzież nie dbał, oprócz deklaracji i obietnic, a wszystko likwidowało się w kulturze, co wywołuje wiadomo, żałosne skutki, do czego my, robotnicy Retkini i Karolewa, obecnie dopuścić nie możemy..."*

I tak dalej.

JANUSZ WIŚNIEWSKI — kierownik „Polesia":

— *Do 1980 roku „Polesie" było kinem związkowym, od osiemdziesiątego roku podlega pod Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów. W 1981 roku zawarta została umowa na czas nie określony pomiędzy ZOZ a OPRF o wynajem lokalu. Płacimy czynsz — 11 tysięcy w okresie letnim i 14 tys w okresie ogrzewczym. Kiedy umowa została już podpisana, kiedy było wiadomo, że możemy zacząć coś robić, nosiliśmy się z zamiarem gruntownego remontu. Postanowiono w lipcu ub. roku, za porozumieniem z ZOZ, że rozpoczniemy remont. Powstał plan remontu za 600.000 zł.*

*Postanowiliśmy wymienić krzesła na widowni, powiększyć poczekalnię, zrobić osobne wejście do kabiny, malowanie, ruchomy ekran. Remont miał rozpocząć się w grudniu i trwać osiem miesięcy, były już tzw. moce przerobowe.*

*Tymczasem ZOZ w grudniu ub. roku polecił odwołać remont i wymówił nam dzierżawę. Od 31 marca 83 kino miało zaprzestać działalności. Niemniej jednak „kręcimy" dalej. Dyrekcja wydała mi polecenie, żeby przynajmniej do końca kwietnia. Działamy więc niejako nielegalnie. Cóż, trzeba walczyć. Mam nadzieję, że władze miasta podejmą w tej kwestii przemyślaną decyzję.*

„POLESIE" ma 230 miejsc na widowni. Nie było w historii kina, podobno, dnia kiedy odwołano by seans z powodu braku widzów. Wprost przeciwnie, bywają takie dni w miesiącu, że przynajmniej dwieście osób odchodzi od kasy niezadowolonych, ponieważ zabrakło biletów. Bardzo często grane są dodatkowe seanse.

JANUSZ WIŚNIEWSKI: — *Nasze kino zawsze cieszyło się dobrą frekwencją. W ubiegłym roku, w ciągu dziewięciu miesięcy mieliśmy ponad 58 tysięcy widzów. Z „Polesia" korzystają szkoły, wyświetlamy filmy tzw. lekturowe. Dyrekcje szkół najbardziej ubolewają z powodu decyzji o likwidacji.*

Próbowano szukać rozwiązań pośrednich. Żeby było kino i żeby była pralnia i sala konferencyjna dla potrzeb szpitala. Dyrektor do spraw technicznych Okręgowego Przedsiębiorstwa Rozpowszechniania Filmów — JANUSZ PASZCZUK — przyznaje, że były w tej sprawie odpowiednie pisma. Do południa budynek służyłby szpitalowi, po południu kinomanom. Rozwiązanie optymalne i cieszące wszystkich.

JANUSZ WIŚNIEWSKI: — *Nic nie stałoby na przeszkodzie, żeby w podziemiach kina była pralnia i suszarnia. Nie musielibyśmy rozmontowywać aparatury, seanse mogłyby się normalnie odbywać. Ale gdzie tam. ZOZ w ogóle nie chce o takim rozwiązaniu słyszeć. Sądzę, że grają tutaj względy natury ambicjonalnej. Kosztem mieszkańców.*

*Ja rozumiem, że dzisiaj każde szpitalne łóżko jest niezbędne. Gdyby o to chodziło, nie ma żadnej sprawy. Ale zamiast kina zrobić salę konferencyjną? Czy naprawdę nie ma innej możliwości. Czy, na ten przykład, nie lepiej postawić z przeznaczeniem na pralnię i suszarnię jakiegoś wolno stojącego pawilonu? Ile wybudowanie takiego pawilonu mogłoby kosztować? Trzy, cztery miliony? A wybudowanie nowego kina to kilkadziesiąt milionów. Jaka w tym logika, ja się pytam.*

*Sytuacja kin w ogóle w Łodzi jest bardzo kiepska. Likwiduje się „Polesie", „Pionier". Nie wiadomo, czy Filharmonia nie zabierze „Bałtyku". Chodzą słuchy o likwidacji „Romy" i „Rekordu". Mówią mi niektórzy, po co kina, skoro jest kryzys i nie ma co grać. A ja się pytam, co będzie kiedy będą filmy i nie będzie gdzie ich wyświetlać. Zbudujemy na gwałt kilka nowych kin?*

Niegdyś Łódź słynęła z największej ilości kin, dzisiaj kina się likwiduje. Niedawno zamknięty został „Pionier" z powodu złego stanu techniczno-sanitarnego i złej lokalizacji. Niejako „na włosku" wisi sprawa „Połonii". Miała być remontowana, wrócić do dawnej swojej elewacji. Nie ma jednak wykonawcy. Tymczasem wyłączono z użytku balkon, a i stan techniczny pozostałej części jest fatalny. Remontu wymagają też inne łódzkie kina. Kina łódzkie są bowiem stare. „Iwanowo" wybudowano osiem lat temu. I koniec.

Najwięcej mamy kin w Śródmieściu, kilka w dzielnicach mieszkaniowych i na peryferiach. Retkinia i Dąbrowa pozbawione są kin w ogóle. Gdyby na przykład porównać kilkudziesięciotysięczne miasta w kraju pod względem ilości kin z ponad stutysięczną Retkinią — paradoks jest wyraźny. Mieszkańcy Retkini muszą pokonać ileś tam kilometrów zatłoczonym tramwajem, żeby obejrzeć film w kinie. Tak samo Dąbrowa. Kiedy jeszcze nie ma żadnego domu kultury, żadnej alternatywy, sytuacja staje się bardziej dramatyczna, szczególnie w przypadku młodzieży.

Były plany budowy nowych kin w Łodzi. Były plany i lokalizacja kina na Retkini. Przygotowane są już dokumentacje kina typu „Iwanowo" na osiedlu „Wielkopolska" i kina „Centrum" róg Piotrkowskiej i Al. A. Mickiewicza. Z planów budowy wycofała się Spółdzielnia Mieszkaniowa, która miała, po wybudowaniu, kina przekazać OPRF.

Były kiedyś czasy, nie bardzo „kinowe". A dzisiaj jest kryzys i kółko zamknięte.

Tymczasem frekwencja w kinach, wbrew pozorom, nie spada.

STEFAN WDZIĘCZAK — kierownik Działu Rozpowszechniania Filmów Fabularnych OPRF:

— *Żeby nie być gołosłownym kilka cyfr. W 1976 roku mieliśmy w Łodzi 9,4 mln widzów, w 77 roku — 7,8, w 81 — 6,9, w tym roku za pierwszy kwartał jest już ponad 1,4 mln widzów. Jak na czasy kryzysowe frekwencja jest dobra. Proszę wziąć pod uwagę fakt, że w ubiegłym roku było tylko 12 filmów zachodnich. Model lat pięćdziesiątych był taki, że 40 proc wyświetlanych filmów było zachodnich, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych ta koncepcja zaczęła się załamywać. W najbardziej „chudych" latach było tych filmów rocznie około pięćdziesięciu.*

*Dzisiaj okazuje się, że każdy atrakcyjny film przyciąga tłumy widzów. Na niektóre, szczególnie młodzi ludzie, przychodzą po kilka razy.*

Obecnie województwo miejskie łódzkie posiada jeden z najniższych wskaźników miejsc kinowych. O ile średnia krajowa wynosi około 20, to w Łodzi na tysiąc mieszkańców przypada 12,7 miejsc kinowych, a w województwie tylko 7,7. Wiadomo też, że ten, bardzo niski, wskaźnik będzie jeszcze malał i w roku 1985 spadnie poniżej dziesięciu. Przybędzie przecież ludzi, a część kin prawdopodobnie się „rozsypie".

Spośród 44 kin, tylko dwa zostały zbudowane po wojnie. Na 44 kina — 20 jest w średnim stanie technicznym i kilkanaście w bardzo złym. Tymczasem, mimo planów remontów, żaden nie został zrealizowany.

Tylko dwa łódzkie kina posiadają szatnie i zaplecze do działalności studyjnej.

EWA MILLER z Wydziału Kultury i Sztuki UMŁ:

— *Stanowisko władz miasta w sprawie „Polesia" praktycznie nie istnieje, ponieważ zblokowały się dwa inne stanowiska. Poza tym kina nie podlegają Wydziałowi Kultury i Sztuki, tylko OPRF. Jesteśmy niejako głosem trzecim, godzącym.*

*Sytuacja na dzień dzisiejszy wygląda tak: prezydent podtrzymuje decyzję o przekazaniu kina ZOZ, niemniej jednak dyrektor Wydziału Zdrowia zaproponował spotkanie dyrekcji ZOZ z dyrekcją OPRF. Chodzi o osiągnięcie kompromisu, tzn. do południa sala wykładowa dla studentów medycyny, po południu kino.*

Na razie w „Polesiu" są normalne seanse. Jak to się mówi — cisza przed burzą. Bo konflikt trwa.

**JACEK BINKOWSKI**

# Czy opłaca się być wynalazcą?

## ROZMOWA Z SEKRETARZEM WOJEWÓDZKIEGO KLUBU TECHNIKI I RACJONALIZACJI W ŁODZI MGR WACŁAWEM KULPIŃSKIM

**— Zakładom przemysłowym powinno opłacać się wykorzystywanie wniosków, bo działają trzy „S", zaś racjonalizatorom powinno się opłacać zgłaszanie ich, bo o połowę wzrosły średnie uzyskiwane przez nich za pomysły stawki. Czy obserwuje pan jakieś objawy wskazujące, że ruch racjonalizatorski wychodzi z dołka, w jakim znalazł się na początku lat osiemdziesiątych?**

— Wskutek tego, że przedsiębiorstwa załatwiają sobie duży zysk ustalaniem nowych, wyższych cen rzadko kto sięga po racjonalizację. Metoda cenowa jest i szybsza, i łatwiejsza, i — na krótką metę — skuteczniejsza.

Moim zdaniem, dno kryzysu w ruchu racjonalizatorskim mamy już za sobą. Powoli bo powoli, ale coraz więcej ludzi zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, że takie dziedziny, jak na przykład oszczędność surowców, materiałów, energii i paliw mogą stać się domeną zakładowych racjonalizatorów. Coraz bardziej upowszechnia się świadomość faktu, że ponad połowa wartości wszystkich proponowanych przez nich rozwiązań dotyczy właśnie pomysłów na racjonalizację zużycia tych ważnych materiałów.

Żeby nie być gołosłownym powiem, że w Łódzkich Zakładach Radiowych „Fonica" racjonalizatorzy 8 razy uratowali przedsiębiorstwo przed postojem z powodu braku niektórych surowców, szczególnie importowanych.

**— Nie wszędzie jednak jest tak dobrze...**

— Podam jeszcze wyniki badań, jakie przeprowadziliśmy w grupie 17 dużych przedsiębiorstw. Wyraźny wzrost ilości projektów wynalazczych nastąpił aż w 13 zakładach. Najlepiej jest w przemyśle lekkim, nieźle w chemicznym i maszynowym, zdecydowanie najgorzej w spożywczym.

**— Mówi się od lat, że barierami dla ruchu wynalazczego są między innymi: obawa kierownictw zakładów przed ryzykiem, inercja aparatu biurokratycznego, niechęć do zmian, które burzą układ, do którego wszyscy się już przyzwyczaili, podejrzliwe traktowanie tych, co się „wychylają". Czy tutaj następują jakieś zmiany?**

— Bardzo powoli, to jest zresztą sfera, w której przemiany zachodzą najwolniej. I najtrudniej jest je wymusić czy zasugerować, przepisami się tego nie da zrobić.

**— A czy przepisy działają już dziś we właściwym kierunku?**

— Problemem jest nadal dostosowanie przepisów o ruchu wynalazczym do zasad reformy gospodarczej. Na przykład podatek od wynagrodzeń płacony przez zakłady na rzecz Zakładu Ubezpieczeń Społecznych liczony jest w ten sposób, że obejmuje także wypłaty dla racjonalizatorów za wdrożone czy zakupioną projekty. Dziś, kiedy stawki tych wynagrodzeń są już niebagatelne, gdy najwyższa spośród nich wynosi milion, gdy na przykład w „Fonice" wpływa rocznie ponad 600 takich projektów, po zsumowaniu daje to poważne kwoty, od których zakład płaci poważne podatki. Paradoksalnie — im więcej i lepiej będą robić nowych rzeczy racjonalizatorzy, tym więcej podatku zapłaci od ich wynagrodzeń zakład.

Pamiętajmy, że to jest bardzo specyficzny rodzaj pieniędzy, te kwoty wynikające z zastosowania pomysłów. Te sumy urodziły się w zakładzie w wyniku twórczej pracy, która zwykle nie leży w zakresie obowiązków, której nie można nikomu nakazać.

Nie chodzi mi oczywiście o to, by zakład nie płacił podatku od zysku, ale powinien mieć chyba jakieś ulgi przy opłatach na ZUS od pieniędzy wynikłych z honorowania pomysłów, które w nim wymyślono i zastosowano.

Druga sprawa — staramy się doprowadzić do tego, by w zakładzie było widać fundusze wypracowane przez racjonalizatorów. Gdyby na przykład można było pewną ich część wyplacać załodze w postaci 15-tej pensji, gdyby można było zakupić za nie maszyny czy części zamienne lub też skierować te pieniądze na fundusz socjalny, każdy pracownik czułby sam, że tego typu działalność coś mu daje. Gdyby dostał tę piętnastkę, choćby niedużą lub gdyby dowiedział się, że wczasy będą o 500 złotych tańsze, bo dofinansowano je pieniędzmi wypracowanymi poprzez wdrożenia, to mielibyśmy inną sytuację niż dziś, gdy sumy te giną najczęściej w ogólnym bilansie zakładu. Nie chodzi o to, by wszyscy byli racjonalizatorami, lecz o to, by wszyscy widzieli sens takiej działalności i — co ważne — sami byli w powodzeniu tej działalności zainteresowani.

Na razie obie te sprawy, stanowiące niewątpliwie hamulec, nie są załatwione. A przecież nie kto inny tylko Henry Ford, założyciel wielkiego koncernu samochodowego i pionier nowej organizacji pracy, napisał w swoich pamiętnikach, że Polacy są narodem wynalazców, bo nie było miesiąca, żeby któryś z naszych rodaków czegoś w jego licznych fabrykach nie usprawnił. Należałoby tylko jak najlepiej wykorzystać tę polską smykałkę we własnym kraju.

**— Szykuje się nowy projekt prawa wynalazczego.**

— Dokument, nad którym trwa teraz dyskusja jest już czwartym z kolei projektem i wygląda na to, że po naniesieniu poprawek i uzupełnień, ostanie się jako podstawa dyskusji najpierw w komisji, a później na sesji Sejmu.

Projekt proponuje kilka ważnych zmian, między innymi wprowadzenie tak zwanego patentu gospodarczego, który ma służyć do zwalczania jednego z głównych niedomogów naszego systemu wynalazczego, a mianowicie nierozpowszechniania dobrych pomysłów. Otóż jeśli dziś prawie co drugi pomysł racjonalizatorski czy wynalazek jest wdrażany w zakładzie, w którym powstał, to tylko co trzydziesty ma szansę przekroczyć bramy macierzystego przedsiębiorstwa, choć oczywiście nadałby się i gdzie indziej. Metodą na zaradzenie temu ma być, między innymi, ów patent gospodarczy. Twórca będzie miał do wyboru — albo ubiegać się o zwykły patent albo poprzestać na patencie gospodarczym, który można otrzymać szybciej i dużo taniej. Jeśli inny zakład zainteresuje się rozwiązaniem chronionym przez taki patent będzie mógł nabyć do niego prawa poprzez zapłacenie zakładowi, w którym powstał, dwukrotnej stawki, jaką otrzymał twórca. To jest też taniej niż kupowanie praw do „regularnego" patentu. Procedura dla kupującego jest prostsza, a sprzedający może na swym pomyśle nieco zarobić. Ten fragment projektu wywołuje burzliwe dyskusje. Nowy projekt przewiduje też możliwość zniesienia górnej granicy zapłaty za wynalazek. Dziś jest nią milion złotych, w przyszłości — jeśli ten pomysł przejdzie — będzie to pewien stały procent od uzyskanych w wyniku zastosowania korzyści finansowych bez ograniczenia w górę.

**— Ciągle mówimy tylko o pieniądzach.**

— Jeśli przepisy wynalazcze mają być dostosowane do założeń reformy, to i tu powinna rządzić kalkulacja kosztów i zysków, a rozwiązania racjonalizatorskie, jako jeszcze jeden towar zakładu, powinny być wprowadzone do obrotu.

**— A inne zmiany?**

— Według założeń ustawy na zakłady ma być nałożony obowiązek „informowania twórców o istotnych czynnościach dokonywanych w postępowaniu zgłoszeniowym przed Urzędem Patentowym PRL oraz o czynnościach i orzeczeniach tego Urzędu podejmowanych w toku postępowania zgłoszeniowego". Skończą się być może czasy, kiedy twórca miał kłopoty nawet z dowiedzeniem się, gdzie i na jakim jest etapie procedura rozpatrywania jego pomysłu.

Dyskusje nad projektem trwają, ale powoli zmierzają już ku końcowi.

**— Jak wpłynęły burzliwe wydarzenia polityczne ostatnich lat na nastroje w środowisku ludzi „z pomysłami"?**

— Regres wynalazczości miał cały szereg przyczyn. Trzeba pamiętać, że rozwój czy osłabienie wynalazczości jest bardzo czułym barometrem napięć społecznych. Wielkie wydarzenia polityczne, kryzys gospodarczy czy społeczny nie wpływają stymulująco na tego typu ruch. Proces wynalazczy jest, z zachowaniem wszelkich proporcji, procesem twórczym i wymaga co najmniej małej stabilizacji. W ogonkach przed sklepami nie wymyśla się ani nie opracowuje nowych pomysłów. Gdyby natomiast udało się stworzyć dla racjonalizatorów pole do skutecznego działania, ogonki te mogłyby być krótsze.

**Rozmawiał:**
**KRZYSZTOF KRUBSKI**

# ŚWIAT PO RAZ PIERWSZY

Foto: MIROSŁAW ZAJDLER

**Fotoreportaż zrealizowano w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym im. M. Kopernika w Łodzi. W tych dniach minęło dziesięć lat od przyjęcia pierwszego pacjenta, a widoczna na zdjęciach dziewczynka jest 23.670 dzieckiem urodzonym w „Koperniku". Redakcja dziękuje dyrekcji i personelowi Szpitala za okazaną pomoc w wykonaniu zdjęć**

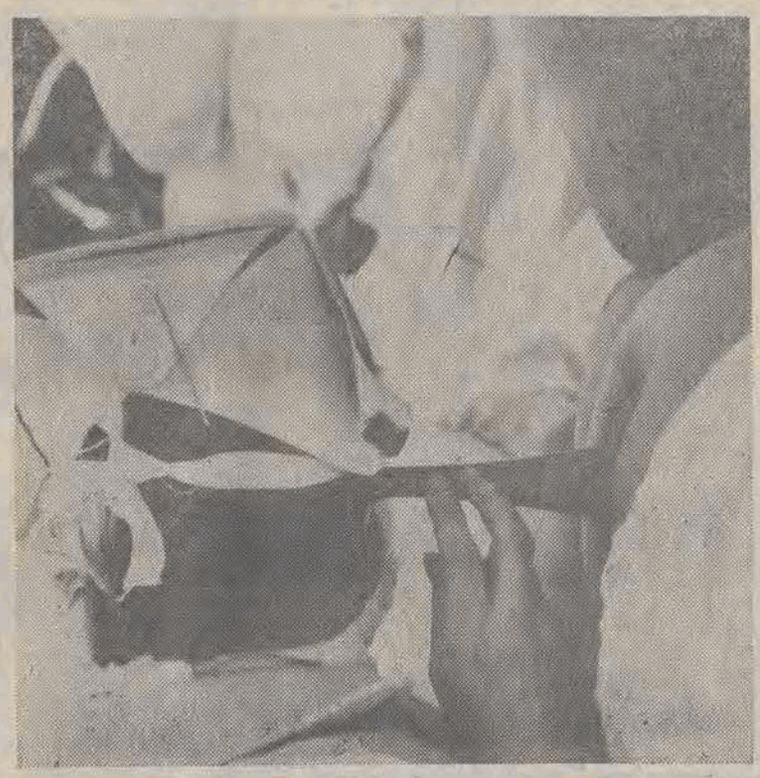

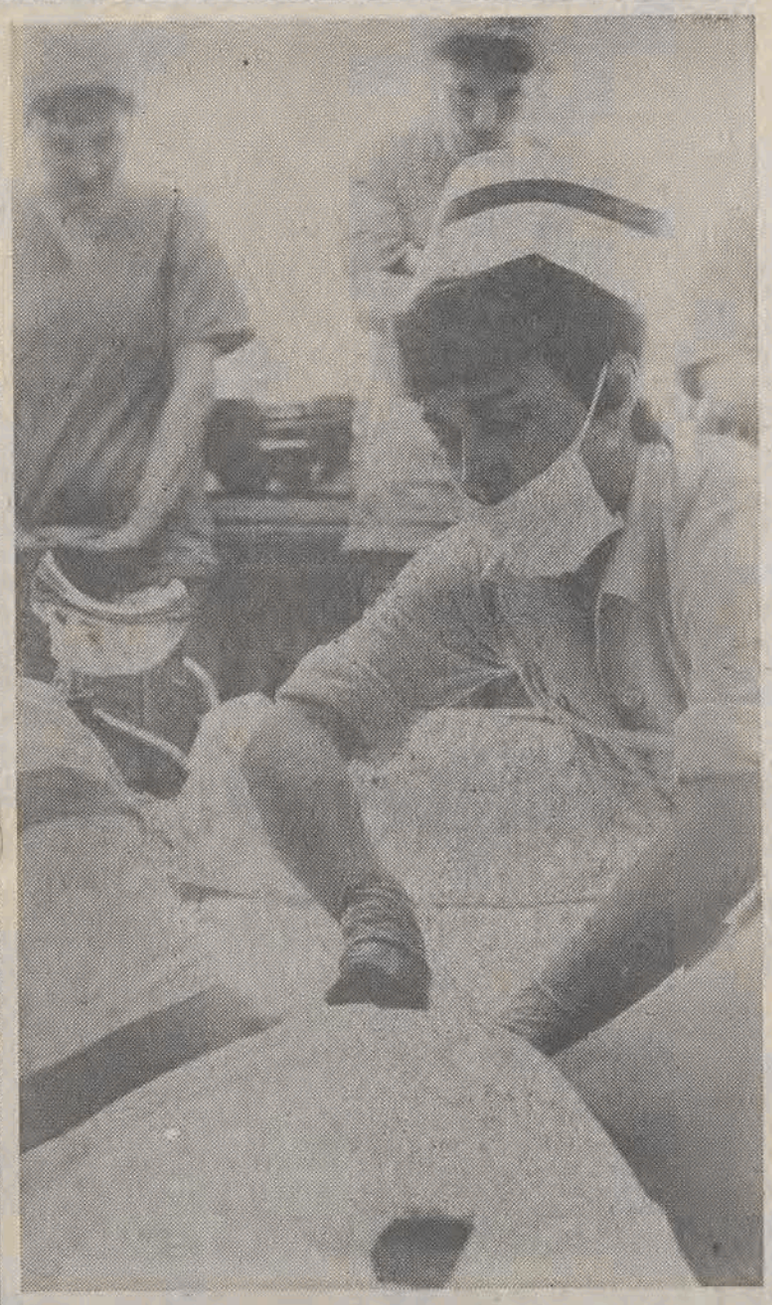

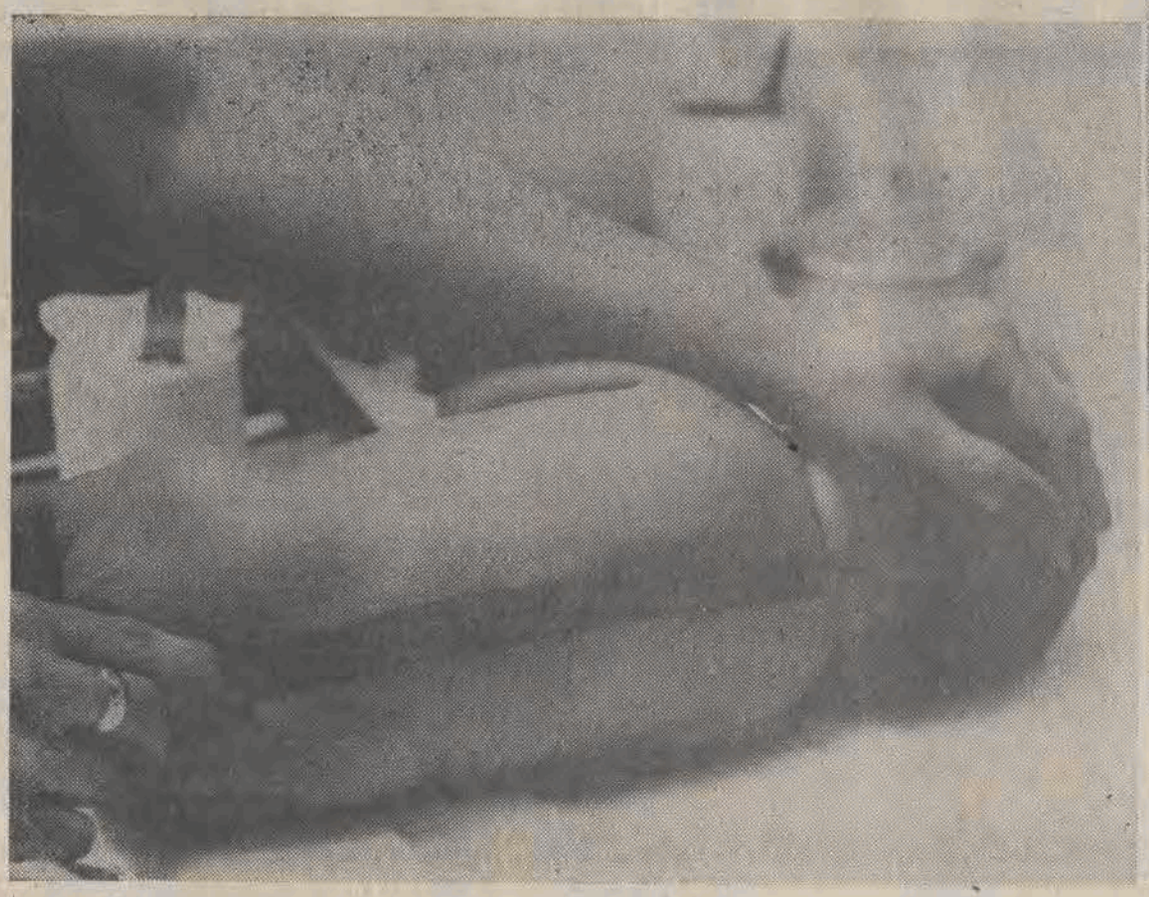

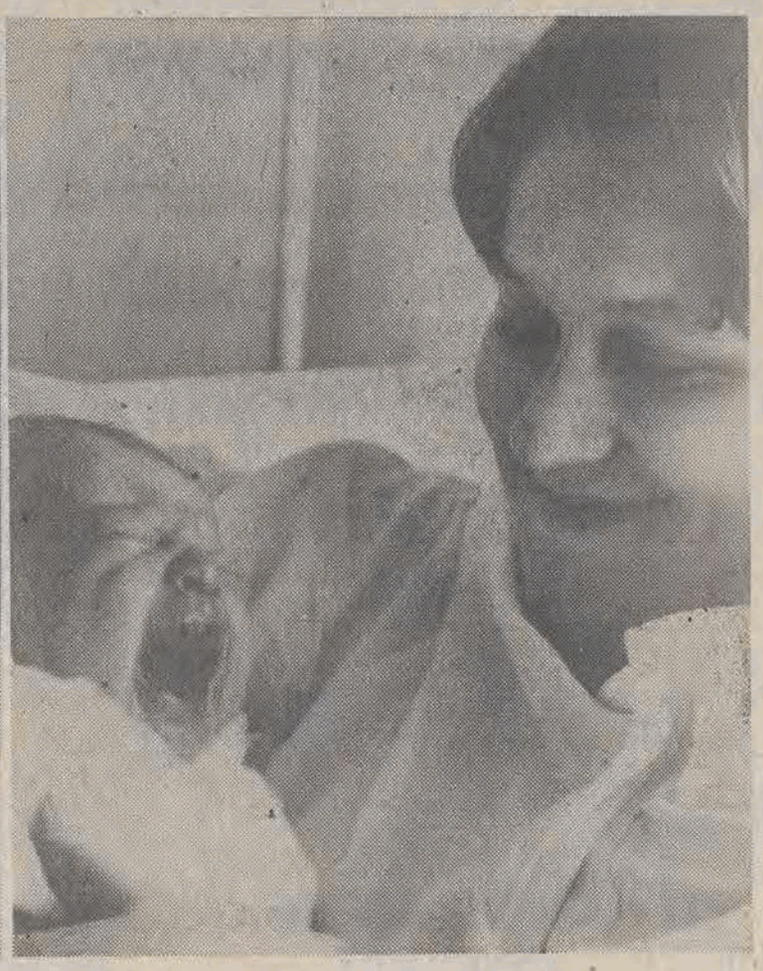

*Roman Gorzelski*

# Ty i ja

**Ty jesteś wzgórzem białozielonym**
**— ja małą zrozpaczoną mrówką**

**ty jesteś powodzią inflacji**
**— ja drobną monetą zdawkową**

**ty jesteś szybką falą radiową**
**— ja przestarzałym charczącym odbiornikiem**

**ty jesteś butelką wspaniałego koniaku**
**— ja obrzydliwym starym pijakiem**

**ty jesteś statkiem na pełnym morzu**
**— ja rozbitkiem na brzegu**

**ty jesteś wspaniałą książką**
**— ja człowiekiem nie umiejącym czytać**

**dlatego ty pozostajesz**
**— a ja odchodzę...**

# Ten wiersz

**Czytasz ten wiersz — na chwilę zapominasz**
**że mróz za oknem że zdradza ciebie dziewczyna**
**i że bezdomny pies szedł dziś za tobą długo**
**z ufnością patrząc ci w oczy**

**czytasz ten wiersz — tramwaj przed chwilą wyskoczył z szyn**
**i wpadł na fronton domu w którym akurat śpiewano**
**Ave Maria i szampan przygotowywano i kieliszki**

**czytasz ten wiersz — pan Mróz z zimy stulecia**
**schodzi powoli z okien i drzwi: twoja samotność**
**łączy cię z Szopenem i z reprodukcją Makowskiego**
**na ścianie (nie wyłączyłeś radia więc wysłuchasz**
**ostatnich wiadomości)**

**czytasz ten wiersz — ty część natury**
**część naturalnego swego środowiska**
**które — nie myśląc o tym — dewastujesz**

**czytasz ten wiersz — i o jeden wiersz jesteś**
**bliżej śmierci o jedno spotkanie z kobietą**
**o jeden kotlet (kartkowy) o jeden mecz piłkarski**
**— jesteś coraz bliżej przeznaczenia**
**(a mimo to spotykamy się z bliźnimi**
**chociaż mowa jest srebrem albo często**
**srebrnikiem)**

# Nowy testament

**Niewolnik zawsze mówi — tak**
**wyraża to prozą albo wierszem bo zawarł więzienną przyjaźń**
**która zmusza go do cichego posłuszeństwa i dlatego**
**wszystko ma ładnie w ustach poukładane i tylko kiedy w oczach**
**pojawiają się czerwone błyski — nagle zaczyna się bać swojego**
**zgarbionego cienia — chudnie w jednej chwili bo**
**przypomina mu się trzask łamanych kości**

**Niewolnik coraz śmielej porusza się pośród wszelkiej podłości**
**jego pan pomógł mu wyprzeć się chrześcijaństwa**
**w którym niegdyś fascynowała go równość i sprawiedliwość**
**a zwłaszcza tyle swobody że nawet nogom stawało się**
**przestronnie**
**ach ta straszna łuna wolności która go nawiedza teraz w snach**
**dlatego zawsze rano patrzy z uporem na równinę wynurzającego**
**się**
**słońca lecz ostatni szkarłatny promień przypomina mu o cenie**
**krwi**
**o stołach pełnych chleba o pełnych wrzawy igrzyskach**

**W ręku pana odpoczywa bat o poczerwieniałych rzemieniach**
**usta niewolnika wypluwają rumiane pęcherzyki śliny**
**w pogodny wyraz ustawia rysy twarzy**
**płucze bat w bieli postukującego kamieniami strumienia**
**nawet usiłuje śpiewać hymn pochwalny na cześć władcy**
**potem idzie wziąć udział w biczowaniu nieposłusznych**
**przyjmuje z rąk pana strawę i łagodnie pada mu do nóg**
**skóra kurczy mu się na posłusznym grzbiecie**

**Tak — mówi zawsze niewolnik**
**nawet gdy każą mu przekląć kobietę która go urodziła**
**nawet gdy każą mu przekląć mężczyznę który go począł**
**wyda go na męki ukamienowania**
**wyda go na męki ukrzyżowania**
**prawdziwy niewolnik**

# Głowę w dłoniach masz posłuszną

**Lepiej pić wino niż myśleć o śmierci**
**i rozpamiętywać co było dobre a co złe**
**gronowy alkohol który dotychczas mieszkał w liściu w słońcu**
**w korzeniu w dłoniach zrywających je kobiet w gąsiorach**
**butelkach**
**na liściach — skrzydłach winnych wzlatuje w pamięć-niepamięć**
**porzuca własne milczenie nawet kamienie może nauczyć mówić**
**— głowę w dłoniach masz posłuszną i łagodny głos**
**każdy pełny kielich modli się z osobna**
**i oddala wieloimienną ciemność z dna pamięci**
**poweselały już oczy: bądź miłościw dla siebie i dla innych**
**pomieszały ci się serca i ręce jako skutek czerwonej**
**i białej mowy wina — milczy zatopione w twojej skórze miasto**
**— diabeł wychodzi z kąta i oko za oko woła**
**plączą ci się sznury powiązań rodzinnych**
**wołasz coś o winnych gronach gniewu**
**księgi najmędrsze są jak stosy płonące**
**Bóg twój powszechny czyni cię mniej dociekliwym (twoich praw)**
**— wrzask pomylonego starca budzi cię z letargu**
**odsuwasz nie dopitą butelkę i wychodzisz**
**w stronę trzeźwego domu i niespokojnych dzieci**

Wiersze z przygotowywanego do druku tomu pt. „Głowa zdrajcy".

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

# Fragmenty większej całości czyli spór wokół młodej prozy

Gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych cieszył się pewną popularnością satyryczny wierszyk wyśmiewający stan posiadania współczesnej naszej literatury. Kończył się on niewybrednym podsumowaniem sytuacji w prozie: „żal mnie ogarnie, nuda bezkresna — a to jest polska proza współczesna". Wierszyk ów przypomniał mi się w chwili, gdy rozpocząłem lekturę „Następnych", książki pióra krakowskiego krytyka Leszka Bugajskiego. Oto pierwsze zdania tytułowego szkicu — właśnie one wywołały powyższe skojarzenie:

*„Lato 1979 roku. W księgarniach pustki. Nie ma literatury rozrywkowej, wakacyjnej — to sytuacja już normalna na naszym rynku wydawniczym. Ale nie pojawiła się też od kilku miesięcy żadna wybitniejsza pozycja prozatorska. To daje do myślenia. Czyżby rozpoczął się już na dobre spodziewany, zapowiadany od dawna kryzys? Kryzys faktycznie trwa. Ale nie obejmuje całej naszej prozy. Dosięgnął wszystkich jej nurtów, wszystkich ugrupowań i orientacji oprócz prozy młodych autorów".*

Taka jest właśnie teza czy też myśl przewodnia książki poświęconej w całości młodej prozie. Wykłada ją Bugajski w dwóch ogólnych szkicach i popiera szczegółowym omówieniem twórczości dwudziestu trzech autorów debiutujących w latach siedemdziesiątych.

Udokumentowaniu powyższej tezy służy kilka hipotetycznie raczej postawionych problemów. Sprawa pierwsza i chyba najważniejsza. Oto autor „Następnych", towarzyszący młodym prozaikom od dawna, rówieśnik większości spośród nich, stawia pytanie tyleż efektowne co ryzykowne: *„Czyżbyśmy — na przekór sceptykom — byli świadkami narodzin literackiego pokolenia?"* W tym miejscu deklaruję się od razu jako umiarkowany sceptyk. Umiarkowany, bo trudno przecież wyrokować o zjawisku, które trwa i któremu trzeba na dobrą sprawę jeszcze paru ładnych lat do osiągnięcia literackiej (i nie tylko) dojrzałości. Sceptyk, bo trochę powątpiewam w przydatność kategorii pokolenia literackiego przy porządkowaniu dorobku tak zróżnicowanego jak młoda proza. Nawet jeśli przyjmiemy owo rozumienie pokolenia literackiego, które Kazimierz Wyka proponował jako grupę hipotetyczną, posiadającą pewną wspólnotę duchową, lecz nieświadomą swego istnienia w kształcie pokolenia, to znaczy jako grupę unikającą całej pokoleniowej tromtradacji, z jaką mieliśmy na przykład do czynienia przy wykluwaniu się generacji „Współczesności" (nie darmo przecież jedna z pierwszych książek tej generacji literackiej nosiła wielce charakterystyczny tytuł — „Umiejętność krzyku"). W konstrukcji pojęcia pokolenia literackiego istotną rolę odgrywa nie tylko biologiczna wspólnota wieku, ale również tak zwane przeżycie pokoleniowe, osnute zazwyczaj wokół istotnych wydarzeń społecznych o historycznym znaczeniu, przeżycie, które właśnie najczęściej stwarza i cementuje literackie pokolenia. Niekiedy zresztą i brak takiego przeżycia potrafi scementować, znakomitym przykładem może tu być generacja Młodej Polski. Mówimy wówczas o tak zwanym negatywnym przeżyciu pokoleniowym. Wracajmy jednak do hipotetycznej generacji, o której traktuje Leszek Bugajski. Większość jej przedstawicieli urodziła się w latach 1945—1950. Wspólnota wieku jest więc ewidentna. A co z przeżyciem pokoleniowym? W tej kwestii nie ma jednomyślności. Niektórzy krytycy przebąkiwali coś o przeżyciu pokoleniowym związanym z rokiem 1968 czy 1970. Jeśli rzeczywiście miało ono miejsce — to dlaczego tak nikłe jego ślady znalazły się w utworach młodych prozaików? Czy tylko ze względów cenzuralnych bądź autocenzuralnych? Większość jednak wypowiedzi na temat młodej prozy lat siedemdziesiątych zdecydowanie podkreślała brak przeżycia pokoleniowego. Tego samego zdania jest również Leszek Bugajski, dostrzegający we wspomnianym stanie rzeczy *„rozbicie pokolenia na poszczególne jednostki w analogiczny sposób przeżywające swój los"* i określające się nie tyle wobec Historii, co w odniesieniu do codzienności, przeżywające nie heroizm wyborów zasadniczych, a borykające się ze sprawami drobnymi, lecz uciążliwymi. Można by w tym momencie zapytać, czy takim spóźnionym przeżyciem pokoleniowym nie mógłby tu być rok 1980, ale pytanie owo zabrzmi chyba trochę retorycznie, byłoby to bowiem przeżycie pokoleniowe mocno spóźnione, zbyt spóźnione, aby formować programowe pokolenie literackie z generacji pisarzy urodzonych w drugiej połowie lat sześćdziesiątych. Abym został w miarę dobrze zrozumiany posłużę się trochę już odległym lecz wyrazistym przykładem. Przeżycie pokoleniowe, jakim była wojna 1939 roku uformowało generację rówieśników K. Kamila Baczyńskiego, a nie generację rówieśników Jerzego Andrzejewskiego. Takie rysują się prawidłowości historii literatury. Jak będzie tym razem — przyszłość dopiero pokaże.

Wracajmy do książki Bugajskiego. Kolejną sprawą wzbudzającą kontrowersje jest formuła wspólnego mianownika większości dokonań młodych prozaików. Autor „Następnych" widzi ją w „wielkim rozczarowaniu, z jakim młodzi pisarze skonstatowali ułomność swojej wiedzy o świecie i niemożność konsekwentnego uprawiania pisarstwa przedmiotowego". Ale przecież *rozczarowanie* jest właśnie owym wypróbowanym wierzchowcem, na którego grzbiecie wjeżdżają kolejne generacje pisarzy. Przypomnijmy sobie, jak to było ćwierć wieku temu z pokoleniem „Współczesności". A jeszcze wcześniej? Proponuję zajrzeć choćby do dwóch znamiennych, choć może nie najwybitniejszych, powieści przedwojennej młodej prozy: „Wspólnego pokoju" Zbigniewa Uniłowskiego oraz „Tragicznego pokolenia" Mariana Ruth-Buczkowskiego. A „Próchno" Berenta, a „Bez dogmatu" Sienkiewicza etc. Dość przykładów znajdziemy w historii literatury, dość przykładów znajdziemy i dzisiaj. Chodzi po prostu o to, że rozczarowanie rozczarowaniu nierówne, nie tylko w aspekcie historycznym, ale również wśród bohaterów młodej prozy, osadzonych między próbami samobójstwa a brutalnie zdroworozsądkowymi postawami w myśl hasła rzuconego w prozie Józefa Łozińskiego: *„Pierdol nadzieję (...), żyj, a wszystko się jakoś ułoży"*. Pomiędzy tymi ekstremalnymi sytuacjami znaleźć można jeszcze parę innych „sposobów na życie" przedstawionych w tekstach młodych prozaików, od bardzo realistycznej prozy Stanisława Rogali po „artystowskie" wyrafinowanie Marka Sołtysika. Wszystkie one świadczą o jednej sprawie zwłaszcza — jak bardzo młodzi autorzy starali się wejść do literatury i z jak wielkim trudem pojmowali i przyjmowali prawdę niepopularną, iż literatura ani im, ani całemu pokoleniu nie jest w stanie przydać tożsamości, pomóc w znalezieniu sensownego miejsca w życiu, bo rola jej inna jest dzisiaj aniżeli przed laty. Stąd brały się inspiracje do stawiania problemu, czy cena bycia artystą nie jest zbyt wielka wobec stosunkowo znikomych skutków społecznych artystycznej działalności, problemu dla młodej prozy rzeczywiście istotnego. Ma rację autor „Następnych", gdy pisze, że zwątpienie wobec literatury przeradzało się w gniew, rzadziej w bezradność. Ale przecież młodzi-gniewni nie byli w stanie wznieść się ponad pewne gesty literackie, które znakomicie zilustrować mogą dwa cytaty z prozy Bohdana Zadury: *„Urodziłem się za późno, albo za wcześnie"*; *„Im więcej widział, tym mniej rozumiał"*. Może dlatego też wielu młodych tak chętnie wykorzystuje podobny chwyt — wcześniej czy później powraca do dzieciństwa, przy czym nie jest to w zasadzie ucieczka, raczej próba poszerzenia perspektywy...

W czasie gdy Leszek Bugajski przygotowywał swą książkę inny krytyk, Henryk Bereza, wystąpił z tezą o „rewolucji artystycznej", dokonującej się właśnie w młodej prozie. Wyrażać się miała ona przede wszystkim w sferze językowej (najlepszego przykładu dostarczało bodaj pisarstwo Ryszarda Schuberta), a poprzez próby odnowienia skonwencjonalizowanego języka literatury docierać miała młoda proza głębiej w rzeczywistość pozaliteracką. Była to teza bardzo efektowna, ale — wydaje się — niewiele z niej już zostało. Łatwo zresztą było stawiać na prozę autorów młodych, wstępujących, wtedy gdy w prozie „dorosłej" karierę robiła tak zwana powieść zagraniczna (to znaczy utwory pisarzy polskich rozgrywające się poza naszym krajem, bardzo modne w połowie lat siedemdziesiątych), gdy z łezką w oku powracano do galicyjskich czasów, gdy potężny i ożywczy ongiś nurt wiejski zdobywał się jedynie na coraz bardziej wyrafinowane imitacje czy mutacje itd., itp., słowem gdy literatura — z różnych być może powodów — z powodzeniem stosowała sztukę uniku. W tej sytuacji łatwo również można było przeciwstawiać „unikowemu" sposobowi uprawniania literatury prozę młodych. Tyle tylko, że młodzi wcale nie rzucili się na otaczającą ich rzeczywistość z żarłocznością rosomaka, wręcz przeciwnie — smakowali ją powoli i dość dokładnie, jak jadło, co do świeżości którego nie ma się zbyt daleko idącego zaufania. Nie uciekali ani w historię, ani w zagranicę, pisali o sobie, nawet jeśli bohaterami czynili przedstawicieli starszych generacji, próbowali rozwikłać splot koniecznych i przypadkowych zależności w świecie, w którym przyszło im dojrzewać.

Młoda proza powoli dochodzi do własnego głosu. Ale bez wątpienia dojdzie. Świadczą o tym nie tylko powieści i opowiadania, ale również książki w rodzaju „Następnych" Leszka Bugajskiego — rzeczowego, życzliwego, choć nie pozbawionego krytycznych akcentów studium „fragmetarycznego świata" literatury lat 70-tych. Zaletą tej książki jest próba całościowego spojrzenia na dorobek większości młodych piór, próba pewnej systematyki zjawiska, które dla większości czytelników trwa jeszcze w rozproszeniu. Myślę, że z najogólniejszym przesłaniem książki Bugajskiego trzeba się zgodzić — młoda proza istotnie wydaje się być szansą naszej literatury. Potwierdzają to dalsze debiuty, których autor „Następnych" już nie ewidencjonuje np. powieść Tadeusza Siejaka „Oficer". O to zaś, czy dorobek ów spójnie zaświadczy o obliczu pokolenia, czy też pozostanie jedynie świadectwem fragmentarycznym, jakimś fragmentami wiekszej całości, przyjdzie chyba jeszcze nieraz się pospierać.

*L. Bugajski, Następni, Czytelnik, Warszawa 1982, nakład 5320 egz., s. 216, cena zł 100.—*

# Z półki recenzenta

## ZAPACH ŚNIEGU

Akcja powieści rozgrywa się w latach siedemdziesiątych, czyli w okresie zachłystywania się wątpliwymi sukcesami, którym nadawano rangę współczesnego cudu gospodarczego osiągniętego przez kraj pod rządami, nieomylnej w swoich działaniach, ekipy. Mamy więc zakład produkcyjny w prowincjonalnym miasteczku, załogę, ludzi z kierownictwa i z zakładowej organizacji partyjnej, jest także gazeta zakładowa. I jak w klasycznych „produkcyjniakach" (powieść Jerzego Gałuszki akurat nie jest z tej kategorii) oczywiście jest konflikt pomiędzy tymi z „góry" i tymi z „produkcji", napięta sytuacja, ścieranie się poglądów i racji. W końcu jest wypadek, pozwalający nowo zatrudnionemu redaktorowi naczelnemu gazety natrafić na ślad zdarzenia sprzed lat, z okresu okupacji, kiedy to zdrada przyczyniła się do zagłady oddziału partyzanckiego.

**Jerzy Gałuszka: Zapach śniegu. Wyd. Łódzkie 1982. Str. 226. Cena 60 zł.**

## POWTÓRNA ŚMIERĆ BORYNY

Ta książka posiada szczególną wartość: odczytywana na nowo, dostarcza coraz to innych i coraz głębszych refleksji. Na obecną edycję składają się właściwie dwie, wydane już wcześniej, powieści: „Powtórna śmierć Boryny" i „Ciche jeziora".

Nie ma potrzeby przedstawiania autora tego zbioru Tadeusza Papiera, którego pisarstwo zdobyło sobie sporą rzeszę wiernych czytelników. Wystarczy, jeśli przypomnę jego kilka powieści: „Dziadek i róża", „Narodziny Gerty", „Cienie na piaskowej górze", „Wiktoria i Generał" czy wznawianą kilkakroć „Magdalenę w nocy".

„Powtórna śmierć Boryny" to panorama wsi polskiej, jej odrębność i specyfika, to przemiany jakim ulegała przez lata pod wpływem skracania się odległości pomiędzy wiejską społecznością a nowoczesnym miastem. To przenikanie nie pozostało bez wpływu na postawy młodego pokolenia wiejskiego, na jego światopogląd i na decyzje co do dalszych swoich losów.

**Tadeusz Papier: Powtórna śmierć Boryny. Wyd. Łódzkie 1982. Str. 238. Cena 60 zł.**

## „PIEŚNI" JANA KOCHANOWSKIEGO

Zanim pojawi się narodowe wydanie dzieł wielkiego Jana z Czarnolasu, zanim rozpęta się polemika nad ich celowością (wydanie mikroskopijne i tylko dla bibliotek), otrzymaliśmy właśnie wydane przez Państwowy Instytut Wydawniczy „Pieśni" z ilustacjami (barwnymi, pięknymi, utrzymanymi w stylu szesnastowiecznym), z tekstem opartym na pierwodruku z 1586 r.

„Pieśni" są znane każdemu sztubakowi i nie ma potrzeby nikogo zachęcać do ich czytania. Jest to kruszec najwyższej próby cieszący serce i umysł. Dla Polaków dnia dzisiejszego chciałbym wszakże przytoczyć poniższy czterowiersz:

„Cieszy mię ten rym: „Polak mądr po szkodzie":
Lecz jeśli prawda i z tego nas zbodzie,
Nową przypowiedź Polak sobie kupi,
Że i przed szkodą, i po szkodzie głupi".

**Jan Kochanowski: Pieśni. PIW 1982. Str. 126. Cena 80 zł.**

## SCENY Z ŻYCIA MĘŻCZYZN

Na całość składa się 11 krótkich opowiadań o tematyce psychologiczno-moralnej. Ich treść jest częstokroć błaha, niewymyślna, banalna. Jednakże wszystko, co tę treść otacza, jest swoistym studium wnętrza człowieka, jego natury moralnej, etycznej i psychologicznej. Tym bardziej, że ocena zdarzeń jest dokonywana z perspektywy człowieka posiadającego określone doświadczenie, mającego za sobą pamięć pokolenia wyrosłego w warunkach trudnego dojrzewania po zakończeniu wojny i później, kiedy przyszło temuż pokoleniu decydować o losach kraju i narodu.

Stanisław Stanuch opublikował m. in. „Portret z pamięci", „Przystanek w szczerym polu", „W pełnym świetle", „Na gorącym uczynku", „Dziewczyna z marzeń".

**Stanisław Stanuch: Sceny z życia mężczyzn w wieku średnim. Wyd. Lit. 1982. Str. 160. Cena 45 zł.**

# „LOMBARD"

**BOHDAN GADOMSKI**

*Foto: A. Szozda*

W końcu marca 1983 r. koncertował w Łodzi i sąsiadujących z nią miastach znany zespół rockowy **„LOMBARD"**. Było to pierwsze spotkanie na żywo łódzkich nastolatków z tym popularnym zespołem rockowym, zaliczanym dziś do czołówki krajowej.

**„LOMBARD"** powstał w czerwcu 1981 roku, choć już wcześniej, bo w lutym członkowie grupy wokalnej „VIST" postanowili utworzyć zespół rockowy. W jego składzie znaleźli się: **Małgorzata Ostrowska, Wanda Kwietniewska, Andrzej Sobolewski, Grzegorz Stróżniak, Maciej Szymański, Maurycy Przybyłowicz, Krzysztof Kuźniak, Jerzy Krześlak, Jeremi Sajkowski.**

Grupa przyjęła nazwę „Skandal" i w lipcu dokonała nagrań w szczecińskim radio. Jedna z piosenek „Bez zysków, bez strat" wchodzi na listę przebojów Studia Gama, firmuje ją ta sama grupa, ale pod nową nazwą „Lombard". Zmienia się też skład zespołu, który będzie ulegał rotacji tak często, że podawanie kolejnych składów zajęłoby zbyt dużo miejsca.

Nie przeszkadza to jednak zespołowi zająć III miejsce w kategorii **„talent rokujący największe nadzieje"** za TSA i „Perfectem" w liczącym się w branży plebiscycie magazynu „Non-Stop".

Skład wciąż się zmienia, jedna z wokalistek, Wanda Kwietniewska, zakłada zespół Wanda i „Banda". Maurycy Przybyłowicz idzie w kierunku innej muzyki.

W zasadzie zmiany personalne wyszły **„LOMBARDOWI"** na dobre, bo pozostając ze sobą dłużej może nie rozwijaliby się dalej?

Obecny skład zespołu tworzą: **Małgorzata Ostrowska** (śpiew), **Grzegorz Stróżniak** (śpiew, instrumenty klawiszowe, lider grupy), **Piotr Zander** (gitara), **Zbigniew Foryś** (gitara basowa), **Przemysław Pahl** (perkusja). Kierownictwo artystyczne i programowe — **Piotr Niewiarowski.** Patronat impresaryjny sprawuje **Estrada Poznańska.** Muzykę piszą: **Grzegorz Stróżniak, Piotr Zander, Zbigniew Foryś, Jacek Skubikowski.** Teksty są autorstwa: **Jacka Skubikowskiego, Marka Dutkiewicza, Małgorzaty Ostrowskiej.** Aranżuje cały zespół.

Tyle wiadomości o **„LOMBARDZIE"**, który z nazwy może kojarzyć się z wyprzedażą bubli, ale ta nazwa nie oznacza niczego konkretnego. Założyciele i członkowie grupy nie dorabiają jej żadnej wymyślonej ideologii i podtekstów. Grają pop-rocka. Łatwego, dobrze brzmiącego, do tańca i do słuchania. Na scenie bloki aparatury nagłaśniającej, podręczne reflektory, rozstawione instrumenty.

Widzowie, młodzież (nastolatki w wieku 12—18 lat) zapełniają parter, balkon, miejsca stojące. Znajdują się w trochę nietypowej sytuacji na rockowym koncercie, bo zmuszeni są siedzieć, co ogranicza ruch i nie pozwala tańczyć. Wszelkie skromne próby wyjścia przed scenę są niszczone w zarodku przez dziarską panią porządkową.

Koncert rozpoczyna zespół i lider **Grzegorz Stróżniak**, grający na instrumentach klawiszowych i śpiewający własne kompozycje. Robi to dobrze, z wdziękiem, podobnie pozostali muzycy.

Bohaterką wieczoru jest jednak **Małgorzata Ostrowska** lub jak kto woli **„Gośka, Gosia, mała, maleńka"**. Ubrana w kapitalny strój lamparta zdaje się być miniaturową laleczką, trochę niesamowitą w tym estradowym opakowaniu. Śpiewa mocnym, dużym, ciekawym w barwie i brzmieniu głosem w sposób tak dynamiczny, że nie pamiętam podobnie ostro śpiewającej wokalistki od czasów Karin Stanek.

**Małgorzata Ostrowska** szaleje na estradzie, każdą piosenkę interpretuje inaczej, do każdej ma opracowany inny ruch i każdej nadaje inny wyraz artystyczny. Bezbłędnie czuje rocka, wie jak go śpiewać i jak zachowywać się na estradzie. Wykonuje w większości dobrze znane piosenki („Taniec pingwina na szkle", „Przeżyj to sam", „Ostatni taniec", „Gwiazdy rock and rolla", „Znowu radio", „Bay, Bay, Jimi", „Śmierć dyskotece").

Koncert ma znakomicie wyważone tempo, trwa tylko 1 godzinę i 20 minut, może pozostawia niedosyt dla fanów „Lombardu" i nie tylko dla nich, ale to dobrze, gdy wychodzi się z koncertu i chce się wrócić raz jeszcze.

**„LOMBARD"** gra głośno, ale nie na tyle za głośno (jak wiele zespołów rockowych), aby np. zagłuszyć śpiewających solistów. Oni są świetnie słyszani, nie tylko oni, ale wszyscy muzycy. I czy nie ważniejsza jest sprawa jakości dźwięku, barwy, słyszalności transmisji, współbrzmienia poszczególnych instrumentów niż ilość serwowanych decybeli?

Młodzież w Łodzi uważnie słucha jak gra i śpiewa **„LOMBARD"**. Poglądy na ten temat ma już zapewne ustalone i własne. Zespół ma zwolenników i przeciwników. Dla niżej podpisanego było to pierwsze spotkanie z muzyką **„LOMBARDU"**. Aby w pełni ocenić możliwości i walory grupy, trzeba ją obejrzeć na recitalu, nie tylko w Tv czy posłuchać w radio. **„LOMBARD"** zaprezentował się w Łodzi jako profesjonalna i bardzo sympatyczna kapela rockowa. Dał nam na koncercie radość ze słuchania swojej muzyki i z patrzenia na to, co robi — na żywo. ■

*Foto: A. Szozda*

**ANDRZEJ MAJER**

# Prowizorium dokumentacyjne

Te uwagi o najnowszej wystawie w Muzeum Historii Miasta Łodzi nie są recenzją, podobnie jak wystawa nie jest tylko pokazem malarstwa. Zatytułowano ją „prowizorium", co jest terminem politycznym z zestawu używanego przez Diariusz Sejmowy i ma on wprowadzić czytelnika oraz widza w odpowiedni nastrój aktywnego odbioru. **Prowizorium** w tym wypadku znaczy: coś będącego w stanie usankcjonowanej przejściowości, respektowaną tymczasowość. Jak długo ma ono trwać — decydują członkowie właściwych komisji, po spełnieniu zwyczajowych warunków, odbyciu konsultacji i dyskusjach. Bywa iż nie mogą się porozumieć i wtedy uznają zgodnie, że sprawy winny się mimo to posuwać, bo samo życie do tego zmusza i uchwalają stan Prowizorium jako obowiązujący do czasu aż wszystko zostanie wyjaśnione.

To skojarzenie nie jest przypadkowe, lecz usprawiedliwione w potrójnym co najmniej sensie. Prowizorycznie zsumowana geneza wystawy na ul. Ogrodowej jest następująca: w początkach 1982 r. z inicjatywy prof. **Zdzisława Głowackiego** inaugurowano w łódzkim Klubie Dziennikarza pierwszy pokaz nowo powołanej **Galerii Trzech Obrazów**, w skrócie **GTO**. Miejsce było wówczas najlepsze z możliwych, zamknięte a jednak publiczne, bo w samym centrum wykuwania masowych opinii. **Nazwę** wymusiła szczupłość powierzchni. Wystawiali artyści o nie kwestionowanej w środowisku pozycji, pedagodzy i absolwenci łódzkiej PWSSP. Po roku czasu — roku stanu wojennego — GTO ma już dorobek kilku pokazów, który postanowiła zdokumentować (prowizorycznie) **Galeria Łódzka w Muzeum Historii Miasta.**

Kto śledzi życie artystyczne ten wie, że i w kwietniu '83 zorganizowanie wystawy to wydarzenie nie tylko artystyczne. Zabrakłoby tu miejsca na opisanie dlaczego tak jest; użyjemy więc eufemicznego zwrotu „prowizorium" dla oddania stanu, w którym jedni artyści już wystawiali, drudzy niedługo pewnie będą wystawiać, a jeszcze inni muszą poczekać. Dyskusje realistów z abstrakcjonistami zostały jakby odłożone na później, bo środowisko negocjuje dylemat: brać czy nie brać udziału w życiu artystycznym (jest to, oczywiście, kolejny eufemizm).

Artyści wystawiający w GTO i pokazywani obecnie przez Muzeum są abstrakcjonistami pod względem stylistycznym i realistami rozwiązującymi takie dylematy jednoznacznie. Głosi stara maksyma: sztuka trwa wiecznie, a życie krótko, dlatego jako motto to katalogu swojej wystawy zamieścili taką oto myśl **„Tworzenie jest wiecznie ciągłe jak życie"**. Znaczy to, że sztuka nie jest prowizoryczna i musi być zachowana ciągłość tworzenia, myślenia, dyskutowania, ale zwłaszcza wystawiania. Bo związek życia i sztuki polega — między innymi — na tym, iż w ostatniej instancji rozstrzyga o wszystkim publiczność wystaw i pokazów. Można się umówić z samym sobą: nie będę wystawiał (zakładamy wcześniej że umowa na temat niemalowania ma podobny sens, co nieodbieranie kartek na mięso), ale trzeba pamiętać: jest to umowa jednostronna. Muszą ją także ratyfikować widzowie. Przyjmijmy — według rachunku prawdopodobieństwa — że część będzie za, część nie miałaby zdania. Ale co z resztą i jak ona jest liczna; kto w ogóle może na to odpowiedzieć?

**„Staram się oczywiście z całej siły, w sposób możliwie obiektywny, zrozumieć wszystkich ludzi i to co myślą o świecie, jednocześnie oczekując od nich tego samego. (...) Zarówno w dziedzinie nauki, jak i sztuki o jakości rezultatów decyduje postawa. A są dwie, albo dynamiczna, albo statyczna. Wyznaję tę pierwszą!"** (Tadeusz Wolański z katalogu wystawy).

**„Przekazanie na płótno własnych emocji, ożywianie i kreowanie czegoś nowego jest dla mnie twórczą przygodą, ale i często satysfakcją z podjętego działania artystycznego"** (Helena Bącala, z katalogu).

Te cytaty, zamiast opisywania obrazów, mają wyjaśnić aktywną postawę i wybór kontaktu z widzami; jedynie możliwą alternatywę dla malarzy skupionych wokół **Galerii Trzech Obrazów.** Recenzowanie jest zbędne, bowiem przekonywanie kogokolwiek o wartościach malarstwa **Zdzisława Głowackiego, Heleny Bacały, Jerzego Kudukisa, Andrzeja Nawrota, Henryka Strumiłły i Tadeusza Wolańskiego** byłoby nie na miejscu.

GTO stała się już instytucją i faktem na mapie łódzkiej kultury, a **Muzeum Miasta** chce usankcjonować ten fakt w postaci prowizorycznej dokumentacji — wystawy. Prowizorycznej, bo zapewne trzeba będzie spojrzeć na niego z dalszej perspektywy czasu oraz w tym znaczeniu, że lokal **Galerii Łódzkiej** sam jest przykładem prowizorium. Obrazy nie wiszą tu, tylko stoją na posadzce (bo ściany nie pomalowane, u wejścia straszy goły mur, a prócz tego piętro wyżej trwają w najlepsze prace remontowe). Ten przykład innowacji galeryjnej prowokuje pytanie: jak długo ten stan może trwać? Najwidoczniej uznano, że życie tak czy owak pójdzie do przodu, a dokończenie adaptacji sal Galerii można odłożyć do chwili aż niektóre dylematy uda się wyjaśnić. Wybrano jednak nie najlepiej. Artyści już opowiedzieli się za bardziej dynamiczną (cytując T. Wolańskiego) alternatywą, oferując swoje nazwiska i obrazy, ale nie mają dość środków na farbę cement i nie posługują się kielnią. Są to jednak twórcy którzy nie wahali się organizować swoich wystaw w najtrudniejszym czasie, więc prowizorium galeryjne ich nie zraziło. Czy tak samo będzie z ich następcami? Statyczna alternatywa podpowiada: przeczekać; dynamiczna, że trzeba będzie chyba podwójnej pracy by przekonać kogoś do wystawy, artystę i widza, bowiem wreszcie mamy już dość tymczasowości jak reglamentacji.

Jeśli trzeba się porozumieć (a wystawa jest niewątpliwie środkiem porozumienia) to niech przynajmniej stół do dyskusji ustawiony będzie w wyremontowanej do końca sali, bo inaczej któraś ze stron złoży tylko prowizoryczny podpis. ■

**NA MARGINESACH WIELKIEJ SZTUKI**

# Z życia sfer artystycznych

Portretowanie ludzi sceny przez znanych czy też tylko z tym środowiskiem sympatyzujących malarzy w dosyć już odległej przeszłości rangę miało dokumentacyjną, towarzyską, a także artystyczną. Zwyczaj ów już niemal zapomniany, bo publicznie kultywowany jedynie przez fotografików i karykaturzystów ma szansę znów się odrodzić.

Odnotujmy, że początkiem tego procesu może stać się wystawa portretu jednego aktora, jaką niedawno pokazał Ludwik Kronic w swojej galerii przy ulicy Narutowicza 35. Kiedy Muzeum Historii Miasta zapowie ekspozycję dającą pełny przegląd twórczości Kronica (scenografie do filmów lalkowych robionych w „Semaforze", malarstwo — głównie pejzaże, ale i właśnie portrety ludzi sceny, w tym także te pokazane w galerii), co ma nastąpić w niedalekiej przyszłości, przyjdzie pora na analizę bardziej wnikliwą twórczych dokonań artysty i rangi artystycznej wizerunków aktorów łódzkich scen. Teraz poprzestańmy na znaczeniu towarzyskim imprezy, która odbyła się tuż przed świętami Wielkiejnocy w galerii przy Narutowicza 35.

Portretowany — Włodzimierz Kwaskowski — choć na otwarciu wystawy nie mógł być obecny (praca, wyjazdy i tak w koło) zadowolony był prywatnie, ale też trochę i usatysfakcjonowany publicznie, aczkolwiek satysfakcja to nieco spóźniona. Powinna bowiem przypaść na rok 1980, kiedy ów aktor odliczył 50. sezon pracy scenicznej. Tyle, że czas już pewnie uroczystym jubileuszom nie sprzyjał. Fakt więc, iż Kwaskowski był pierwszym aktorem, którego serię portretów Kronic wykonał i publicznie pokazał, może być skromnym zadośćuczynieniem za niezauważony jubileusz.

Co do właściciela galerii cieszy się on nie tylko z tego, iż sprawił przyjemność znajomemu aktorowi, co by całe przedsięwzięcie sprowadzało rzeczywiście jedynie do towarzyskich wymiarów, ale ma także uzasadnione nadzieje, iż to zaledwie początek związków galerii ze środowiskiem ludzi sceny. To właśnie ważne — związków galerii; gdyż chodzi o to, aby poprzez takie, jak wystawa portretu jednego aktora i podobne przedsięwzięcia, nadać owemu salonowi artystycznemu bardzo potrzebną odrębność, indywidualny charakter. Pora zresztą już ku temu najwyższa, albowiem dwie inne tego typu placówki (instytucje? Do p. Wesołowskiej bardziej to drugie moim zdaniem pasuje) odróżnia się bez trudu.

Wizytówką galerii Anny Wesołowskiej są prace Nowosielskiego, Habdasów, Płóciennika, Garbolińskiego, więc twórców uznanych i od lat cenionych. Janusz Wiśniewski zdaje się preferować jeszcze nie tak szacowną, aczkolwiek dobór prac oferowanych klientom dowodzi wysokich wymagań stawianych artystom przez właściciela galerii. Zawartość sklepu świadczy jednak również o tym, że kupujący mają mniej odwagi niż sprzedający, i dla tych pierwszych propozycja handlowa została rozszerzona o artystyczne przedmioty bardziej użytkowej, niż obrazy i grafiki, natury.

W tym towarzystwie galeria z ul. Narutowicza zdawała się być pozbawiona takich wyróżników. Jedynie bardziej biegli w oglądaniu plastycznych wytworów mogli zauważyć, iż właściciel — sam będący artystą — decydował się wcale nie rzadko na wystawianie prac autorstwa zupełnie jeszcze nie sprawdzonego na rynku, czy w krytycznym obiegu. Była to pewna słabość tej galerii, albowiem dobór owych prac zdawał się chwilami zbyt liberalny.

Zapoczątkowany (mam nadzieję, że będzie ciąg dalszy) wystawą portretu jednego aktora pomysł, aby galerię jakby powiązać ze środowiskiem ludzi sceny, wydaje się wart zauważenia. Dobrze by się przy tym stało, aby nie ograniczył się on jedynie do ważnych, ale przecież tylko towarzyskich satysfakcji świata artystycznego, czemu może sprzyjać bliskość Domu Aktora, Teatru Wielkiego, a także Teatru im. Stefana Jaracza, z aktorami którego Ludwik Kronic ma bodaj najściślejsze „portretowe" kontakty. Spodziewam się po prostu bardziej ukierunkowanej oferty handlowej, jeżeli wolno coś sugerować: czegoś na kształt plastycznych teatraliów.

**KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA** ■

# Propozycja „Odgłosów": Pytanie do specjalisty

# Przed kolejnym toastem

**O nowej ustawie antyalkoholowej rozmawiamy z dr JACKIEM RZĄDKOWSKIM, z-cą prokuratora wojewódzkiego w Łodzi.**

Takiego „urodzaju" na nowe ustawy i inne akty prawne, jaki panuje od kilkunastu miesięcy, nie notowaliśmy od dawna. Nic w tym zresztą dziwnego. Aby zaprowadzić w kraju nowy porządek w dziedzinie politycznej, społecznej i gospodarczej, trzeba zaczynać od prawa — zmienić te przepisy, które nie pasują do aktualnej sytuacji, uregulować w sposób jasny i precyzyjny wszystkie sprawy, choćby po to, aby ci, którzy chcą zgodnie współtworzyć nową rzeczywistość wiedzieli, czego się trzymać, a ci, którzy nie chcą — nie mogli tłumaczyć się nieznajomością zasad. Trudno oczywiście wymagać od przeciętnego obywatela, aby znał treść wszystkich aktów prawnych — od tego są prawnicy, którzy obecnie mają bardzo dużo pracy. Wystarczy, jeśli zapozna się dokładnie z tymi, które dotyczą bezpośrednio jego działalności społecznej i zawodowej. Są jednak ustawy, które dotyczą nas wszystkich — warto więc, aby znajomość ich treści stała się jak najpowszechniejsza. Do takich należy m. in. uchwalona 26 października 1982 r. ustawa antyalkoholowa: **„O wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi"** Jest to kolejna próba zmniejszenia plagi społecznej, jaką jest w naszym kraju nadmierne spożycie alkoholu. Pijemy bowiem dużo, zajmując czołowe pozycje wśród krajów nie tylko europejskich, a — co gorsza — pijemy źle: podłej jakości, wysokoprocentowe alkohole, na umór, dopóki jeszcze jesteśmy w stanie podnieść kieliszek, dopóki nie opróżni się ostatnia butelka.

Jakie są szanse, że nowa ustawa zmniejszy rozmiary tego zjawiska, czego oczekiwać mogą po niej osoby uzależnione od alkoholu i ich znękane rodziny oraz wszyscy ci, którzy abstynentami co prawda nie są, ale razi ich nadmierne „popijanie", z jakim spotykają się niemal na każdym kroku? O przybliżenie wynikających z ustawy zasad poprosiłam **dr JACKA RZĄDKOWSKIEGO**, zastępcę Prokuratora Wojewódzkiego m. Łodzi.

**— Co uważa pan za najważniejszą — w porównaniu z dotychczas obowiązującymi aktami prawnymi — nowość w obecnej ustawie?**

— Bardzo istotny, najważniejszy jest zapis mówiący o tym, że walka z alkoholizmem jest obowiązkiem władzy i administracji. Ponadto po raz pierwszy w sposób tak kategoryczny sformułowany został zakaz spożywania alkoholu na terenie zakładów pracy Nowa ustawa nie tylko bezwarunkowo zabrania picia, ale nawet wnoszenia alkoholu w każdej postaci (a więc nie tylko wódka, ale także wino i piwo) — na teren zakładu Brak tu jakiejkolwiek furtki, pozwalającej na odstępstwo od tej zasady.

**— Zakaz picia — to zrozumiałe. Ale wnoszenie? Może to być przecież alkohol zakupiony rano, przeznaczony do spożycia w domu?**

— Tak mógłby się tłumaczyć każdy, a trudno byłoby przecież udowodnić, czy miał zamiar pić w pracy, czy gdzie indziej. Zakaz jest bezwzględny i nie przestrzegający go mogą być ukarani. Istnieje jednak możliwość oddania przyniesionego z sobą alkoholu do depozytu — co jednocześnie daje gwarancję, że nie zostanie on skonsumowany na miejscu. Osoba próbująca „przemycić" butelkę nie powinna być wpuszczona na teren zakładu. Dotyczy to również osób, co do których zachodzi podejrzenie, że znajdują się pod działaniem alkoholu.

**— Podejrzenie takie nie zawsze będzie uzasadnione. Łatwo co prawda stwierdzić, że ktoś jest kompletnie pijany, znacznie trudniej, że jest „na małym rauszu". Podobne objawy może przecież powodować np. rozpoczynająca się grypa. I wtedy chory powędruje do domu z etykietką pijaka.**

— Ustawa przewiduje możliwość udowodnienia swej niewinności. Pracownik niesłusznie podejrzany może zażądać badania stanu trzeźwości. Ale — przyznaję — ustawa nie precyzuje, kto ma to badanie przeprowadzić, i w jaki sposób: czy kierownik zakładu wraz z pracownikiem ma się zgłosić do komendy MO na sprawdzenie przy pomocy probierza trzeźwości, czy do stacji Pogotowia Ratunkowego na badanie krwi? Nie wiadomo. Z pewnością nowe akty wykonawcze do tej ustawy, które mają się wkrótce ukazać, uregulują tę sprawę. Ponadto — co także jest, zdaniem niektórych prawników, niedociągnięciem tej ustawy — badanie może być przeprowadzone na wniosek pracownika, który chce udowodnić, że podejrzenie wobec niego jest niesłuszne Nie można natomiast zbadać osoby, która nie życzy sobie tego. Jeżeli wyniknie spór — brak będzie dowodu, że ktoś był lub nie był nietrzeźwy. Trzeba będzie oprzeć się na zeznaniach świadków, które, zwłaszcza po pewnym czasie, mogą być różne...

**— Zakaz picia w pracy jest zrozumiały i oczywisty. Ustawa jednak wymienia szereg dalszych miejsc, gdzie spożywanie alkoholu jest zabronione: stadiony, stołówki pracownicze, środki komunikacji krajowej, szkoły i inne placówki oświatowo-wychowawcze, opiekuńcze i domy studenckie. I właśnie te dwa ostatnie punkty wydają mi się zbyt rygorystyczne. Przecież placówki opiekuńcze — to także domy rencistów, gdzie przebywają dorośli ludzie, których prawa nie są ograniczone. Podobnie jak w przypadku domów studenckich — placówka ta zastępuje im dom rodzinny. Całkowity zakaz picia w tych przypadkach jest chyba przesadą?**

— Moim zdaniem nie nasuwa to wątpliwości. Nie uważam również, aby zakaz picia w domach studenckich czy domach starców był jakimkolwiek ograniczeniem praw ich mieszkańców. Placówki te są utrzymywane przez państwo i nie ma powodów, aby akurat tutaj wprowadzać jakieś szczególne przywileje. W przypadkach wynikających z tradycji — choćby imieniny — można pójść do restauracji.

**— Nie każdego na to stać. Ceny w lokalach gastronomicznych są przecież znacznie wyższe.**

— Sprawa marż gastronomicznych była od dawna tematem dyskusji, podejmowano również próby jej uregulowania. Tym razem wreszcie udało się ten problem rozwiązać, moim zdaniem prawidłowo Otóż marża za alkohol nie może być wyższa niż 25 proc. ceny detalicznej, a więc w przypadku najtańszych wódek będzie to około 150 zł drożej.

**— To rzeczywiście niewiele. Taka suma nie powinna nikogo odstraszać od picia w restauracji czy kawiarni. Kłopot w tym, że — jak przewiduje ustawa — konsumpcja alkoholu (a także jego sprzedaż) odbywać się będzie dopiero po godz. 13. Możemy upijać się więc tylko po południu.**

— Metody administracyjne ograniczania sprzedaży i konsumpcji alkoholu nie są czymś nowym. Dawniej były to rozporządzenia władz lokalnych — np. zakaz sprzedaży i podawania alkoholu w dni wyjęte, w poniedziałki, itp. Jest to jakaś bariera, utrudnienie, które chyba ma rację bytu, chociaż trudno tu oczywiście mówić o efekcie wychowawczym, czy oczekiwać dużej skuteczności, bez stosowania ich łącznie z działaniami o innym charakterze. Uwaga ta dotyczy metod administracyjnych stosowanych w każdej dziedzinie. Przy okazji chciałbym podkreślić, że od chwili wejścia w życie ustawy rozwiązany zostanie jeszcze jeden problem: pracownikom handlu i gastronomii przestanie zależeć na sprzedaży alkoholu. Ustawa mówi bowiem, że wynagrodzenia pracowników, a także ocena działalności przedsiębiorstwa nie mogą być w żadnym stopniu uzależnione od wpływów za alkohol.

**— Dotychczas mówiliśmy o sprawach dotyczących ludzi pijących „normalnie", tzn. mniej czy bardziej umiarkowanie. Nowa ustawa przewiduje także zmianę trybu postępowania wobec osób uzależnionych od alkoholu — mówi się o różnych formach pomocy chorym i ich rodzinom, o organizacji sieci leczniczych placówek specjalistycznych, przygotowaniu kadry fachowców, budowie domów pomocy społecznej i zakładów pracy chronionej. Zamierzenia duże i zapewne słuszne, ale czy nie pomyślano mocno „na wyrost"? Trudno w obecnej sytuacji gospodarczej wyobrazić sobie te wszystkie, wymagające poważnych inwestycji, przedsięwzięcia.**

— Zgadzam się. Nie wszystko, co przewiduje ustawa, jest możliwe do zrealizowania już teraz, czy w możliwie krótkim terminie. Jest to jednak akt prawny, który ma obowiązywać przez wiele lat, także i wtedy, gdy warunki się zmienią i zaistnieją możliwości realizacji.

Za bardzo istotny uważam tu apel — zapis do służby zdrowia o kształcenie niezbędnej ilości specjalistów w zakresie nie tylko leczenia alkoholizmu, ale także profilaktyki, choć może jest to zbyt słabo zaznaczone. Problem jest zaś niezwykle ważny. Dotychczasowa bowiem praktyka ukierunkowana była na leczenie ludzi już uzależnionych od alkoholu. W tym duchu utrzymany jest również rozdział 2 ustawy: „Postępowanie wobec osób nadużywających alkoholu". Tymczasem potrzebne są szeroko zakrojone działania zapobiegawcze, kierowane do tych, którzy jeszcze progu alkoholizmu — bardzo zresztą trudnego do określenia — nie przestąpili. Obecnie nie ma żadnych możliwości pomocy farmakologicznej ludziom, którzy alkoholu nadużywają, ale jeszcze mogą przestać. Pozostają metody propagandy antyalkoholowej. Zjawisko to jest nietypowe dla medycyny, która przecież, w innych dziedzinach, nastawiona jest przede wszystkim na zapobieganie chorobom. W odniesieniu do choroby alkoholowej brak metod profilaktycznych, brak środków, brak odpowiednio przygotowanych specjalistów.

Zresztą i w odniesieniu do leczenia osób uzależnionych od alkoholu, ustawa wydaje się być niedoskonała. Pół biedy z tymi, którzy leczą się dobrowolnie. Ale trudno będzie wyegzekwować obowiązek leczenia, gdy zapadnie decyzja sądu o leczeniu przymusowym.

**Tyle prok. J. Rządkowski.** Czy nowa ustawa jest dobra, czy też zupełnie doskonała — oceniali dotychczas prawnicy i inne zainteresowane osoby jedynie teoretycznie. Już wkrótce — w maju — zacznie ona działać i będzie można przekonać się o jej praktycznej przydatności. Zapewne nie braknie przypadków, gdy po raz kolejny potwierdzi się porzekadło, że „każdy przepis da się obejść", ale — miejmy nadzieję — nie zabraknie również pozytywnych przykładów jej oddziaływania. Najważniejszy, moim zdaniem, jest początek art. 2 ustawy, który mówi: **„zadania w zakresie przeciwdziałania alkoholizmowi wykonuje się przez odpowiednie kształtowanie polityki społecznej, a w szczególności tworzenie warunków sprzyjających realizacji potrzeb, których zaspokajanie motywuje powstrzymywanie się od spożywania alkoholu".**

Mówiąc po prostu: oznacza to, że pić nie będziemy wtedy, gdy nam samym, prywatnie, nie będzie się opłacać, w sensie nie tylko i nie przede wszystkim materialnym. Co nie znaczy, że wtedy wszyscy staniemy się abstynentami. Bo i nie o to chodzi.

**Notowała:**
**TERESA JERZYKOWSKA**

*Dokończenie ze strony 1*

zachowują się jeszcze inaczej: obok wymienionych reakcji częstokroć okazują butę, lekceważenie, nie chcą nawet prosić sąd o łagodny wymiar kary lub niski wymiar kary czy o uniewinnienie. Inni, przekonani iż zostali przez sąd skrzywdzeni, nie chcą o nic prosić uważając, że jest to poniżej ich godności osobistej.

**— A świadkowie? Jaka jest o nich pańska opinia?**

— Wie pan, to sprawa czasem żenująca. Mimo tego, że składają przysięgę — kłamią, są stronniczy. Sąd czuje kiedy świadkowie mówią prawdę, a kiedy odpowiedź jest tendencyjna, jest to obraz smutny.

**— Cóż pan chce, natura ludzka jest ułomna. Zresztą jak świadczyć przeciwko osobie nieraz bliskiej, nieraz zaprzyjaźnionej...**

— Ja to rozumiem, ale sąd chce znać prawdę, która potrzebna jest zarówno dla sądu jak i dla oskarżonego Prawda w procesie jest najważniejsza. Jakże często tej prawdy nie otrzymujemy. Przecież bywa i tak, że wiem, iż świadek kłamie, wiem, ale nie potrafię mu tego udowodnić.

**— Czy ma to wpływ na wyrok?**

— W uzasadnieniu wyroku używa się często sformułowania, iż „sąd nie dał wiary słowom świadka". I w takim przypadku kara jest wyższa.

**— Jak przebiega narada w pokoju sędziowskim?**

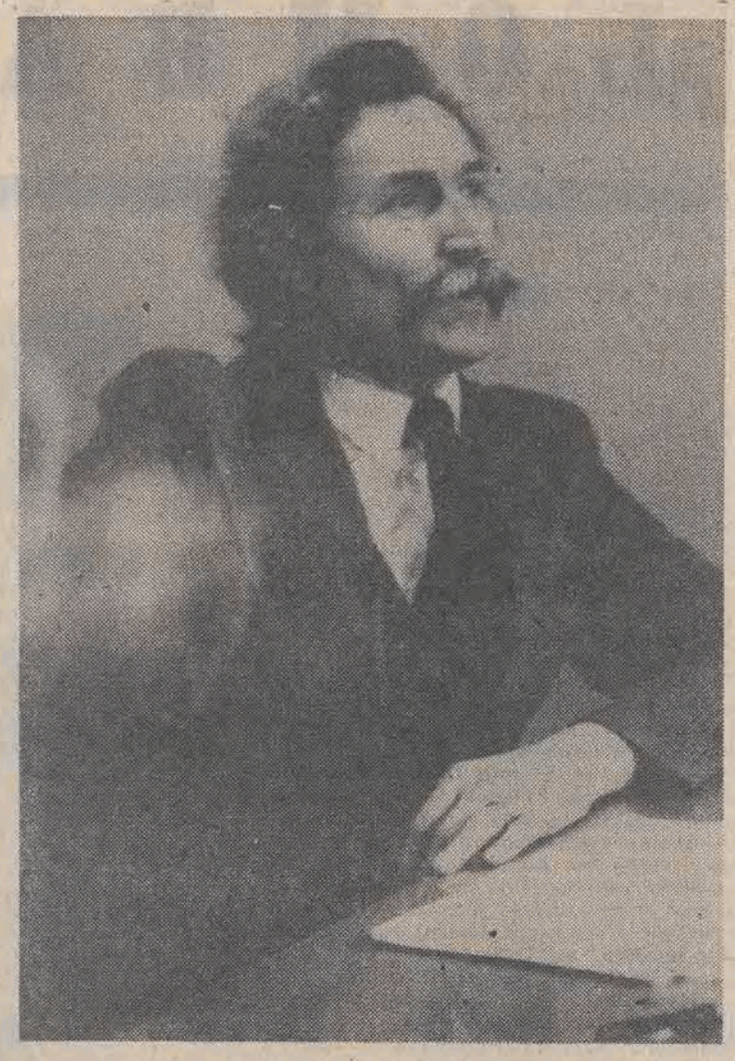

*Foto: M. Zajdler*

# Proszę wstać! Sąd idzie!

**Rozmowa z GRZEGORZEM BOŃCZĄ-MATUSZEWSKIM — ławnikiem Sądu Rejonowego dzielnicy Łódź-Górna.**

— Tego nie mogę, niestety, wyjawić. Powiem tylko, że zanim zapadnie ostateczny wyrok, nasza narada trwa czasami bardzo długo. Wszystko zostaje poddane analizie: zeznania świadków, wyjaśnienia oskarżonego, mowa prokuratora i wystąpienie obrońcy. Wiadomo, że prokurator żąda najwyższej kary za dany czyn, obrońca wnosi o najniższy lub o całkowite uniewinnienie. Do nas, do sędziów, należy jednakże ostateczna decyzja.

**— Czy ustalając wyrok musi być pomiędzy sędziami jednomyślność?**

— Czasem bywa, że jesteśmy wszyscy zgodni. Ale bywa i tak, że trzeba głosować. Każdy z sędziów, czy to sędzia zawodowy czy ławnik, ma równy głos.

**— Dziewięcioletni staż to sporo. Czy nie czuje Pan czasami, że kieruje panem rutyna? Chodzi mi o to, czy po tylu latach można jeszcze z równą wrażliwością reagować na toczący się przed sądem proces.**

— Chyba nie. Może, gdybym tak codziennie musiał zasiadać za stołem sędziowskim... Ale nie, przecież każda sprawa jest inna, stają przed nami inni ludzie. Zresztą sędzia nie może być rutyniarzem. Jeślibym poczuł, że ze mną dzieje się coś takiego, zrezygnowałbym z urzędu ławnika. Może pan wierzyć lub nie, ale nadal przyświeca mi jeden cel: skoro jest zło, niesprawiedliwość, gwałt — muszę stać po stronie prawa. I robię to z największym przekonaniem i zgodnie ze swoim sumieniem popartym odpowiednimi aktami prawnymi.

**— Powiedział pan, że w ciągu tych 9 lat uczestniczył pan w około stu rozprawach. Czy mógłby pan przypomnieć niektóre z nich? Te, które zapadły w pańską pamięć.**

— Ciekawych spraw było sporo, nie były to jednak wielkie sensacje. Jedynie ilustracje naszego czasu. Pamiętam 18-letniego chłopca, oskarżonego o dokonywanie włamań do domków w ogródkach działkowych, skąd wynosił koce, krzesełka, stare łóżka, lustra, naczynia itp. Ujęty został w momencie wynoszenia z domku poduszki. Oczywiście sprawa i wyrok w zawieszeniu. Ot, zdawałoby się błaha sprawa. Natomiast jakże wstrząsające jest jej tło. Chłopiec został wyrzucony przez matkę i jej kochanka z domu. Nie ma w co się ubrać, mieszka w nie używanej pralni (tu także znosi kradzione przez siebie przedmioty), głoduje. Żywi się przeważnie surowymi jarzynami — marchew, kapusta — i tym, co mu w tajemnicy przyniesie młodsza siostra. Nie może podjąć pracy, bo nie ma w co się ubrać. Kiedy na sali sądowej, zarówno on, jak i jego siostra, opowiadają o gehennie jaką przeszli z powodu matki-alkoholiczki uprawiającej nierząd, — wyłania się smutny obraz marginesu społecznego.

**— W tej sytuacji wina chłopca nie jest jednoznaczna...**

— Dlatego otrzymał wyrok w zawieszeniu i został skierowany pod opiekę organizacji młodzieżowej. Gorzej natomiast powiodło się notorycznemu awanturnikowi, 27-letniemu ojcu dwojga dzieci, który zerwał idącej przed nim kobiecie, z głowy lisią czapkę. Oczywiście krzyk, kilku mężczyzn rusza w pościg za rabusiem i dopadają go między blokami. W chwili zatrzymania był także po kilku piwach.

**— A sprawy z pogranicza „mokrej roboty"?**

— Pamiętam sprawę dość ciekawą, a jednocześnie pełną okrucieństwa. Oto do samotnie mieszkającej, 80-letniej staruszki (domki jednorodzinne), zadzwoniono do drzwi. Na progu stała 25-letnia kobieta, która wtargnęła do mieszkania i zażądała pieniędzy. Staruszka, choć była wystraszona i zaskoczona, jednak odmówiła. Wówczas młoda kobieta rzuciła się na staruszkę i zaczęła ją dusić. Na krzyki mordowanej zbiegli się sąsiedzi. Kobietę ujęto. Ktoś zauważył także mężczyznę, który w tym momencie zaczął szybko oddalać się wzdłuż pustej ulicy. Pochwyconą przekazano do milicji. Tam sporządzono także domniemany portret owego mężczyzny. Po kilku dniach, kiedy go zatrzymano, okazało się, iż jest to mąż niedoszłej morderczyni.

**— Co było powodem, że wybrali taką drogę wzbogacenia się?**

— To proste: nigdzie nie pracowali, a chcieli dobrze żyć. Stąd pomysł, by napaść na samotną staruszkę. Sądzili, że się uda.

**— Zostali skazani?**

— Ona na rok pozbawienia wolności, on na dwa lata w zawieszeniu.

**— Dziękuję panu, życząc jednocześnie dalszej wytrwałej pracy w służbie sprawiedliwości ludowej.**

**Rozmawiał:**
**EUGENIUSZ IWANICKI**

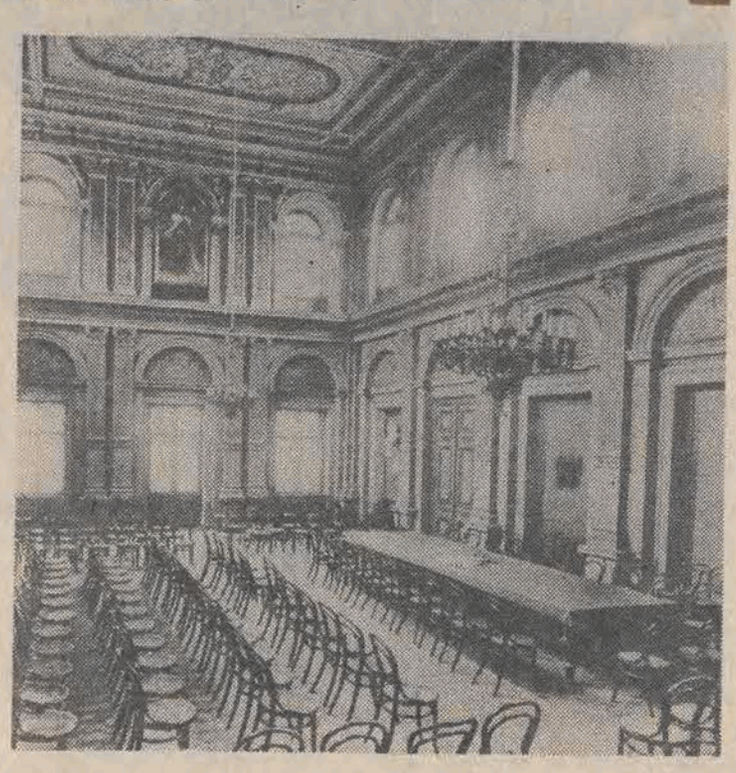

# Polemiki • Poglądy • Opinie • Listy

## „SZAŁ"

Po zapoznaniu się z zamieszczonym w Waszym piśmie (Nr 15 z dn. 9.04.83) reportażem Jacka Binkowskiego zatytułowanym „Szał", a traktującym o ostatnim koncercie grupy **Perfect** w Łodzi, poczuwam się do obowiązku zwrócenia się z prośbą o zamieszczenie niniejszego, zwięzłego wyjaśnienia.

Jako zespół muzyczny odnoszący się z wielkim szacunkiem do szeroko rozumianej publiczności, nie możemy pozostać obojętni wobec publikacji Jacka Binkowskiego zatytułowanej „Szał", w której to autor z bliżej niewyjaśnionych przyczyn, delikatnie mówiąc, wprowadza w błąd Czytelników „Odgłosów".

Jacek Binkowski mógł rzeczywiście nie wiedzieć, że w Łodzi 18 marca z **Perfectem** wystąpi **Rezerwat** (do końca była to niespodzianka), ale mógł tego nie wiedzieć do czasu przytomnej obecności na koncercie i jeśli już, to tylko na własny prywatny, a nie publiczny użytek.

Z treści artykułu trudno się domyślić co sprawiło, że Jacek Binkowski przypisał Perfectowi wykonanie utworu **Rezerwatu**, o obecności tej drugiej grupy nie wspominając ani słowem, że w konfabulowanej akcji kazał **Grzegorzowi Markowskiemu** z Perfectu zamiast **Andrzejowi Adamiakowi z Rezerwatu** śpiewać „Paryż, moje miastooo...", że wreszcie najpierw pożegnał na estradzie zespół **Perfect** by za chwilę go na powrót powitać. Niewątpliwie jednak jest w jego relacji coś z szaleństwa.

Oto odnośny cytat: „Skończyli, dziękują bardzo i schodzą. Rzeczywiście ostatnia piosenka... Na estradzie prowadzący: „Za chwilę zespół Perfect. Muzyka waszych serc i głów.... Wchodzą na estradę..." Też zagadka jak Jacek Binkowski zobaczył prowadzącego na estradzie skoro przez cały czas był on na rampie nagłośnieniowej na środku sali.

To w końcu drobiazgi, ale niestety podają one w wątpliwość pozostałe fragmenty reportażu, a także pośrednio inne publikacje zamieszczone w piśmie „Odgłosy". Jeśli rzeczywiście chodziło o to, by pokazać jaki szał panował na koncercie to dla wszystkich przytomnych jego uczestników, a wbrew temu co sugeruje Jacek Binkowski była ich zdecydowana większość, dla wszystkich, którzy mieli później w ręku 15 numer „Odgłosów" oczywistym musiało być, że szaleństwu temu poddał się przede wszystkim autor artykułu.

Bardzo nam miło, że żurnalista świetnie się bawił, że bawili się jego kosztem Czytelnicy znający faktyczny przebieg imprezy. Przykro nam natomiast, że Jacek Binkowski potencjalnie naraził na ośmieszenie wszystkich nieobecnych na koncercie, którzy ufając słowu drukowanemu, będą się być może zakładać, że „Paryż", to nowa piosenka **Perfectu** itp.

Pozostając z szacunkiem dla redakcji i PT Czytelników w imieniu zespołu **Rezerwat** — kierownik artystyczny

**JAROSŁAW KAWECKI**

PS.: Przyzwoitość nakazywałaby również pisząc o współczesnym koncercie grupy zamieścić jej aktualne zdjęcie miast archiwalnego w historycznym już składzie z **Ryszardem Sygitowiczem**. Albo przynajmniej umieścić pod zdjęciem podpis wyjaśniający, że jest to zdjęcie z koncertu w Teofilowie w 1981 roku.

Szanujmy się nawzajem!

Łódź, 15 kwietnia 1983 r.

## „ŁÓDŹ NA MUZYCZNEJ ANTENIE", CZYLI MÓJ MAŁY „DYLEMAT URBANA"

Czuję, że powinienem koniecznie wtrącić swoje trzy grosze do sporu między Krzysztofem Drzewieckim a Ilona Grzesiak, bądź raczej do sporu między twórcą piosenek i felietonistą w jednej osobie, a Łódzka Rozgłośnią Polskiego Radia, nie bardzo wiem jednak, jak zacząć. Zaczynam tedy od pieca, czyli od Urbana.

2.

„Dylemat Urbana" sprowadzał się — jak wiadomo — w uproszczeniu do tego, czy człowiek piastujący odpowiedzialną funkcje rzecznika prasowego rządu może równocześnie pod własnym nazwiskiem pisywać felietony, w których pewne sprawy wyostrza, inne znów wyjaskrawia, używając nadto niekiedy sformułowań dość rzadko stosowanych w dyplomacji. Chodziło więc o to, czy powściągliwy rzecznik rządu może być agresywnym felietonistą i odwrotnie.

Ze mną podobnie, choć funkcja prezesa Oddziału Łódzkiego Związku Polskich Autorów i Kompozytorów Rozrywkowych „ZAKR" jest od funkcji ministra Urbana nieporównywalnie skromniejsza, podobnie zresztą, jak nieporównywalnie wallejszy jest mój temperament żurnalisty. Tak jednak czy owak „z urzędu" powinienem bronić do upadłego interesów łódzkich twórców pomijanych na łódzkiej antenie, a może nawet zwołać zebranie zarządu i wysmażyć jakieś uroczyste oświadczenie, czy nawet staromodny protest.

Jako człowiek łagodny, a do tego momentami prawie że dobrze wychowany, powinienem dla odmiany ująć się wszelako za radiem i Ilona Grzesiak, ponieważ „radio" jest rodzaju nijakiego, jak na przykład „dziecko", Ilona Grzesiak — żeńskiego, dzieci zaś i kobiet maltretować nie wolno.

Wolno natomiast próbować przemówić im do rozsądku, co niekiedy przynosi podobno pozytywne efekty. Historycy notowali już takie przypadki zaś praca doktorska napisana bodaj na uniwersytecie w Qualiateteqou „O większej szansie mówienia do radia niż do obrazu" narobiła sporo rozgłosu w tamtejszych kołach naukowych.

3.

Mówię więc do radia nie jak do obrazu, a jak do dziecka.

Kochane Ty Moje Maleństwo! Niczego nie musisz, postaraj się jednak wyobrazić sobie, że jesteś potężną siłą kulturotwórczą, instytucją powołaną i po to również, iżby popularyzować już istniejące wartości kulturowe, a także inspirować powstawanie wartości nowych.

Może i nie jest takie ważne, czy w programie „Łódź na muzycznej antenie" będą lansowane przede wszystkim utwory twórców z Parzeczewa w wykonaniu artystów z Grójca, czy odwrotnie, boć gusta redaktorów — a i słuchaczy również — są najróżnorodniejsze i może akurat oni, ci redaktorzy i ci słuchacze, lubią akurat to, a nie tamto. Niepomiernie ważniejsza — przynajmniej moim skromnym zdaniem — zdaje się odpowiedź na pytanie, na ile Łódzka Rozgłośnia PR i n s p i r u j e powstawanie nowych wartości artystycznych, w tym i piosenek również.

Inspiruje, a więc zamawia, kontaktuje wykonawców z autorami, daje tym ostatnim „cynk", iż pojawiła się tu u nas obiecująca dziewczyna, ale z repertuarem wołającym o pomstę do nieba, więc może byście tej dziewczyny posłuchali, no i napisali coś specjalnie dla niej, no i tak dalej, i tak dalej.

Radio płaci marnie, ma jednak potężna siłę przebicia, przeto upewniam — jako dziennikarz i jako, za przeproszeniem, ten nieszczęsny prezes — iż każda taka propozycja byłaby mimo nikczemności honorariów przyjęta entuzjastycznie.

Nic takiego wszelako nie dzieje się i nigdy nie działo, a to z tej przyczyny najprostszej, że to do radia trzeba chodzić i prosić, najlepiej długo i bardzo grzecznie. Ale gdy zabrakło proszących — choć zawsze się znajdą — to lekka ręka wygrzebie się coś w taśmotece: stare, to stare, nowe, to nowe, z Grójca, to z Grójca, szlagier, to szlagier...

4.

I tu jest cały ten pies pogrzebany.

Mając ambicję ożywiania rodzimego, lokalnego środowiska twórczego, radio miałoby też naturalną skłonność do prezentowania nowo powstałych utworów na antenie. Do udowadniania całej Polsce, że to właśnie u nas, w Łodzi, z naszej, radiowej inspiracji, narodziło się to, to, a jeszcze i tamto.

Nie ciasno pojęty prowincjonalizm, a łatwość kontaktu, możliwość poproszenia w każdej chwili autora o drobne poprawki, bądź kompozytora o udział w nagraniu, kazałby w takim przypadku preferować twórców lokalnych, choć oczywiście nie zamykać się li tylko w ich kręgu. Brak tych ambicji — przepraszam Cię, Krzysztofie drogi, a i Pania, pani Ilono również — czyni cały spór bezprzedmiotowym. Można by pewno coś wytargować, coś wycyganić czy wyprosić, ale jest tyle przyzwoitych zajęć, że choć też niby pisywałem jakieś tam teksty piosenek, od dawna dałem sobie z tym spokój. Lubię wprawdzie przynosić kwiaty kobietom, ale zawsze czynię to całkiem bezinteresownie.

Moja kadencja prezesa na szczęście wkrótce się kończy, moja kadencja żurnalisty — mam nadzieję — jeszcze nie, więc pewno kiedyś dodam coś tam jeszcze do tego, co już napisałem, ale to po wyborach nowego zarządu dopiero.

A teraz proszę ukarać nas zbiorowo. Listę członków rzeczywistych Oddziału Łódzkiego ZAKR gotów jestem przedstawić na żądanie.

**JERZY PANASEWICZ**

## SAMI DECYDOWAĆ O SWOICH SPRAWACH

W 1983 r. kończy się kadencja rad osiedlowych. Nie była to łatwa kadencja pod każdym względem. Można dopatrywać się wielu przyczyn obiektywnych i subiektywnych. Niemniej jednak w większości przypadków na pracy rady naszego osiedla zaciążyli niektórzy przypadkowi ludzie, raczej dokooptowani, niż wybierani przez mieszkańców.

Do końca kadencji z wyboru — utrzymało się zaledwie kilka osób. Stąd też wynikała ich dalsza działalność, raczej pozorowana, niż rzeczywista. Nie oparta na właściwym rozeznaniu w terenie, większej wyobraźni, konsultacji z mieszkańcami, odnośnie rozmieszczenia placówek handlowo-usługowych na osiedlu.

Na rezultaty takiej działalności nie trzeba było długo oczekiwać, ujawniły się one z całą ostrością z chwilą dalszego zasiedlania osiedla „Chojny-Zatorze". Na ciągu komunikacyjnym, jakimi są ul. Rzgowska, krańcówka tramwajowa, Stawy Jana — został otwarty sklep gospodarstwa domowego w bl. 247 i sklep spożywczy, jako jedyny w tym regionie, po likwidacji sklepu przy ul. Rzgowskiej 212. Nic dziwnego, że staje się on niewydolny. Po pieczywo, nabiał, trzeba wystawać w kolejce całymi godzinami.

Planuje się w najbliższym czasie otwarcie sklepu pasmanteryjnego w bl. 248, zamiast nabiałowego, który jest konieczny, bardziej potrzebny mieszkańcom osiedla, odciążając sklep spożywczy tuż obok. Mieszkańcy, ludzie powracający z pracy po drodze do domów — tłoczą się w przepełnionym sklepie, psioczą i narzekają na taką operatywność w handlu. Komitety domowe mieszkańców szukają pomocy, wsparcia, zrozumienia różnymi kanałami.

A przecież można było tego uniknąć wcześniej, mając nieco więcej wyobraźni, niekoniecznie rozeznania. Nie należy przesadzać z góry, że to co proponuje wydział handlu — zostanie bezkrytycznie zaakceptowane przez mieszkańców osiedla. Im właśnie winny służyć nowe placówki handlowe — nie odwrotnie.

Mieszkańcy osiedla, zaplanowanego na 33 tys. mieszkańców, zasiedlonego w chwili obecnej przez połowę ludności, muszą mieć sklepy specjalistyczne, takie jak: nabiałowy, warzywniczo-owocowy czy rybny. To oczywiste i zrozumiałe dla każdego z nas i nie zachodzi potrzeba większego uzasadnienia, motywacji. W żadnym wypadku, nie możemy zgodzić się na połowiczne rozwiązanie sprawy, ani na oferowane nam wydzielone stoiska rybne w nowo otwartym sklepie w bl. 210, ani też na zaadaptowanie pomieszczenia w budynku mieszkalnym, obok sklepu mięsnego przy ul. Rzgowskiej 212.

Jedyny obiekt nadający się do tego celu to budynek wolno stojący przy ul. Wdzięcznej — pomieszczenia po byłym sklepie spożywczym, administrowanym przez PSS „Społem" Oddział-Górna. Niestety, właściciel obiektu nie godzi się na jego przekazanie Centrali Rybnej.aczkolwiek na naszym osiedlu otrzymał wiele nowych pomieszczeń do zagospodarowania. Nierzadko interes społeczny należy i trzeba pogodzić z interesem ekonomicznym, aby służyć mięszkańcom osiedla. Niezrozumiały jest dla mieszkańców partykularny interes własnego przedsiębiorstwa w tym wypadku

Wymieniłem tu tylko nieliczne problemy i sprawy, które nurtują mieszkańców osiedla „Chojny-Zatorze". Stwarzają one zbyt wiele niepotrzebnych konfliktów w dobie obecnego kryzysu. Wiele trzeba zmienić, ulepszyć, dostosować do właściwych oczekiwań, faktycznych potrzeb mieszkańców. Wysłuchać cierpliwie wypowiedzi mieszkańców, zgromadzonych na poszczególnych zebraniach komitetów blokowych, domowych, osiedlowych. Nie działać w ciemno w oderwaniu od ludzi, ich rzeczywistych potrzeb, bolączek, czasami nawet drobnych, lecz jakże dokuczliwych. Z takich właśnie małych w istocie rzeczy problemów — składa się nasze codzienne życie.

Krasomówcze przemówienia na zebraniach komitetów domowych, przedstawicieli rady osiedla, są nam zbyteczne. Potrzebne nam są konkretne, nie pozorne działania na co dzień, a tego niestety nie mogliśmy zauważyć wśród dotychczasowej działalności rady.

Niedopuszczalna jest taka sytuacja, kiedy przedstawiciel rady, uczestniczący na jednym z zebrań komitetów domowych, apeluje do mieszkańców o czynny udział w posiedzeniach rady, wytypowaniu opiekunów społecznych, a w rezultacie, gdy ludzie się zgłaszają, zastają drzwi zamknięte na klucz. Tak było konkretnie w dniach 10, 17, 24 lutego oraz 3 marca 1983 r. Ludzie się zniechęcają i po raz wtóry nie przyjdą. Wystosowane pisemne zgłoszenia na opiekunów społecznych do przychodni rejonowej okazują się zbyteczne. Nie wiemy, co o tym w ogóle sądzić?

Praca rady nie powinna w zasadzie ograniczać się jedynie do opiniowania kiosków prywatnych, wymaga się czegoś więcej. Należy i trzeba każde, bodaj najdrobniejsze sprawy traktować poważnie, rozważnie z uwzględnieniem istniejących warunków. Rada nie może być bezradna, zawieść pokładane w niej nadzieje, oczekiwania mieszkańców na rozwiązanie wielu problemów. Z drugiej strony wszelkie postulaty i wnioski rady winny być starannie analizowane i realizowane przez odpowiednie czynniki administracyjne. Na takiej podstawie winna opierać się właściwa współpraca rady z administracją i odwrotnie.

Dlatego też w przeddzień wyborów do nowej rady osiedla winniśmy się wszyscy nieco zastanowić, jakie podać kandydatury ludzi, którzy faktycznie zajęliby się społeczną działalnością w radzie dla dobra ogółu mieszkańców naszego osiedla. Od nas samych w dużej mierze będzie zależało w jaki sposób zostaną rozwiązane nurtujące nas wszystkich problemy. Muszą znaleźć się w niej ludzie, prawdziwi społecznicy, którzy jednakowo będą dbali o nasze wspólne interesy. Wybory do rady odbędą się na zebraniach środowiskowych w dniach 19, 21 i 26 kwietnia 1983 r.

**WŁADYSŁAW BISZEWSKI**

## „TRAMP W OZORKOWIE STOI"

W związku z artykułem zamieszczonym w nr 7 „Odgłosów" z 12 lutego 1983 r. pt. „Tramp w Ozorkowie stoi" — Wydział Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki Urzędu Miasta Łodzi informuje:

— Ośrodek wypoczynkowy „Tramp" w Ozorkowie został przejęty przez Wojewódzki Ośrodek Sportu i Rekreacji od Powiatowego Ośrodka Sportu i Turystyki w 1975 r. w wyniku wprowadzenia nowego podziału administracyjnego kraju,

— Stan techniczny znajdującego się na terenie ośrodka otwartego basenu kąpielowego o pow. 6.500 m kw. oraz budynek o kubaturze 1.757 m kw. bez c.o. uniemożliwiał prawidłowe użytkowanie tego obiektu.

— Jak wynika z ekspertyzy technicznej opracowanej przez Zespół Rzeczoznawców Budowlanych Polskiego Zw. Inżynierów i Techników Budownictwa, basen kąpielowy nie nadaje się do użytku zgodnie ze swym przeznaczeniem z powodu niemożności utrzymania w nim odpowiedniej jakości wody, która jest zanieczyszczana przedostającymi się przez nieszczelne dno wodami gruntowymi zakażonymi ściekami z płynącej w pobliżu rzeki Bzury.

— Ponadto spust wody wykonany w ścianie basenu 30 cm powyżej dna w praktyce uniemożliwił całkowitą wymianę wody.

— Jak wynika z pisma WOSiR z 23.03.83 r. podana w artykule informacja o wykonaniu przez WOSiR remontu kapitalnego nie jest prawdziwa, ponieważ ze względu na przedstawiony wyżej stan przejętego ośrodka, tego rodzaju zadanie przerastało możliwości finansowe i wykonawcze WOSiR. Również z w/w przyczyn nie była remontowana pompa. Jedynie ze względu na konieczność zapewnienia właściwych warunków przeciwpożarowych, w 1981 r. wyremontowano instalację elektryczną w budynku podstawowym. W/w roboty zostały wykonane i odebrane bezusterkowo.

— Ponadto dla tegoż budynku została opracowana w 1982 r. dokumentacja projektowo-kosztorysowa na remont z podłączeniem do sieci cieplnej, wg której koszt realizacji wyniesie 3,2 mln zł.

— W roku 1983 przewiduje się wykonanie dokumentacji technicznej na budowę nowego dna, remont kapitalny ścian i wykonanie nowego spustu na poziomie dna basenu.

— Wg wstępnych szacunków koszt w/w robót wyniesie ok. 30 mln zł i będzie wymagał zabezpieczenia dość dużej ilości deficytowych materiałów jak cement, materiały izolacyjne. Również przeznaczenie tak dużej kwoty na realizację w/w zadania przerasta obecnie możliwości finansowe wydziału. Tym niemniej wydział uznając pilną potrzebę uruchomienia ośrodka będzie czynił starania mające na celu uzyskanie potrzebnych środków na 1984 r., z budżetu Urzędu Miasta Łodzi, jak również z Centralnego Funduszu Turystyki i Wypoczynku, będącego w dyspozycji Głównego Komitetu Turystyki.

O wyniku starań poinformujemy społeczeństwo miasta Ozorkowa.

mgr **HENRYK GRENDA**

## „SZPITAL W ŚRODKU MIASTA"

Edward Bryl w artykule pt. „Szpital w środku miasta", zamieszczonym w numerze 13 „Odgłosów", poruszył bardzo drażliwy temat — stosunek społeczeństwa do ludzi chorych psychicznie. Rzeczywiście, problemy i niechęć, z jaką ci ludzie stykają się na co dzień, są w stanie załamać człowieka zdrowego, a co dopiero wrażliwego, słabego psychicznie. Niezaaprobowani przez własne rodziny borykają się z kłopotami w zakładach pracy, miejscu zamieszkania. Nigdzie — z wyjątkiem szpitala, nie znajdują pomocnej dłoni. Etykieta „wariat" odsuwa od nich ludzi, żyją w pustce. To przekreśla raz na zawsze jakiekolwiek szanse na wyleczenie, powrót do normalnego życia. Taki los jest udziałem zdecydowanej większości chorych psychicznie. A już najtragiczniejszy bywa żyjących samotnie, którzy — zapomniani przez Boga i ludzi, wegetują w skrajnej nędzy, coraz głębiej pogrążając się w chorobie.

Jest sprawą żenującą, że nasze społeczeństwo, ponoć kulturalne, nie potrafi wykazać się ludzkim stosunkiem do jednostek dotkniętych chorobą psychiczną. Po mleko i bułki dla starszej, słabo chodzącej pani, sąsiadka pójdzie, ale dla „wariatki" już nie, do niej się nawet nie uśmiechnie, ani nie zagada. Wynika to z małej wiedzy społeczeństwa o chorobach psychicznych, wielkiej niechęci do tych ludzi, pogardy mającej swe korzenie w dalekiej przeszłości — „mózgowcy" byli pośmiewiskiem już przed wiekami...

Przypadek opisany przez E. Bryla, dotyczący karygodnego traktowania chorych z oddziału dziennego przy ul. Przędzalnianej przez kierowniczkę sklepu mięsnego nr 1939 jest wstrząsający. Wierzę, że tym razem, po interwencji prasowej, sprawiedliwości stanie się zadość. Ta pani nigdy więcej w życiu nie powinna stanąć za ladą! Przeniesienie jej do innego sklepu byłoby za małą karą, ponadto nie gwarantowałoby zmiany jej stosunku do klientów. Człowiek, który pogardza innymi, nigdy nie będzie im służył uczciwie. Dzieciakom, które biegną ze śmiechem za kimś dziwnie ubranym można jeszcze wybaczyć, ale dorosłemu świadomie nadużywającemu swoich praw wobec bezbronnych chorych, i to jeszcze z państwowego, co prawda niezbyt wysokiego stołeczka — nigdy! Uważam za słuszne publiczne, imienne piętnowanie takich osób, jak wspomniana wyżej kierowniczka sklepu. Najwyższy czas zacząć uczyć społeczeństwo, że chory psychicznie to też człowiek i należy mu się prawo do życia wśród ludzi, a także miejsce w kolejce po mięso w sklepie.

**S.Z.**

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

Od redakcji: Kwalifikując artykuł Edwarda Bryla „Szpital w środku miasta", zgodziliśmy się, że stosunek kierowniczki sklepu mięsnego do ludzi psychicznie chorych jest godny potępienia. Uważamy, że sprawą tą powinny zająć się kompetentne władze. One powinny rozpatrzyć zarzuty i podjąć decyzję.

Stanowczo jednak sprzeciwiamy się poglądom zaprezentowanym przez S.Z., gdyż nie mają one nic wspólnego ze sprawiedliwością, wychowaniem i tolerancją. Potrzeba nam spokoju i zrozumienia, a nie oskarżania się i podziałów. A przede wszystkim poszanowania prawa i kompetencji. Niech się więc w tej sprawie, która słusznie oburza S.Z., wypowiedzą kompetentne władze i postąpią zgodnie z obowiązującym prawem.

## TEATR NOWY PRZEPRASZA

Redakcja książki pt. „Teatr Nowy w Łodzi 1949—1979" uprzejmie przeprasza Federację Stowarzyszeń Kulturalnych Województwa Miejskiego Łódzkiego za pominięcie wymienienia Federacji jako fundatora tej publikacji.

## KONKURS DLA MŁODYCH PROZAIKÓW

Wydział Oświaty, Wychowania i Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź-Górna, Dzielnicowy Dom Kultury Łódź-Górna, Grupa Literacka „CENTAURO"

z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy ogłaszają
KONKURS LITERACKI DLA MŁODYCH PROZAIKÓW

Celem konkursu jest integracja młodych prozaików z terenu m. Łodzi oraz rozbudzanie talentów i popularyzacja twórczości prozatorskiej.

W konkursie mogą wziąć udział osoby, które dotychczas nie debiutowały prozą w prasie literackiej oraz nie posiadają samodzielnego dorobku wydawniczego w zakresie prozy.

Organizatorzy nie określają tematyki konkursu. Z uwagi na dominującą rolę poezji we współczesnej twórczości młodego pokolenia — wszelkie formy prozatorskie, niezależnie od ich tematyki, zasługują na jednakowe zainteresowanie.

Na konkurs należy nadsyłać utwory dotychczas nie nagradzane i nie publikowane o objętości maksimum do 6 stron maszynopisu dla jednego autora.

Prace w 4 egz. maszynopisu oznaczone godłem należy nadsyłać **do 31 maja 1983 r. na adres: Dzielnicowy Dom Kultury Łódź-Górna ul. Siedlecka 1, kod 93-138**, z dopiskiem na kopercie „Konkurs literacki". W osobnej kopercie z godłem należy podać imię i nazwisko, rok urodzenia i adres.

Prace nie spełniające powyższych warunków nie będą przez jury rozpatrywane.

Na nagrody przeznacza się kwotę zł 20.000,— do podziału przez jury konkursu.

Rozstrzygnięcie konkursu będzie miało charakter publiczny i nastąpi **w czerwcu 1983 r.** w siedzibie DDK Łódź-Górna. O dokładnym terminie organizatorzy powiadomią za pośrednictwem prasy.

Organizatorzy nie zapewniają zwrotu prac nienagrodzonych.

Organizatorzy podejmą starania o wydrukowanie tekstów nagrodzonych w prasie łódzkiej.

## KTO ŹLE PRZEGLĄDA PRASĘ, A KTO PRZEKŁAMUJE!

Rewanżując się red. W. Uchmanowi („Odgłosy", nr 12) powinienem zacząć tak: „Zbyt długo znam red. Uchmana wytrawnego redaktora depeszowego i wybitnego znawcę bioenergetyki w „Expressie Ilustrowanym", aby nie orientować się, iż jego umysł jako bank informacji pracuje lepiej niż komputer..." Tyle tylko, że przekłamuje.

Czytelnikom przypominam: chodzi tu o komunikat Sekretariatu Naukowego Wydziału VI Nauk Medycznych PAN oraz Prezydium Rady Naukowej przy ministrze zdrowia i opieki społecznej, ostrzegający przed nadmiernym zaufaniem do tzw. paramedycyny.

Otóż — prócz kalendarza — wszystko się zgadza, panie redaktorze Uchman. „Express Ilustrowany" istotnie zamieścił ów komunikat 15 lutego br.

Jednakże, ja w swoich „Zapiskach współczesnych" („Dziennik Łódzki" 25—27 lutego br.) i w ślad za mną red. Lucjan Bogusz („Odgłosy" nr 10) piszemy, iż „Rzeczpospolita" tekst komunikatu zamieściła 14 lutego br., co red. Uchman wstydliwie przemilcza. Dlaczego?

Otóż „Express Ilustrowany" jest dziennikiem i to popołudniowym, więc różnica ponad doby w stosunku do stołecznej „Rzeczypospolitej" to właśnie przyznanie się do przeoczenia. Zresztą nie dotyczy to przecież — do licha — tylko „Expressu", lecz i innych gazet, w tym i mojej macierzystej. Ponadto, jak wiem, inne dzienniki również z opóźnieniem ów komunikat opublikowały.

W felietonie chodziło mi o podkreślenie tego oto prostego faktu: w dniu 14 l u t e g o br. spośród dostępnych mi gazet warszawskich i łódzkich t y l k o „Rzeczpospolita" d o s t r z e g ł a znaczący tekst, godny polecenie czytelnikom. I nie miałem obowiązku wertować od deski do deski gazet w następne dni.

A może tajemnica tego jednodniowego opóźnienia tkwi w dopisku redakcji „Expressu Ilustrowanego", informującym, że popularyzowani przez nią uzdrowiciele, jak panowie Uchnast i Nardelli, współpracują z oficjalną medycyną. To brzmi, jak komentarz krytyczny. Bo po co ten komunikat, jeśli jest tak dobrze? Otóż ośmielam się zauważyć, że komunikat traktuje o paramedycynie w ogóle, a nie o panach Nardellim czy Uchnaście. A więc mamy w „Expressie" do czynienia z dezawuowaniem medycyny i apoteozą paramedycyny.

Wobec takich „technik" rozprawiania się z przeciwnikiem „przeglądacze prasy" mogą mieć chyba swoje zdanie.

**EDMUND TULKO**

P.S. Główną przyczyną spóźnionej reakcji na list W. Uchmana były badania nad własnym biopolem. Otóż uświadomiłem sobie niedawno, iż w ciągu 35 lat nie umarł nigdy dziennikarz, z którym pracowałem aktualnie w tej samej redakcji. To fenomenalne odkrycie doprowadziło mnie do zaskakującego wniosku: posiadam biopole sprzyjające długowieczności koleżanek i kolegów. Może tym zainteresują się jakieś autorytety? A na razie badania kontynuuję sam, samiuteńki...

**E.T.**

# W kręgu fantastyki

STAN CLUB

ANDRZEJ ZIMNIAK

## Schronisko

Nick otworzył okno i pokój napełniło chłodne górskie powietrze. Las wspinał się korowodem strzelistej zieleni świerków na stromiznę, która zdawała się walić ogromem skalnego masywu wprost na wątłą ścianę budynku. W szczotce igliwia uwięzły kłęby mgły, ziemia i drzewa parowały po niedawnym deszczu. Z gałęzi opadały duże krople, zabielone refleksem mleczno-szarego nieba.

Nick wychylił się, wsparłszy łokcie na wilgotnym parapecie. Odetchnął głęboko i poczuł woń lasu: igliwia, mokrego mchu, zbutwiałego drewna. Jak to wszystko trzyma się na takiej pochyłości? — pomyślał machinalnie, obserwując kurczowo wczepione w ziemię drzewa, obnażające splątane ścięgna korzeni. Pomiędzy stojącymi dumnie jak kolumny prostymi olbrzymami świerków lekko przysiadły bałwane drzewka jarzębiny. Kiedyś Nick porównywał je do płomieni, strzelających pośród szarozielonej masy leśnej. Dziś nie mógł zdobyć się na takie skojarzenia — widział tylko na wpół martwe liście, ledwie trzymające się gałęzi. Pewnie dlatego, że przyjechał zbyt późno; ostatnie dni października to w górach już początek zimy. Tylko patrzeć, jak któregoś ranka szyby zawiane będą śniegiem, a białe czapy przygniotą gałęzie do ziemi. Tak, i tym razem spóźnił się. Często spóźniał się, czasem o lata, czasem o minuty — efekt bywał podobny.

Po prawej nodze przebiegła mrówka, łaskocząc, nieznośna. Strzepnął dłonią, jakby chciał pozbyć się natręta; zawsze tak robił, i zawsze potem śmiał się krótko, chrapliwie, bez cienia radości. Mięśnie poczynały palić i drętwieć, zdawały się dzielić na dziesiątki małych kłębków napiętych do granic ostatecznej wytrzymałości materii. Wtedy musiał położyć się. Położyć i myśleć, myśleć za wszelką cenę!

„Sucha, pustynna planeta pod bladoróżową kopułą nieba. Kruche skały zalegają szkliwem spękanych odłamków jej nierówną powierzchnię, spod hałd błyszczących odprysków wyrastają czarne kominy podskórnych złóż, w których głębi trwają nieodgadnione procesy, przemieszczają się masy materii w konwulsyjnych drganiach trzewi globu. Planeta — matka, sucha, surowa, wyniosła. To ona wydała życie, swoje ukochane dziecię, wypieszczone, jedyne. Miast oszałamiać świat paletą spłowiałych barw, wielością licznych form, rozmaitością kiepskiego intelektu, zrodziła pośród pustynnych, jałowych wzgórz jedną jedyną — doskonałość".

Nick poczuł sztywność zaciśniętych aż do bólu szczęk i delikatne mrowienie wokół warg. Wrażenia te dobiegały go zza ochronnej powłoki koncentracji myśli i zdawały się nie dotyczyć jego, lecz jakiegoś innego, obcego ciała. Przez lata choroby, wobec której medycyna była bezradna, wyrobił w sobie przedziwny odruch obronny: osiągał niemal pełne oderwanie od rzeczywistości, a więc i od chwilowego cierpienia, przez niezwykle intensywne skupienie myśli. Czy myśli? Sam tego nie wiedział. Na pewno nośnikami owego transu były również zwielokrotnione uczucia tęsknoty i wiary, wiary w coś innego, lepszego.

Drętwota warg powoli nikła, i równocześnie ochronny nierealny świat odpływał, rozwiewał się jak mgiełka snu. Gmatwanina białych i brązowych plam z trudem ukonstytuowała się w nieostry jeszcze obraz pokoju z wyciętym jasnym prostokątem okna.

Ach tak — pomyślał — jestem w górskim schronisku, przyjechałem tutaj dziś rano. Świadomość miejsca i czasu powoli wracała jak skotłowana fala przyboju, zalewająca odsłonięty przed chwilą lśniący wilgocią piasek.

Unosząc się lekko na łokciu ostrożnie poruszał prawą nogą. Była jeszcze jak z drewna, lecz spełniała swoje funkcje. Wstał i przeszedł się po izbie, każdym stąpnięciem wyduszając z rozeschłych desek podłogi przeciągłe, podobne do skargi skrzypienie.

Znów powędrował myślą pomiędzy odległe światy, aż do wyśnionej planety, zasypanej szkliwem spękanych skał. Wiedział, że według dostępnych danych prawdopodobieństwo jej istnienia jest właściwie równe zeru, lecz wierzył, że gdzieś musi jednak być, zawieszona pośród obcych słońc w bezkresie przestrzeni, otoczona różowym obłokiem atmosfery. Dlaczego w końcu nie? Jeśli nie ma jej w pobliżu Ziemi, to znajduje się gdzieś dalej, a jeżeli nie tam, to jeszcze dalej. Przestrzeń jest nieskończona... A jeśli nie jest różowa, to może żółta czy czarna. Co za różnica. Nie to jest ważne.

Nick odzyskał już pełną sprawność. Nie wiedział, kiedy przyjdzie kolejny atak; następowały coraz częściej, choć zawsze trwały krótko. Wciągnął ciężkie górskie buty, narzucił brezentową kurtkę i wyszedł.

Wieczorny las parował i szeleścił tysiącami kropel spadających z ciężkich wilgocią gałęzi. Deszcz ustał zupełnie, nawet mleczno-bure niebo jakby pojaśniało o ton, a ciężka warstwa chmur przybrała żółty odcień zachodu. Nick szedł szybko, wysiłek sprawiał mu teraz wyraźną przyjemność. Krew pulsowała w przyśpieszonym rytmie, ciało słuchało każdego rozkazu myśli i było znów młode, las prędko umykał do tyłu. Wilgotne powietrze pachniało świeżym igliwiem i mchem.

Kiedyś, dwadzieścia, a może trzydzieści lat temu, było tu mnóstwo jagód. Nawięcej tam, gdzie kończył się już las świerków i zaczynała kosówka. Całe łąki granatowo-złote, od jagód i wrześniowych liści ich krzewów. Jeszcze wyżej, na wypalonych słońcem stokach, rdzaworude jagodziny rodziły wielkie owoce nabrzmiałe sokiem pod pokrytą białym nalotem skórką. A najwyżej, wprost nad głową, jaśniał błękit nieba, przykrywającego wklęsłą misą cały ten świat, pełen zapachu, wiatru, słońca i radosnego wysiłku wspinaczki.

Nick poczuł zmęczenie akurat w chwili, gdy doszedł do potoku. Wzdłuż jego brzegów rosły kępy anemicznych jagodzin, pewnie miały jeszcze owoce. Ale komu chciałoby się ich szukać w mokrym gąszczu łodyg, w deszczu kropel spadających za kołnierz?

Gdy zatrzymał się tuż nad brzegiem, zmęczenie rozbiegło się po mięśniach nóg łaskotliwymi językami odrętwienia. Potok toczył wodę szklistymi zwałami po obłych kamieniach, pośród szpalerów krzewów i paproci. Tu i ówdzie nurt przedostawał się do rozległych, jasnozielonych niecek, na których dnie utrzymywał się piasek kuszący błyszczącymi kryształkami miki. Woda zdawała się tam zatrzymywać w pędzie, dając przybyszowi czas na kąpiel w doskonale wypolerowanej naturalnej wannie.

To było wciąż piękne, także wśród szarzejącego leśnego zmierzchu choć nawet nie w części tak szokujące doskonałą harmonią i dynamiką jak wtedy, nie tak dawno przecież...

Wrócił na ścieżkę, lecz zatrzymał się wpół kroku. Nogi obejmowało wzmagające się drętwienie, wigor sprzed chwili zniknął bez śladu. Las szarzał, za ciemnym zakrętem drogi czaił się głęboki ponury cień. Tak, ale uszedł od schroniska zaledwie dwieście metrów! Solidna wycieczka...

Zatrzymał się niezdecydowany. A może oni są tam, na polanie pozostałej po ostatnim wyrębie, zaraz za zakrętem? Zaśmiał się cicho i oparł przedramieniem o mokry świerkowy pień.

Niezdecydowanie... Zawsze taki był, od dzieciństwa. Zwykle przeszkadzało w działaniu, lecz nieraz tłumiło nierozważne odruchy i dawało czas na zastanowienie. Zbyt dużo czasu.

Kiedyś niezdecydowanie uratowało mi życie — wspominał. — Miałem wtedy sześć, może siedem lat. Wspiąłem się aż do nisko biegnących przewodów elektrycznych. Rówieśnicy zachęcali mnie z dołu, abym ich dotknął. Każdy zapewniał, że robił to już wiele razy. A ja stałem na oparciu ławki pełen strachu i zaciekawienia: kilkakrotnie wyciągałem i cofałem rękę, pot ściekał mi strużkami po plecach. Bałem się dotknąć i jednocześnie ogarniał mnie wstyd przed porażką. W końcu jednak strach zwyciężył. Właściwie wtedy to był chyba czysty strach, niezdecydowanie przyszło później, wraz ze sceptycyzmem, z nawykiem wątpienia.

Nick odepchnął wilgotny pień i zawrócił w stronę schroniska. Może oni rzeczywiście są już tutaj, zupełnie blisko, zaraz na polanie za ciemnym zakrętem drogi? Opuścili się na ziemię w miejscu, gdzie wyrąbany las odsłaniał rosochate, ledwie przyprószone zielenią zbocze. Ich pojazd wypączkował galeriami, owalnymi i prostopadłościennymi konstrukcjami, w których otworzyły się wejścia podświetlone fioletowym blaskiem. Całość sprawiała wrażenie bajecznego zamku wykutego z szarobłękitnej stali, w którym okna jarzyły się niebieskim światłem, o ton jaśniejszym od granatu wieczornego nieba. Wokół budowli tłoczyli się już ludzie: trzęsący się starcy i młodzieńcy, których gładkie twarze mokre były od potu; dojrzałe kobiety o oczach powleczonych szarym smutkiem i mężczyźni, śmiesznie bezradni przy całej swojej samczej arogancji; dzieci, jeszcze nie rozumiejące, lecz już z piętnem strachu odciśniętym na zbyt dużych, poważnych twarzach. Każdy z nich potrzebował czego innego, lecz wszyscy chcieli tego samego.

W gęstniejącym mroku Nick dojrzał wreszcie prześwitujące między drzewami żółte plamy świateł schroniska. Przyspieszył kroku i potknął się ciężko o ukryty w ciemności korzeń. Z trudem odzyskał równowagę, okupując ją ostrym bólem naciągniętych mięśni. Kląc pod nosem dowlókł się do kamiennych schodów, wiodących ku wejściu.

Oddać ciało do remontu, najlepiej generalnego — śmiał się z własnej nieudolności, wspinając się powoli na górę. Tak, oczywiście, terminy są krótkie. Zrobimy pana do piątej, ciało najlepiej postawić tam, na końcu trzeciego szeregu. Proszę się nie martwić, wymienimy wszystko co trzeba, a co się da zregenerujemy. Duszyczkę zaraz odwieziemy do domu, tam może spokojnie zaczekać; chyba że ma pan coś do załatwienia, wtedy może pan wziąć na parę godzin ciało zastępcze. Tam, pod ścianą, mamy troje rezerwowych: dwie kobiety i mężczyznę. Wszyscy w średnim wieku, mało zużyci, z niewielkim przebiegiem... Nie trzeba? Dobrze, o piątej przyślemy kogoś po pana. Oczywiście dajemy roczną gwarancję!

Tak, poczucie humoru było obok niedorzecznej i upartej nadziei jego najsilniejszym atutem. Pozwoliło mu przetrwać niejeden kryzys.

W sali jadalnej ciemne, dębowe stoły rozkraczyły się pod naporem ludzi, którzy w hałaśliwych grupach łapczywie spożywali kolację. Migały kraciaste koszule mężczyzn niosących talerze ze strawą, znad parujących kubków podnosiły się roześmiane twarze chłopców i dziewcząt, na rozłożonych na gładkich blatach serwetkach kobiety układały posmarowane masłem grube pajdy chleba. W kącie ktoś cicho brzdąkał na gitarze.

Nick wszedł w tłum, wgłębił się weń jak w gąszcz szeleszczących łodyg, pokrytych pączkami, kwiatami i owocami, lecz także cierniami z trującym śluzem, w gąszcz pełen basowego brzęczenia owadów i nerwowego trzepotania motyli. W tej chwili gorąco pragnął odnaleźć się w jego wnętrzu, być tam razem z nimi, być jednym z nich. Lecz ślizgał się stale po powierzchni szklanego klosza, a gdy posuwał się do przodu niewidzialne płaszczyzny rozpychały przed nim ten skłębiony świat, jak burty okrętu prującego wzburzone fale, i był wciąż sam. Sam pośród błahych zdarzeń, bezsensownej krzątaniny, morza niechęci i wrogości, w którym tak rzadko i jakby nieśmiało zapalał się tylko na chwilę błędny ognik miłości. Zdawało mu się, że przechadza się bez celu między kiepskimi dekoracjami do jakiegoś chaotycznego przedstawienia pomylonego reżysera.

Z mieszaniną niechęci i podziwu graniczącego z zazdrością patrzył na grupę młodych ludzi, którzy nie zdążyli jeszcze strzepnąć z butów kurzu dalekiej wędrówki, zmęczonych, lecz jakże szczęśliwych. Cieszyli się z każdego drobiazgu, białego słowa, a właściwie — to szczęście było już w nich wewnątrz, oni mieli je ze sobą na co dzień, i wystarczyło cokolwiek, aby wypłynęło radosną falą istnienia.

I wtedy Nick zrozumiał swój błąd. Przyjechał właśnie po chwilę szczęśliwej beztroski. Był tu niegdyś, przecież nie tak bardzo dawno, przy tym samym stole otwierał nożem puszkę konserw wśród śmiechu wesołej kompanii. Teraz żądał od tej sali, tych gór i lasów, aby wykrzesały w jego wystygłym wnętrzu nową iskrę. Pragnął, żeby szczęście przyszło doń z zewnątrz, dałby wiele za jedną jego chwilę, bo przybył tu pusty.

Zamówił cokolwiek i usiadł przy wielkim, zgiełkliwym stole. Pora była późna, kolejka przy bufecie zmniejszyła się wyraźnie. Wśród kilku oczekujących osób zauważył dziewczynę niezwykłej urody. Była bardzo młoda, o twarzy prawie dziecięcej, lecz już całkowicie ukształtowane kobiece ciało, długie nogi, wysoko sklepione biodra i sterczące jędrne piersi, żyjące jakby własnym życiem pod napiętym materiałem bluzki, zadawały kłam niewinności oczu. Rozmawiała z o wiele od siebie starszym mężczyzną, który mógł być jej ojcem, a może — był kochankiem? Facet w widoczny sposób dbał o młodzieńczy wygląd: nosił się z zamierzoną niedbałością, w młodzieżowym stylu, poruszał się szybko i energicznie, choć sprawiało mu to nieraz wyraźną trudność. Śmieszne, ostatnie podrygi — pomyślał Nick, stwierdzając z satysfakcją zaprawioną odrobiną żalu, że on sam je sobie darował. Spojrzał jeszcze raz na dziewczynę. Była na pewno dość ładna, ale zbyt potężna: wysoka, szeroka w plecach, miała trochę za grube nogi. Z wiekiem roztyje się jak krowa — mruknął niechętnie. Gdy przechodziła obok niego, niosąc parujące talerze, spostrzegł jak bardzo była młoda. To chyba jednak ojciec — pomyślał — albo wyjątkowy smakosz. W czasach, kiedy zatrzymałem się tu po raz ostatni, nie byłaś jeszcze planowana, moja mała. Więcej — twoi rodzice pewnie nie znali się nawet, nie wiedzieli o swoim istnieniu i o przeznaczeniu, jakim było spłodzenie ciebie. Jaka była szansa, że właśnie ich dwoje spotka się w tym określonym celu wśród miliardowej masy ludzkiej? Pewnie podobna, jak prawdopodobieństwo istnienia jednej jedynej, określonej planety w niezmierzalnym morzu światów...

Nick wstał i wyszedł z jadalni, pragnąc jakoś przetrwać ten ciąg bezsensownych skojarzeń. Poza tym powinien już być sam — w każdej chwili mógł przyjść następny atak.

Pokój pełen był rześkiego, nocnego powietrza. Nick zamknął okno i wyciągnął się na skrzypiącym łóżku, z przyjemnością rozluźniając zmęczone mięśnie. Lubił ten moment, kiedy gasło światło, a pod plecami wyczuwał śliską gładź pościeli, kiedy członki wypełniały się ciężkim rozkosznym bezruchem.

Na szyi dziewczyny widział złoty łańcuszek z krzyżem. Czyżby była wierząca? A może nosi krzyżyk z przyzwyczajenia, dla fasonu, czy po to, aby sprawić przyjemność rodzicom? Na pewno jest jej dobrze z wiarą. Trzeba w coś wierzyć, w coś co nie poddaje się ocenie zmysłami, gdyż sam świat materialny nie daje żadnej szansy, nie daje nawet nadziei. Pewien filozof napisał, że gdyby życie nie było tylko przejściem, byłoby nieznośne. Coraz częściej myślę, że mógł mieć rację — Nick powoli snuł senne rozważania. Właściwie chciałbym wierzyć w Boga — rozmyślał — lecz doszedłem do tego za późno. Światopogląd w ogromnej mierze zależy od wychowania, znacznie mniej od wykształcenia. Wiara leży poza wiedzą, daleko poza nią. Przecież, aby być wierzącym nie trzeba ślepo wierzyć w dogmaty...

Czy ta dziewczyna jest szczęśliwa? — zastanawiał się. — Wiara na pewno nie jest jej potrzebna do osiągnięcia szczęścia, najwyżej towarzyszy żywiołowym smutkom i radościom, którymi jest wypełniony jej każdy dzień. Wiara potrzebna jest ludziom zamiast namiętności, aby zapełnić pustkę i dać nadzieję.

Już zasypiał, gdy nagle zbudził go ostrzegawczy skurcz mięśni. Po prawej nodze przebiegło tchnienie żaru, niewidzialny płomień jął lizać pękającą skórę, wżerać się w miąższ mięśni i ścięgien, wysuszać i palić kości. Z winy pobłażliwych rozważań Nick nie zdążył na czas, lecz teraz, zwarłszy szczęki z całych sił, z największym trudem wyswobodził spętaną oszalałym bólem myśl i skierował ją ku swojej własnej nadziei.

„Różowe, zawsze pogodne niebo ugięło się łagodnie i spłynęło miękkim lejem w kierunku otwartego na spotkanie wzgórza, które wyłoniło się spod szkliwa pobrużdżonej powierzchni planety. W miejscu zetknięcia działo się coś dziwnego, zachodziły niezrozumiałe procesy tworzenia, materia przeobrażała się w struktury wyższego rzędu, stawała się powolna istnieniu, które kształtowało ją wedle swojej chwilowej potrzeby. Lśniący, pełen pylistych zawirowań obłok, który powstał w tym procesie, uniósł się błyskawicznie w różowy przestwór nieba i połączył z nim tysiącem świetlnych wypustek. Ogromna antena, zakończona żywymi receptorami, odczuwała najodleglejszą skargę wszechświata, wyławiała z dalekich zakątków Galaktyki każdy szept czułości, spazm rozkoszy, lecz przede wszystkim krzyk bólu i płacz duszy. A potem wirujący obłok podzielił się na setki świecących punktów, które, rozjarzając się do białości pędziły coraz szybciej przez kosmiczną pustkę, pogrążając się w końcu w nurtach ponadświetlnych wiatrów kosmicznych, aby zdążyć na czas i być tam, gdzie być powinny i gdzie były potrzebne. Aby ukoić ból i zapełnić nadzieją puste dusze."

Nick obudził się, gdy słońce stało już wysoko. Słońce! Jakaś radosna struna nieśmiało zadrgała w jego piersi. Koniec słoty i deszczu. Może na krótko, więc trzeba to wykorzystać.

Po wczorajszym niezwykle silnym ataku odczuwał wciąż osłabienie. Ubierał się więc powoli, mimowolnie rozmyślając o Różowej Planecie. Może ona naprawdę istnieje? Bzdury! Ale przecież wystarczy mocno uwierzyć... Lecz i na to nie mógł zdecydować się. Znów sceptycyzm i niezdecydowanie! Nie był w stanie ani wyrzec się tej wiary, ani przyjąć jej bez zastrzeżeń.

I wtedy stało się coś dziwnego, nastąpiło jedno z tych rzadkich zdarzeń, których wpływ nie ogranicza się tylko do chwilowego oddziaływania na zmysły. W słoneczną przestrzeń za otwartym oknem popłynął dźwięczny, dziecięcy śpiew, nuty znanej melodii, w której ten świeży głos, a może i górskie hale i wesoły blask słońca tchnęły nową, wspaniałą treść. Nick podszedł wzruszony do okna. Hale rozśpiewały się tysiącem srebrnych dzwonków, młode pędy traw i pękające pąki kwiatów zdawały się odpowiadać własnymi głosami, a zwielokrotniony dziecięcy, łamiący się, ciepły śpiew płynął coraz dalej i zdawał się sięgać słońca.

Nick pomyślał, że warto było przyjechać już po to tylko, aby usłyszeć taką melodię. I że, być może, właśnie w tej chwili dotarł do niego promień wysłany z dalekich światów.

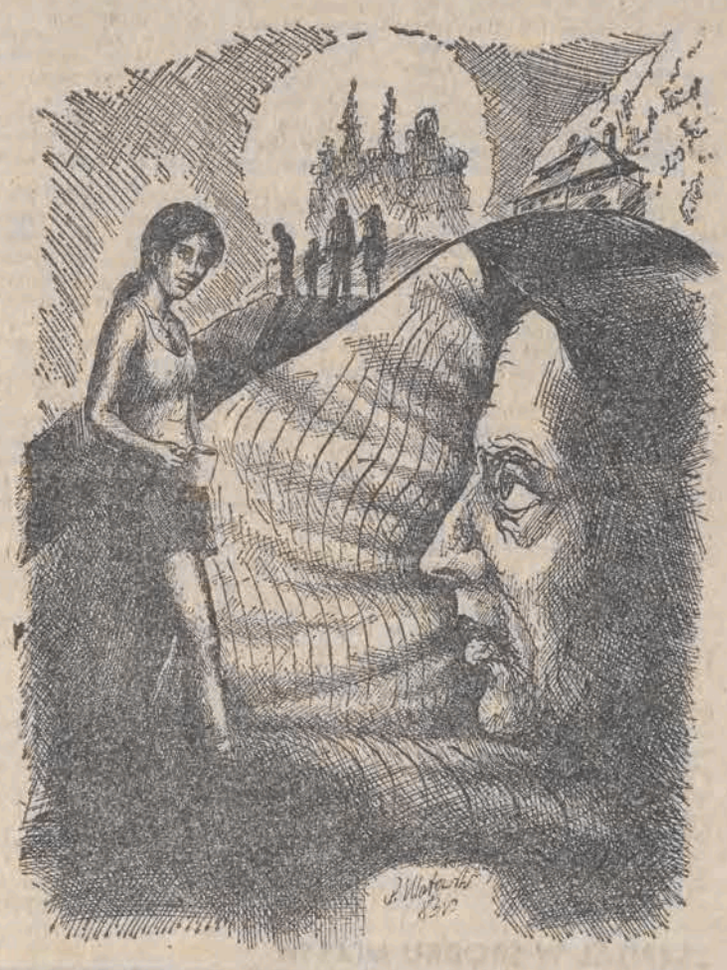

*Rys. P. Ulatowski*

WSPÓŁREDAGUJE WARSZAWSKI SFAN-CLUB,
ALEJE JEROZOLIMSKIE 2, GROTEKA, 00-375 WARSZAWA

# W kręgu fantastyki

## Moje zwierzęta i podróż do Krańców

ALEKSANDER JENSKO

**Najwspanialsze w fantastyce jest to, że nie ma już fantastyki: jest tylko rzeczywistość.**
**(André Breton)**

Chociaż podróż do Krańców Absolutu wcale nie leżała w moich planach (więcej, planowałem sobie wyprawę Zupełnie Gdzie Indziej; pozałatwiałem już wszystkie formalności i czekałem już tylko na dyliżans zaprzężony w szóstkę tyrranozaurów, który miał mnie zawieść Właśnie Tam), uległem ich prośbom. W poniedziałek przyszedł do mnie Axel. Axel jest najmniej sympatyczny spośród nich wszystkich (a może mi się tylko tak wydaje) i właśnie dlatego najbardziej go lubię.

— Słuchaj — powiedział, a jego wzrok był jeszcze bardziej świetlisty niż zazwyczaj. — Jedziemy. Teraz. Zaraz. Dziś. Wszystko gotowe.

— Jedziemy? — starałem się zachować spokój. — A dokąd? Axel machnął łapką.

— Czy to ważne? Od razu widać, że nie masz duszy turysty. Wielu chciałoby pojechać z nami. Nie wierzysz?

— Ależ tak, tak, naturalnie, — odparłem. — Kontynuuj.

Axel kontynuował. Mówił, że zamierza wybrać się w podróż i właśnie werbuje towarzyszy. Wprawdzie on, Axel, nie potrzebuje zazwyczaj nikogo do towarzystwa, gdyż w każdej chwili może się bez kłopotu podzielić na dowolną ilość osobników o zupełnie odmiennych charakterach, poglądach i zainteresowaniach, tudzież zdolnościach (tych ostatnich zresztą również całemu Axelowi nie brakuje), mogących staczać między sobą długie, mądre i zawiłe dyskusje na różne tematy, od kulinarnych i politycznych zaczynając, na rozważaniach o teorii Czystej Formy kończąc; osobnicy ci mogą również stanowić środowisko twórcze czy na przykład urządzić bachanalia; ale przecież nie o to Axelowi chodziło. W grę wchodzą głównie sprawy finansowe.

— Bardzo lubię Wildgriddaa — mówił Axel. — Jest sympatyczny i zawdzięczam mu wiele.

— Dlaczego więc nie pojedzie z nami? — spytałem, choć z góry znałem odpowiedź.

* * *

Pędzimy więc do Krańców Absolutu i tak naprawdę to ani ja, ani żadne z moich zwierzątek nie orientuje się, w którym kierunku należy się posuwać. Nie wiemy nawet, czy ów Kraniec leży na ziemi, na morzu, w Kosmosie czy w powietrzu, ewentualnie pod ziemią. Gorzej: nie wiemy nawet, gdzie szukać samego Absolutu. Na razie Axel, Midd, Squerez, Ezzam i jeszcze kilku moich artystów, kierując się tezami Przybyszewskiego (sztuka jest odbiciem Absolutu) tworzą pilnie, licząc zapewne na to, że i w ich sztuce Absolut prędzej czy później znajdzie odbicie. Wypijają przy tym ogromne ilości absyntu — napoju zbliżonego nazwą do szukanego przez nas obiektu.

* * *

Wczoraj przed dziobem naszego uniwersalnego statku pojawiło się Cokolwiek.

Naturalnie Ixlop, który pełnił wówczas dyżur w sterowni, zdążył wyhamować. Ixlop ma naprawdę bardzo szybki refleks.

— Człowieku! — zawołał Axel, wpadając do mojej kabiny w środku nocy, niesamowicie zdenerwowany. — Człowieku, coś się stało niedobrego.

— Niedobrego? — nie zrozumiałem.

Axel wyjaśnił.

— Należy ominąć Cokolwiek — zawyrokowałem po namyśle.

Okazało się to niemożliwe. Cokolwiek w błyskawicznym bowiem tempie rozrosło się wzdłuż, wszerz i wzwyż, otaczając nas ze wszystkich stron.

— Właśnie — powiada Axel — przysłali mnie tutaj, żebym cię zabił.

— Zabił?!

Na dowód Axel pokazuje mi olbrzymią kolumbrynę, którą przyniósł ze sobą, żeby mnie zastrzelić.

— Masz zbyt bujną wyobraźnię — usprawiedliwia siebie i wszystkie inne zwierzątka. — Zapewne przyśniło ci się Cokolwiek, a siła twojej imaginacji zmaterializowała je.

— Doprawdy? — uśmiechnąłem się. — A więc zabij mnie, jeśli sądzisz, że to wam pomoże. Uprzedzam cię jednak, że moja śmierć w niczym nie zmieni tragicznej sytuacji, w jakiej znalazł się nasz statek. Cokolwiek jest stworzone mocą mojej wyobraźni, a więc tylko ja mogę je mocą tejże wyobraźni unicestwić.

— Chyba że tak... — mruknął mój ulubieniec, chowając kolumbrynę do tylnej kieszeni spodni. Kul nie zdążył zabrać. Leżą w mojej kabinie do dziś. (A może już nie leżą. To zależy kiedy wrócilem z podróży. W każdym razie łatwo je pomylić z jajkami iguanodona. Widziałem niedawno rodzinkę tych wymarłych przed wiekami gadów. Skakały po łączce, podgryzając od czasu do czasu wyrwane z korzeniami cyprysy, a może to były widlaki drzewiaste lub palmy daktylowe).

* * *

— Pijesz już trzecią cysternę soku cytrynowego — mówię do Ezzama.

Ezzam odwraca głowę w moim kierunku.

— Suszy mnie — odpowiada głosem niezmiernie zbolałym.

— Nie trzeba było tyle pić — prawię mu morały.

Śmieje się smutno.

— Jak tu nie pić, kiedy taka tragedia?

— Tragedia?!

Okazuje się, że w nocy, między godziną dwudziestą trzecią dziewięć a zero zero osiem, z pracowni artystów zginęły wszystkie dzieła sztuki. Ale tylko one.

— Jak mam to rozumieć: tylko one?

Oczywiście, że tylko dzieła sztuki, owoce wielotygodniowej twórczej pracy w czasie podróży. Zostały białe kartki, z których znikły litery; puste, pozbawione najmniejszych śladów obrazu płótna; nie zapisane papiery w pięciolinię...

— Popatrz — Ezzam wtyka mi w dłonie blok papieru. — Tu była zapisana moja cztery tysiące sto siedemdziesiąta ósma symfonia. Na siedem wielkich orkiestr! — woła rozżalony. — co? I nic! — odpowiada sam sobie. — Puste pięciolinie! Znikły wszystkie nuty! To samo z maszynopisami Axela, z obrazami Midda.. Zginęliśmy! Co gorsza, nie można stworzyć nic nowego. Marazm jakiś nas ogarnął. Posłuchaj — przyskoczył do mnie. — Czy to już Koniec Sztuki?!

Coś mnie tknęło. Zazwyczaj nie wierzę w przeczucia. Ale, to teraz...

— Słuchaj, Ezzam — mówię. — Czy zniknęły wszystkie nasze dzieła?

— Nie — odpowiada Ezzam po namyśle. — Zostały malunki Illdra. Ale to nic dziwnego. Wiesz: Illdr to grafoman, beztalencie nieomal. Sam o tym wie i dlatego ogranicza się do malowania dla niewybrednego odbiorcy. Rozumiesz? Widoczki, drzewka...

* * *

Dziś w nocy dotarliśmy do Kresu Absolutu. Sztuka to Absolut (jeśli Przybyszewski miał rację, a nie ma dowodów na to, że miał). Dziś w nocy nastąpił Kres Sztuki. Wniosek? Dziś w nocy byliśmy u celu podróży. Minęliśmy go.

— To dobrze, czy źle? — pytają mnie zwierzątka.

* * *

Uczą się języka ludzi. Nic mi o tym nie mówią, ale wiem. Czuję, czy jak? Nie wiem, po prostu wiem. Chcą mnie posłuchać, jak rozmawiam z moim alter ego. Bo rzeczywiście rozmawiam z nim od czasu do czasu. Bywa, że przychodzi w najmniej odpowiednich momentach. Wtedy złoszczę się na nie i zazwyczaj wołam Schyzia, aby je wyprosił. Sam nigdy się na to nie zdobędę.

* * *

Zwierzątka są wyjątkowo podekscytowane. Rozmawiały dziś z Rzeczywistością. Spotkały ją w ruinach gotyckiej katedry, kiedy usiłowała doprowadzić do stanu jako-takiej używalności instalację wodno-kanalizacyjną.

— Czy jesteś hydraulikiem? — spytał Wilid.

Naturalnie Rzeczywistość nie była hydraulikiem, toteż pytanie Willda nieco ją uraziło. Odrzekła, że takiej Rzeczywistości jak ona, zajęcie nie jest potrzebne.

— Dlaczego zatem naprawiasz rury?

— A, to inna sprawa — odpowiedziała.

* * *

Namiętnością Willda jest majsterkowanie, budowanie, konstruowanie, klecenie i w ogóle tworzenie najrozmaitszych rzeczy. Choroba ta wraca co pewien czas z różnym nasileniem.

— Buduję schody — oznajmił mi dziś dumnie, gdy już usadowił się na swoim ulubionym miejscu.

— Schody?

— Tak — odparł. — Schody. Do nieskończoności.

— Plus czy minus? — spytałem, żeby nie było później nieporozumień.

— To zależy od tego, z której strony na nie patrzeć.

Zainteresował mnie.

— Mógłbyś mi je pokazać?

— Jeszcze nie teraz — rzekł cicho, zamykając za sobą drzwi do pokoju, w którym od kilkunastu godzin spałem snem niesprawiedliwego.

* * *

— W każdym z nas jest coś — mówi mi któreś z moich zwierzątek.

— Coś, czy Cokolwiek?

— Nie kpij — mówi Axel niezwykle poważnie. — Sprawa nie jest błaha.

Dostosowuję się do powagi chwili i ulegam natychmiastowej dematerializacji.

— Stój! Nie o to nam chodziło! — wołają, ale jestem już za daleko.

* * *

Axel lubi poezję i muzykę. Ezzam — wiadomo. Aggsler uwielbia muzykę Pink Floyd. Naprawdę nie wiem, co takiego wspaniałego on w niej widzi, czy też słyszy.

Wszystkie, bez wyjątku moje zwierzęta uwielbiają absynt i podróże. Lubiły także przesiadywać w lodówce, dopóki ta się nie zepsuła.

* * *

Przed chwilą przeczytałem im to wszystko. Wysłuchały z podziwu godną cierpliwością.

— Niepotrzebny był ostatni rozdzielnik — ocenił Axel, kiedy skończyłem czytać i zwilżyłem zmęczone gardło ostatkiem wina.

— Ale ogólnie nie jest źle.

— A jak jest? — pytam go, ale on najwyraźniej nie ma zamiaru odpowiadać.

— Rzuć to wszystko — mówi Midd. — Szkoda czasu i wysiłku.

* * *

Zwierzątka kończą już budowę Miasta. Wznosiły je przez kilka lat, rozważnie, gdyż chciały, aby Miasto było piękne i aby przyjemnie się w nim żyło.

I chyba im się to udało.

— Nareszcie nie trzeba się będzie gnieździć w naszym starym domu — cieszą się.

Axel stoi z boku, zamyślony i smutny.

— Co ci jest?

Oczywiście wiem, co mi odpowie.

* * *

Przeprowadzka w toku.

— Tylko nie pisz, że chciałem zostać — prosi Axel. (Przepraszam cię, Axelu).

*Rys. Andrzej Biedrzycki*

## Radość pisania

Gdybym była recenzentem złośliwym, napisałabym, że Tadeusz Markowski, autor tomu opowiadań pt. „Tak bardzo chciał być człowiekiem" za bardzo chciał być... pisarzem. Niewątpliwie bowiem wyłącznie chęć ta (skądinąd niezdrożna) wpisana jest w strukturę i formę jego pierwszych opowiadań. Nie sposób jednak nie zauważyć, porównując daty powstania tych utworów, że z czasem autor zdobywa się już na pewną samodzielność pomysłów i sposobów wcielania ich w kształt literacki. Najlepsze, tytułowe opowiadanie, powstałe najpóźniej, jak się wydaje, lepiej rokuje dla dalszej twórczości Markowskiego.

Zacznijmy jednak od początku. Markowski ma niewątpliwie ciekawe pomysły. W opowiadaniu „Cała radość życia" socjologowie przyszłości tworzą sztuczną kolonię androidów — poletko doświadczalne dla badań nad dziejami społeczeństwa W opowiadaniu „Ludzie... jak złodzieje" badacze obcych planet wpuszczeni zostają do galaktycznego muzeum cywilizacji, w którym, nieświadomi gdzie się znajdują, zachowują się jak niegrzeczni uczniowie na szkolnej wycieczce. Pomysły te jednak rozmywają się w fabularnych schematach, dłużyznach konstrukcyjnych, sztucznie wydętych pointach. Język wielu opowiadań grzeszy barokowym nadmiarem określeń wytartych i nic nowego nie wnoszących („Cała radość życia"). Można nawet powiedzieć, parafrazując autora, że Markowskiemu, podobnie jak jednemu z jego bohaterów, tylko „wydawało się, że nie powiedział ani jednego niepotrzebnego słowa".

Niektóre z pomysłów Markowskiego grzeszą szkolarstwem, jak w opowiadaniach „Pamiętnik" czy „Pech" Naiwne są także niektóre określenia i zwroty — kosmos jawi się bowiem autorowi jako przestrzeń o ściśle określonych granicach i cechach, w której właściwie nie może się zdarzyć nic zupełnie nieoczekiwanego. „Wielka Konfederacja Myślących obejmowała swoim zasięgiem prawie trzy czwarte wszechświata" — pisze Markowski w „Pamiętniku", pokazując, podobnie jak w innych opowiadaniach, kosmos podzielony i do końca zbadany, w którym egzystują „cywilizacje podprogowe" i „drugiego stopnia", mierząc czas „okresami" i „obrotami pangalaktycznymi".

Cytowane wyżej określenia, choć nie nazbyt oryginalne i chwilami naiwne, autor wprowadza jednak z dużą konsekwencją, operują bowiem nimi bohaterowie wszystkich opowiadań zebranych w tomie. Cenne jest tu więc stworzenie pewnego wspólnego dla poszczególnych utworów układu odniesienia, wadą — traktowanie tej nowej „terminologii" czy „nomenklatury" w sposób sztywny i wprowadzanie jej nawet tam, gdzie nie istnieje po temu potrzeba.

Bohaterami opowiadań Markowskiego, których akcja toczy się na pokładach statków kosmicznych, na obcych planetach i pośród obcych istot myślących, są na ogół gwiezdni specjaliści od „Kontaktu" (pisanego zawsze z dużej litery) psycho- i socjologowie. Przyszłe poznanie i badanie kosmosu jest tu możliwe dzięki porozumieniu istot myślących, poprzez stworzenie więzi opartej na tradycji ziemskich układów interpersonalnych. Autor, czasami nazbyt wyraźnie i wprost, wyznaje wiarę w możliwość takiego porozumienia („Zwiadowca"). Niewątpliwą zaletą omawianego przez nas tomu jest to, iż Markowski nie tworzy świata przyszłości za pomocą gromadzenia „kosmicznych" rekwizytów (choć i to mu się zdarza) i konstruowania mechano-rzeczywistości. Najważniejszy pozostaje tu zawsze człowiek, czy raczej — istota myśląca. Tytuł całości dobrze więc oddaje przesłanie autora — zawsze i wszędzie wszystko zależy od człowieka, od jego umysłu i wrażliwości, od jego stosunku do siebie i świata. Markowskiemu należałoby jedynie życzyć, aby, wierząc w możliwości homo sapiens, nie za bardzo dowierzał słowom, które nie zawsze mówią to, co się za ich pomocą chce powiedzieć.

MARIA BARTUS

## Notowania giełdowe

Ostatnia giełda książek SFAN-CLUBU (przypominamy: giełda odbywa się w każdą pierwszą środę miesiąca od godz. 18.00 do skutku w lokalu klubu) przyniosła następujące rezultaty:

20 osób wystawiło łącznie 211 książek, z czego sprzedano 135 pozycji (na 76 nie było reflektantów) za łączną sumę 18.160 zł. Cena statystycznej książki na giełdzie wyniosła zatem 135 zł. Miesiąc temu cena statystycznej książki wyniosła 114 zł.

Szkoda, że koledzy z Łodzi nie podali cen, jakie uzyskano na ich giełdach. Dałoby to chyba sporo materiałów do porównań.

A teraz zapraszamy do listy notowań. Są to ceny maksymalne uzyskane przez dane tytuły na giełdzie w dniu 3.03.83 r.

1. BRADBURY „Kroniki Marsjańskie" — 700 zł.
2. PALMAN „Więźniowie krateru" — 700 zł
3. SILVERBERG „Człowiek w labiryncie" — 650 zł
4. MORSKI „W pogoni za czarnym karłem" — 420 zł
5. Antologia „Zagadka liliowej planety" — 420 zł
6. ASIMOV „Koniec wieczności" — 400 zł
7. STRUGACCY „W krainie purpurowych obłoków" — 400 zł
8. ADAMOW Wygnanie władcy" — 350 zł
9. BERNDYK „Puchar Armity" — 300 zł
10. CLARKE „Spotkanie z Ramą" — 300 zł
11. LEM „Wizja lokalna" — 300 zł
12. ŻWIKIEWICZ „Druga jesień" — 300 zł
13. ČAPEK „Inwazja jaszczurów" — 280 zł
14. CZECHOWSKI „Przybysze" — 260 zł
11. STRUGACCY „Przenicowany świat" — 260 zł

W przedziale cen 200 -210 zł znalazło się jeszcze dziesięć książek.

W dalszym ciągu czekamy na notowania giełdowe z klubów.

# ZADYMA, PUNKI! ZADYMA!

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Przed ósmą znalazłem się u drzwi pewnego domu kultury. Plotka zapowiadała występ dwóch znanych zespołów punkrockowych: **PARLAMENT** i **BRAK**. Wstęp kosztował sto złotych. Kto nie miał pieniędzy, stał nie opodal szatni i czekał na szczęśliwy traf.

Koncert nie zaczął się jeszcze. Z dworu wciąż napływały falangi młodych ludzi — długowłosych i ostrzyżonych krótko, przy samej skórze. Ci pierwsi wchodzili momentalnie na salę, skąd niosło się przedwstępne, nieśmiałe pobrzękiwanie gitar. Ci drudzy, chłopcy i dziewczęta, trzymający w rękach różne zawiniątka i tobołły, ginęli w toaletach, aby po chwili, ku zdziwieniu reportera, wyjść stamtąd w całkowicie zmienionym stroju.

Poczułem lęk. Czarne kurtki, czarne koszule, czarne spodnie, czarne buty. Każdy szczegół tej przerażająco ponurej garderoby nakrapiany był stalowymi wypukłymi nitami, podobnymi do główek ogromnych gwoździ. Na przegubach rąk stalowe łańcuchy, nieuchronnie przywodzące na myśl kolczatki dla agresywnych dogów i bokserów.

Kim są ci ludzie?

— Wyjdź stąd, wyjdź! — podszeptywał instynkt.

Jakaś twarz uśmiechnęła się do mnie w tłumie. Przystojna, postawna brunetka, której wiek oscylował między trzecim a czwartym krzyżykiem. Bliżej chyba tego trzeciego. Albo odwrotnie. Przedstawiła się jako szefowa interesu. Zapytała:

**— Przyszedł pan posłuchać naszych dzielnych chłopców?**

— A można?

**— Oczywiście!**

Pociągnęła mnie w przesmyk pomiędzy ścianą a stolikiem, przy którym rezolutny młodzieniec sprzedawał bilety. Po drodze nie szczędziła słów:

**— Bardzo proszę, panie redaktorze. Tędy, panie redaktorze. Ładną mamy salę, panie redaktorze, nieprawdaż?...**

Odwróciłem się, ale już jej nie było. Porzuciła mnie z monarszą zaiste niefrasobliwością, podchodząc do chłopca, który wyróżniał się spośród rówieśników wzrostem, urodą i przebraniem. Bardzo dużo stali. Wyglądał na bossa. Rozmawiał z nią powściągliwie.

Wróciła po chwili i oświadczyła:

**— Spotkają się z panem po koncercie.**

— Dziękuję.

**— Nie ma za co, panie redaktorze.**

— Szszsz. Niech pani skończy z tym redaktorem.

**— Dlaczego?**

— Zwracamy uwagę.

**— Dobrze, panie re... Przepraszam. Otóż spotkają się z panem, ale pod warunkiem, że pisząc nie wymieni pan żadnych imion i nazwisk, bo gdyby ich rozszyfrowali wychowawcy lub rodzice...**

— W porządku. Co znaczy to „A" na plecach? — wskazałem ową literę otoczoną srebrnymi cekinami lub obrysowaną dookoła kredą.

**— Znaczy, że są antymilitarni i antynarkotyczni.**

— Naprawdę? — powątpiewałem. — A czemu niby mają służyć te wielkie spinacze i agrafki?

**— To są, panie redaktorze...**

**PARLAMENT** wziął głośny akord i nie dowiedziałem się, czemu mają służyć.

Z urzędu niejako i z nawyku śledziłem w pierwszym rzędzie estradę, ale stojący przede mną tłum zasłaniał mi zespół. Rozejrzałem się po sali. Obszerna, ćwierć boiska do piłki nożnej. I jakoś tak... dziwnie podzielona, niby to zatłoczona a pusta, niby prostokątna, bez żadnych zakamarków i wnęk, a przecież w swojej muzycznej przeszłości nigdy jeszcze nie spotkałem podobnego wnętrza.

Nie! Nic nadzwyczajnego, tyle tylko, że od estrady biegł wzdłuż wszystkich ścian drewniany, wysoki, co najmniej półtorametrowy podest, na którym rozłożyli się pokotem, leżąc raczej niż siedząc, długowłosi. Było ich tu bardzo dużo, stu pięćdziesięciu, może nawet dwustu. Cisi, spokojni, przekazywali sobie z rąk do rąk różne przesyłki, papierosy i słoiki z butaprenem, przy czym stronili najwyraźniej od kontaktów z resztą sali okupowaną przez czarno ubraną, krótko ostrzyżoną młodzież. Ta z kolei, jako się rzekło, stała twarzą w twarz z muzykami. Dalej, albo raczej: bliżej, tam, gdzie zwykle zasiada widownia, była już tylko goła podłoga — żadnych foteli kinowych, żadnych ławek, ot, parę przypadkowych, pojedynczych krzeseł, z których zresztą nikt nie korzystał, więc sprawiały takie wrażenie, jak pewne przedmioty codziennego użytku na pustyniach Salvadora Dali.

Nie zabiją chyba...

Wmieszałem się w czarną ciżbę. Nareszcie widziałem zespół: dwie gitary, pianino i perkusję. Śpiewali dziecinną na pozór rymowankę:

**Przy-znasz — Ja-siu!**
**Przy-znasz — O-lu!**
**Że — naj-le-piej**
**jest — w przed-szko-lu!**

Byłem zaskoczony sugestywną prostotą muzyki obywającej się znakomicie bez modnych jeszcze niedawno dodatków elektronicznych: moogów, synthesizerów, rytmotłuków, echogrojów i organów Hammonda. Pan Niemen ze swoją diabelską aparaturą został pogrzebany; niewykluczone, że słysząc przypadkiem jakieś jego radiowe nagranie, mówią z pogardą: O! Znowu przynudza ten śmieszny dziadunio.

Ale jeszcze bardziej niż muzyka, jeszcze bardziej niż czarne, nabijane ćwiekami stroje i ostrzyżone przy skórze włosy artystów, poruszyły mnie teksty wykonywanych piosenek. Gdzie się podział ten cudowny, beztroski rozrzut tematyczny, cechujący kiedyś nasze zespoły młodzieżowe, śpiewające w trakcie jednego koncertu o wojnie, o pięknej panience, którą znamy tylko z widzenia, o odbudowie Warszawy, o przysiędze żołnierskiej i o zwycięskim meczu polskich piłkarzy? **PARLAMENT** był pod tym względem znacznie bardziej konsekwentny, monotematyczny, słowa wszystkich utworów, niczym naboje z jednej i tej samej ładownicy, trafiały z okrutną precyzją w jedną i tę samą tarczę — w obłudę rodziny, w szalbierstwo szkoły, w ułomność ładów społecznych, w nietolerancję religijną, w presję zwyczajów i obyczajów, w kajdany nakazów i zakazów, krótko mówiąc — w odwieczny porządek świata.

Nie była to już składanka rozmaitości muzycznych, lecz zwarty program filozoficzno-polityczny. Twarze gitarzystów były poważne, groźne, z rzadka tylko rozświetlane gryzącą ironią. Pianista wyglądał tak, jakby mógł w każdej chwili splunąć, perkusista wykonywał robotę z nonszalancją wirtuoza, któremu wsypa rytmiczna nie zaszkodzi w przekazaniu treści istotnych.

Nikt nie tańczył. Nikt nie nagradzał zespołu brawami. Jedni grali, drudzy stali i słuchali, wydając od czasu do czasu gardłowe okrzyki, których w żaden sposób nie mogłem zrozumieć:

**— Giest!**
**— Brogou!**
**— Hoa, hoa!**
**— Ciąg, ciąg!**

— Po jakiemu oni mówią? — zapytałem szefowej.

**— Nie wiem dokładnie.**

— W każdym razie... ciekawe środowisko. Natomiast muzyka...

**— Ooo, PARLAMENT jest tylko zespołem amatorskim, złożonym ze słuchaczy szkół średnich. Niech pan poczeka na BRAK, który zaraz wystąpi. Stanowi podobno najlepszą grupę punkrockową w kraju. Wie pan... rozpoczynał karierę w naszym klubie; w dalszym ciągu udostępniam mu salę do prób, a on w zamian daje nam od czasu do czasu bezpłatne koncerty.**

— Przecież wejście jest za biletami?

**— No tak. Ale w kasie siedzi nasz człowiek.**

— Rozumiem. Wie pani — zacząłem wspominać — te punki, czy też: ci punkowcy, których widziałem przed laty w Sztokholmie, wyglądali zupełnie inaczej. Po pierwsze, ich ubiory były niesłychanie barwne i nieprawdopodobnie wymyślne. Proszę sobie tylko wyobrazić — jedna nogawka długa, walająca się po ziemi, druga ucięta przy samej pachwinie, jedna połowa kapoty zielona, białe pasy, druga czerwona, kropkowana, z oderwanym w dodatku rękawem. Czaszka wygolona po lewej stronie do gołej skóry, a po prawej zarośnięta i ufryzowana, jakby delikwent otrzymał zaproszenie na bal w królewskich komnatach. Kolczyk w uchu, duże metalowe kółko w nosie, paznokcie we wszystkich kolorach tęczy.

**— Nasi też malują paznokcie i noszą kolczyki** — zauważyła nie bez urazy szefowa. — **Proszę popatrzeć uważnie, redaktorze. Widzi pan!** — wycelowała palcem w ucho drobnego, kościstego małolata.

Też wyciągnąłem palec:

— Tego ma pani na myśli?

**— Paszoł z łapą!** — osadził mnie nerwowy mikrus.

— Ależ, Mireczku — mitygowała zdetonowana szefowa. — Pan redaktor chciał tylko...

Chłopak wzruszył ramionami i odszedł.

— Ostry brzdąc! — rzekłem z uznaniem. — Wszyscy są tacy?

**— Nieee, panie redaktorze. Zmieniają się pod wpływem muzyki.**

— A czy oni w ogóle tańczą?

**— Oj, tańczą, panie redaktorze, tańczą! Zaraz pan zobaczy, niech no tylko pokaże się BRAK. Nawiasem mówiąc, wszyscy brakowcy są po Wyższej Szkole Muzycznej. Da pan redaktor wiarę?**

— Dam.

Wyższa Szkoła Muzyczna rozstawiała już na estradzie sprzęt. W drugim końcu sali, za pulpitem wyposażonym w liczne guziki i pokrętła, mikser dźwięku nagłaśniał poszczególne instrumenty, zredukowane do trzech gitar i bębna.

A więc znowu żadnych technicznych rewelacji. Jeno stroje artystów były trochę weselsze: ciemne dżinsy, kolorowe koszulki gimnastyczne, kowbojskie sztyblety o podciętych obcasach... Ano, sława wymaga pewnych kompromisów.

— A ci tam pod ścianami, o długich włosach? — zapytałem.

**— Hipisi, panie redaktorze.**

— Więc są jeszcze hipisi?

**— No, jakżeż!**

— Ale oni nie mają więcej niż piętnaście — szesnaście lat?

**— Bo to jest nowe pokolenie hipisów o nieco odmiennej, zreformowanej pod naciskiem czasu ideologii.**

— Zatem pod naciskiem czasu reformują się nie tylko ustroje? Coś podobnego — powiedziałem serdecznie wstrząśnięty. — I na czym ta hipisowska reforma polega?

**— Nie wiem dokładnie, panie redaktorze.**

— A tak mniej więcej?

**— Tak mniej więcej, to oni jedzą już mięso i piją alkohol.**

Uśmiałem się serdecznie. Ona również. Miła, sympatyczna kobieta, chociaż uwłaczała mi na każdym kroku. Jaki tam ze mnie redaktor, proszę pani! Jestem szeregowym reporterem.

— O.K.

— Czemu oni stronią od reszty i tłoczą się tak na tym podeście? — pociągnąłem.

**— Niebawem sam pan zrozumie** — odpaliła. **Nie chce pan spocząć?**

Ociągałem się trochę, chroniąc godność reprezentowanej przez siebie instytucji, wreszcie przycupnąłem przecież na jednym z krzeseł w końcu sali, podstawiwszy przedtem krzesło szefowej.

**BRAK** przystąpił do dzieła.

**Mamo! Nie pozwól mi,**
**żebym był najemnikiem!**
**Mamo! Nie pozwól mi,**
**żebym był skurwysynem!**

O kim to, do diabła, piosenka? Czyżby o tym najemnym felietoniście, bywalcu salonów, zdrajcy przyjaciół, tym smutnym, pełnym żółci i jadu patałachu, z którego wcześniej czy później będę zmuszony wypompować powietrze?

Nie! **BRAK** nie załatwiał spraw jednostkowych. **BRAK** atakował frontalnie. Znowu te same pociski wstrzeliwujące się z zapiekłym uporem w ten sam cel. Totalna negacja, w myśl której bogaci są równie podli jak biedni, a szczęśliwi równie godni pogardy jak zdesperowani.

**Skurwysyny w Salwadorze**
**dręczą swoich skurwysynów w slamsach.**

Wszyscy na stos! Źli i dobrzy! Piękni i brzydcy! Precz z jakąkolwiek ideą!

Mój niepokój odradzał się szybko, przybierał gwałtownie na sile, gdyż czarny, krótkowłosy tłum rozpoczął tańce, rozkręcając się z utworu na utwór.

**— Top, top!**

**— Ua, ua!**

Z początku podskakiwali tylko do góry, pod rytm, jakby kląskała im pod nogami niewidoczna skakanka, następnie zaczęli krążyć wokół siebie, rozprzestrzeniając się i zdobywając nie zajęte dotąd połacie parkietu. Wkrótce byli już u naszych stóp i wówczas nastąpił finał, długi, przewlekły, odradzający się raz po raz, podobny do finału niektórych symfonii patetycznych, kiedy to orkiestra gra tutti, wyją wszystkie trąby, waltornie i puzony, łomocą kotły i werble, pałeczka dyrygenta nieruchomieje na ułamek sekundy, prowokując pełną słodyczy ciszę, po czym znowu wykonuje energiczny, nie znoszący sprzeciwu ruch i orgia dźwięków wybucha na nowo.

Ktoś wrzasnął:

**— Zadyma, Punki! Zadyma!**

No i zaczęła się zadyma. Zaczęła się zadyma, jakiej nigdy jeszcze dotąd nie widziałem i nieszybko pewnie zobacze.

■

**OD REDAKCJI:** Dokończenie reportażu zamieścimy w kolejnym numerze „Odgłosów".

# 1 Zdarzenia i zwierzenia

## Zaproście do stołu

Mam zwyczaj wracania do niektórych — raz już przeczytanych — książek. Oczywiście, głównie dotyczy to literatury faktu: pamiętników, opracowań historycznych, biografii... Z takiej na przykład biografii Napoleona III, napisanej przez Alfreda Liebfelda, więcej można się dowiedzieć o historii politycznej Europy tamtej epoki, niż z opracowań profesjonalnych historyków. Alfred Leibfeld był natomiast... inżynierem, a historia stanowiła jego pasję. Może właśnie dlatego potrafił tak pięknie i zajmująco o niej pisać.

Ostatnio wróciłem znów do lektury „Książki moich wspomnień" Jarosława Iwaszkiewicza. Ten wybitny pisarz historykiem literatury nie był, choć posiadał wiedzę ogromną w tej dziedzinie, a przede wszystkim był świadkiem i uczestnikiem epoki literackiej zwanej dwudziestoleciem międzywojennym. Paradoksalne, że książki niektórych fachowych polonistów roją się od błędów i przeoczeń, bo ich autorzy w swoich opracowaniach nie zechcieli uwzględnić pamiętników Iwaszkiewicza.

Pisałem już kiedyś o tym i nie będę wracał na przykład do niedobrej książki o Skamandrze, wydanej niegdyś w tzw. bibliotece polonisty. Tym razem chcę przypomnieć pewne wydarzenie z lat międzywojennych.

Otóż na początku 1919 roku Arnold Szyfman wystawił w Teatrze Polskim ramote Stefana Krzywoszewskiego „Pani Chorążyna". Młodzi poeci i malarze — Lechoń, Słonimski, Iwaszkiewicz, Witkowski, Swidwiński — postanowili zaprotestować i zademonstrować przeciwko tej szmirze. Grycendler czyli Grydzewski (późniejszy wydawca „Wiadomości Literackich") rozrzucał z balkonu ulotki, Słonimski i Iwaszkiewicz gwizdali, a Lechoń wdarł się na scenę i próbował wygłosić przemówienie...

Publiczności jednak drama Krzywoszewskiego się podobała i protest młodych poetów został przerwany zabraniem demonstrantów na policję. Nikt z tego powodu zresztą nie urządzał strajków, a poetów rychło wypuszczono.

Iwaszkiewicz wspomina, że kiedy gwizdał, jakiś widz krzyknął na niego z oburzeniem: „Idź pan na Nalewki!" Była to znana ulica Warszawy, ale Iwaszkiewicz, który dopiero co przyjechał do stolicy z Kijowa i nie znał Warszawy, strasznie się zdziwił, że mu każą iść na wódkę...

Słonimski natomiast wspomina, że policjant spisujący protokół, ani rusz nie mógł zrozumieć, że sztuka w teatrze mogła się komuś nie podobać. „Gdyby pan był pijany — wywodził — no to bym rozumiał, ale jak można było gwizdać w teatrze na trzeźwo?".

Mniejsza zresztą o szczegóły, które były już wielokrotnie opisywane przez wszystkich uczestników skandalu w Teatrze Polskim.

Najciekawsza jest konkluzja Iwaszkiewicza i cały finał owej sprawy — jakże bardzo typowy i zabawny jednocześnie. Otóż pisze Iwaszkiewicz: W krótkim czasie młody poeta Lechoń przeprosił się tak bardzo z autorem „Pani Chorążyny", że pisywał kuplety dla nowej jakieś jego ramoty, granej w jednym z teatrów. Z Szyfmanem także pogodziliśmy się wkrótce, robiąc dla niego liczne tłumaczenia czy też w inny sposób współpracując z jego teatrem..."

Otóż to! Jakże często zdarza nam się oglądać protesty i demonstracje w imię jakichś wyższych, niezależnych ideowych czy artystycznych racji, protesty, które później okazują się zwykłą, najzupełniej prywatną próbą (najczęściej udaną) wejścia na rynek.

Jakże często motywem głośnych, hałaśliwych demonstracji jest po prostu to, aby ich autorów zaprosić do stołu... „Zaproście mnie do stołu" — taki był tytuł i sens piosenki nieżyjącego już młodego poety, piosenki, dzięki której karierę zrobiła kilkanaście lat temu Elżbieta Wojnowska. Szanuję autora tej piosenki-wiersza, bo nie taił swoich marzeń i motywów, mówił o nich wprost. Natomiast bardziej mieszane mam uczucia, gdy widzę i słyszę głośne demonstracje rzekomo w imię wyższych racji — w rzeczywistości chodzi po prostu o to, aby ich uczestników zaprosić do zastawionego stołu.

**JERZY WILMAŃSKI** ■

# 2 Lewym okiem

## Z nahajką do szturmu

Publikując w „Przeglądzie Tygodniowym" bardzo szczegółowe wspomnienia o gen. Grocie Roweckim, jego córka, pani Irena Rowecka-Milczarska, wspomina też bitwę o Polską Górę, jaką legiony Piłsudskiego stoczyły w dniu 4 lipca 1916 roku. Bitwa ta znana jest także w tradycji i legendzie jako bój pod Kostiuchnówką (albo Kościuchnówką), a pani Milczarska mówi o niej to, co słyszała od swego ojca.

W n-rze 10 „Przeglądu" zabrał głos uczestnik owej bitwy, pan Stanisław Borucki z Legionowa, podając parę szczegółów, jakie z autopsji znał i zapamiętał. Otóż jestem w posiadaniu tygodnika „Wiadomości Polskie", który ukazał się właśnie w roku 1916 i publikował na bieżąco komunikaty z walki na froncie rosyjsko-niemieckim. W numerze z 27 sierpnia 1916 roku „Wiadomości" podają relację z bitwy o Polską Górę spisaną przez jej uczestnika, Mieczysława Dąbrowskiego (męża Marii Dąbrowskiej). Relacja nadana została w „Miejscu postoju I Brygady 12 lipca 1916 roku", a więc w tydzień po bitwie. Oto jej najważniejsze fragmenty:

„Już dnia 4 lipca huraganowy, bębniący tj. nie ustający na chwilę ogień artylerii rosyjskiej zamienił Polską Górę w jedną ohydną chmurę kurzawy i piasku, w której pękały raz w raz szrapnele. Artyleria wroga waliła z równą siłą w Polski Lasek u stóp Góry, gdzie stały główne siły 5 pułku, aby nie dopuścić rezerw mogących zluzować wyczerpanych doszczętnie obrońców Polskiej Góry, której jedynie północny mały skrawek obsadzał ppułk. Berbecki.

Po zdobyciu nad wieczorem 4 lipca „Reduty Madziarskiej" wróg całą siłą rzucił się na stanowiska 5 pułku, który zagiąwszy prawe skrzydło bronił w zaciekłych kontratakach swoich stanowisk i w brawurowym ataku 60 ludzi z por. Myszkowskim na czele odebrał Moskalom całą Polską Górę i oddał nadciągającym rezerwom madziarskim ich Redutę. Niestety, zaledwie kwadrans utrzymały te siły dawniejsze stanowiska..."

„Celem odzyskania tej ważnej pozycji zarządziła komenda brygady świtaniem 5 lipca ponowny szturm Polskiej Góry. Atak z pozycji drugiej linii okopów poprowadził major Wyrwa, mając do pomocy batalion kapitana Nowakowskiego z 6 pułku. Niestety atak ten odparto. Ponieśliśmy duże straty. Polska Góra definitywnie przeszła w ręce Moskali. Wszystkie siły I-szej Brygady cofają się na drugą pozycję, w dolinę rzeczki Garbachu na linię Wołczeck (cmentarzyk i wieś) i Nowy Jastków".

Wydaje mi się, że z trzech relacji o bitwie najdokładniejsza powinna być spisana niemal że następnego dnia. Wynika z niej, że brawurowy wypad 60 żołnierzy zepchnął Rosjan z góry zaledwie na 15 minut; ponowiony nazajutrz (5. VII) atak nie powiódł się. Bitwa nie była zwycięska, co oczywiście nie przesądzało o dzielności jej uczestników.

We wszystkich trzech relacjach powtarza się śmierć młodego kapitana Sława Zwierzyńskiego i wielka bojowość 5 pułku Zuchowatych. O poległym przyjacielu Roweckiego, ppor. Hajecu, komunikat Dąbrowskiego nie wspomina. Wyrwa-Furgalski nazywany jest raz kapitanem (w liście pana Boruckiego), raz majorem (w tyg. „Wiadomości Polskie"). Ani p. Milczarska, ani p. Borucki, nie zapamiętali udziału Węgrów w bitwie pod Kościuchnówką. Skąd tam Węgrzy? Po prostu: to był przecież front koalicji przeciwko Rosji, a koalicja to Niemcy i Austria. Legioniści polscy podlegali na danym odcinku dowództwu niemieckiemu, a Węgrzy byli ich współkombatantami jako oddziały armii austriackiej. Parę miesięcy wcześniej gen. niemiecki Gerock po jednej z bitew z udziałem Legionów powiedział w rozkazie: „Stare braterstwo broni Austro-Węgier z Niemcami, **z którymi złączyli się synowie Polski**, dokonało nowych czynów, które na zawsze zapiszą się jako chlubne karty sławy w historii narodów". (Rozkaz ten odczytał legionistom ppułk. Rydz Śmigły). Ten sam sprawozdawca spod Polskiej Góry, M. Dąbrowski donosił wcześniej z okazji innej bitwy: „Zwycięstwami pod J. i K. **wkupiły się oficjalnie nasze szeregi w dzieje oręża niemieckiego** w tej wojnie światowej..." (Wiadomości Polskie z 19. II. 1916 r.). Były to sprawy niezmiernie skomplikowane, jak cała nasza historia aż do dzisiaj.

Nie mogę też oprzeć się gorzkiej refleksji na temat fantastycznych bohaterów, idących do szturmu — jak pisze pani Milczarska — **bez broni, z samymi tylko nahajkami:**

„W czasie walk ruchowych na Wołyniu i Polesiu **do specjalnego fasonu** należało, aby oficer szedł **do ataku — bez broni.** Z opowiadania ojca utkwiła mi w pamięci postać wesołego ppor. Hajeca, wielokrotnego kompana ojca do żartów i bojowych fanfaronad.

Właśnie na Wołyniu podczas ataku npla na polskie okopy, gdy Hajecowi zabrakło naboi do rewolweru, to odwrócił broń i kolbą tłukł po głowach wdzierających się wrogów. Kiedy indziej, gdy do ataku na bagnety wiódł swoją 2 kompanię I bat. miał w ręku tylko nahajkę. Zginął w okopach pod Polską Górą w 1916 r. rozszarpany eksplodującym granatem i nawet nie znaleziono jego szczątków". (Przegląd Tygodniowy" z 9. I. 83).

Niestety, ten typ teatralnego bohaterstwa wciąż żyje w legendach narodowych i znajduje swoich apologetów.

**WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI** ■

# 3 Felieton z zaskakującą pointą

## Może nie jest najgorzej?

Osoba, która w publicznym miejscu ośmieliłaby się głośno stwierdzić, że normy kartkowych przydziałów są zbyt wysokie narazi się w najlepszym wypadku na miano idioty, w gorszym — na obrażenia cielesne. Wszyscy bowiem z zapałem narzekamy: za mało mięsa, cukru, cukierków, brakuje masła i smalcu, nie ma czym „obłożyć" kanapek na kolację, dzieci — z braku odpowiedniej ilości niezbędnych składników pokarmowych — wyrosną na chorowitych i słabowitych ludzi, a dorośli już wkrótce całkowicie opadną z sił do pracy. Czy jednak rzeczywiście brakuje nam jedzenia — takiego, które w pełni pokrywałoby potrzeby organizmu, czy może przywykliśmy do niewłaściwego sposobu odżywiania się? A może brak nam wiedzy o tym, ile i czego powinniśmy zjadać, jak przyrządzać posiłki? Najlepiej oddajmy głos fachowcom.

Otóż ustalone przez nich normy pożywienia dziennego wynoszą: **„Mleko — 1 litr dziennie dla dziecka, 0,5 l. dla dorosłego. Ser — 10 dkg, jaja 4 tygodniowo dla małego dziecka, 1 dziennie dla starszego dziecka, 2 dziennie dla dorosłego w te dni, w które nie jemy mięsa. Jarzyny — 60 dkg dziennie na osobę, w tym 20 dkg ziemniaków, 20 dkg jarzyn liściastych (sałata, kapusta itp) 20 dkg pozostałych. Owoce — 20 dkg dziennie na osobę. Pieczywo, kasza i potrawy mączne — jako uzupełnienie, zależnie od uczucia głodu."**

Jak dotąd więc — wszystko w porządku. Wymienione produkty nie są, na szczęście objęte reglamentacją i kupić je łatwo, nic więc nie stoi na przeszkodzie, abyśmy odżywiali się racjonalnie i nie mieli powodów do narzekań.

Jeśli w tym miejscu ktoś stwierdzi, że przecież nie o marchew i jabłka chodzi, lecz o masło, cukier i mięso, bo tych właśnie produktów najbardziej brakuje — służę dalszymi opiniami.

**„Mięso i ryba — nie więcej niż 10 dkg dziennie, wliczając w tę porcję i organy wewnętrzne zwierząt, jak nerki, wątroba, mózg, ozór, serce. Uwzględnienie — oprócz 10 dkg, jeszcze pewnej ilości wędlin, ryb lub podrobów stanowi szkodliwe dla zdrowia zwiększenie porcji".**

Na podstawowej kartce typu M-I mamy co prawda tylko 2,5 kg mięsa, ale uwzględniając bezkartkowe podroby czy wyroby wędliniarskie z pewnością do 3 kg miesięcznie możemy „dociągnąć". Niestety, tym co mamy, gospodarujemy nie najlepiej.

**„Bardzo rozpowszechnionym błędem jest podawanie na kolację mięsa, np. resztek z obiadu. Jeśli mięso było na kolację, nie powinniśmy podawać także podrobów, wędlin, ryb ani drobiu".**

Warto również zwrócić uwagę na sposób przyrządzania zup, w naszej kuchni tradycyjnie na wywarach z mięsa i kości. Tymczasem **„używanie kości do zup jest nieekonomiczne i bezcelowe. Z korzyścią dla zdrowia można je zastąpić zwiększoną ilością jarzyn, po ugotowaniu zupy skrupulatnie zużytkowanych."**

Wydaje się również, że i tłuszczami szafujemy nadmiernie rozrzutnie. **„Wszelkie dania, oprócz gotowanych i duszonych trzeba podawać na sucho, a nie jak to u nas często bywa, w kąpieli z oleistej cieczy, która kiedyś była masłem czy smalcem. Cukier, tłuszcze, przyprawy i używki dopełniają dzienną rację pokarmową, ich rola w pożywieniu jest drugorzędna, nie mogą więc nadmiernie się w nim rozpanoszyć, ani wypierać ważniejszych dla nas pokarmów".**

A więc, stosując zasady racjonalnego żywienia, dojdziemy chyba do wniosku, że... nie jest tak źle. Choć oczywiście, kłopotów nie brakuje, np. z zakupem przypraw.

Ale i na to jest rada — też z korzyścią dla zdrowia. **„Ostre przyprawy wywołują pragnienie, dlatego należy ich unikać, a ograniczyć się do przypraw aromatycznych, ale łagodnych, jakimi są przeważnie nasze krajowe przyprawy takie jak majeranek, koperek, zielona pietruszka, kminek, czosnek, a przede wszystkim cebula. Takie zagraniczne przyprawy, jak pieprz, papryka są niepożądane".**

Czy jednak ta dobra rada powstrzyma nas przed zakupem kilkunastu torebeczek pieprzu, jeśli akurat pojawi się w sklepie? Kupować na zapas przecież lubimy. Tymczasem **„kupowanie na zapas takich produktów, które są już właściwie przedmiotem zbytku jak szynka, sardynki tabliczki czekolady jest zupełnie nieracjonalne, gdyż świadomość, że posiadamy w domu zapas, zbyt powiększa spożycie tych kosztownych produktów".**

Aby więc uniknąć zmory kolejek — nie róbmy zapasów, zwłaszcza tego, co nie jest konieczne, a ponadto nie biegajmy z obłędem w oku od sklepu do sklepu, lecz odwiedzajmy zawsze te same, wybrane placówki handlowe **„czyste, z dobrym gatunkiem towaru, uczciwą wagą, uprzejmą obsługą".** Jeśli nie ma w nich kawy, czy akurat zabrakło herbaty — kupmy mleko lub sok owocowy, pamiętając, że **„towar krajowy jest zawsze lepszy od zagranicznego, bo nie zabiera pieniędzy z kraju".** Może wykorzystując — częściowo przynajmniej — te rady uda nam się nieco pogodniej spojrzeć na naszą codzienną rzeczywistość?

**AGATA**

PS. Wszystkie cytaty pochodzą z publikacji **„Kalendarz pani domu na wsi i w mieście 1937-1938"**, dedykowanej **„Kobiecie polskiej, która w domu swym w ciężkim zmaganiu się z trudami dnia codziennego utrzymuje poziom wysoki kultury, ład i harmonię życia rodzinnego".**

# 4 Telewizja

## Zibi – Konrad Wallenrod

On cudzoziemiec w Prusach nieznajomy, sławą napełniał zagraniczne domy. W bitwie na czele, pierwszy był na murach. Mimo to, minstrelów hymny i piękności względy nie przemawiały do zimnego ducha. Miał bowiem do spełnienia patriotyczną misję: na jej zwycięski efekt oczekiwała cała Litwa.

Tak, to Konrad Wallenrod, bohaterski Walter Alf, Litwin w krzyżackim przebraniu, który przywiódłszy Zakon do zguby tak powie na koniec:

„Ja to sprawiłem; jakem wielki, dumny,
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem!
Jak Samson jednym wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały, i runąć pod gmachem!"

Zbigniew Boniek nie sprostał tej tradycji. Jeszcze pora, aby mu o niej przypomnieć. Niechaj sięgnie po dzieło Mickiewicza, wczyta się w wersy „Pieśni Wajdeloty", zrozumie ofiarę Almanzora, który w potrzebie „na ustach wroga zawisnął" i zainfekował go dżumą.

Nie po to prezes Sobolewski — i my wszyscy — wysyłaliśmy najlepszego z nas do Italii, aby w chwili najważniejszej miast zdobywać twierdzę Zoffa, obracał się przeciw swoim. Zibi — jesteś nasz! Wieże Alpuhary jeszcze nie całkiem zwyciężone, a widzewscy Maurowie wciąż na ciebie liczą. Bylebyś nie uwierzył w to, co powtarzają telewizyjni redaktorzy od sportu. Pamiętaj — Zbignievus obiit — natus est Conradus! I nie ma co dumać na turyńskim bruku.

Od czasów, gdy za sprawą Bońka Juventus stał się filią polskiej ligi, a w zasadzie łódzkiego „Widzewa", sprawozdawcy sportowi, także telewizyjni, obdarowani zostali odkrywką z żyłą złota. Jej blask pokrywa wszelkie braki. Któż tam będzie zwracał uwagę, że ten z mikrofonem duka, a tamten — też z mikrofonem — w ogóle nie ma nic do powiedzenia, gdy naprzeciw, w całej okazałości, reklamuje gumę do żucia sam Smolarek. Ale oto przyleciał Boniek, oto powiedział, oto udzielił wywiadu... Widzewski festiwal trwa. A gdy jeszcze los, oczywiście, ślepy, nakazał potykać się naszym herosom z turyńską filią, emocje sięgają szczytów.

Oczekuję zatem, iż w tych dniach redaktor Bunio, którego telewizyjny debiut oglądaliśmy z niejaką troską, mając najbliżej do złotodajnej działki, zdominuje całkiem „Wiadomości" Łódzkiego Ośrodka Tv, a RTS „Widzew" zostanie mistrzem Polski uchwałą Rady Państwa. Oczekuję także, iż Naczelna Redakcja Sportowa zainstaluje na stałe, przy widzewskim stadionie, studio telewizyjne, o czym poinformuje PAP: „Redaktor Zydorowicz został przyjęty przez prezesa Sobolewskiego i złożył na jego ręce listy uwierzytelniające".

Że zmyślam? Ani mi się śni! Redakcja sportowa jest obecnie w TvP jednym z trzech mocarstw. Pierwsze — filmowe — oddaliśmy w ajencję Czechom; drugie to publicystyka. Zatem, gdy włączasz telewizor, masz albo czeski film, albo „program publicystyczny", albo audycję sportową. Czwartej możliwości nie ma.

Jak łatwo przeprowadzić transmisję sportową! Ustawiamy dwie kamery, stolik z mikrofonem i już. Więc pływanie — bo oto mistrzostwa Polski, mecz siatkówki, no i liga. Oni grają, my patrzymy, ktoś mówi i wszystko. Jednak, jakże często, oglądając taką transmisję zastanawiamy się nad umiejętnościami operatorów, może reżysera transmisji: jak to się dzieje, że kamera nie nadąża za akcją na boisku, że stoi nie tam gdzie stać powinna, że... itd. Skąd to wiem? Ano po prostu stąd, iż TvP retransmituje też sportowe widowiska za pośrednictwem telewizji innych krajów. Wówczas okazuje się, że telewizyjny operator zawsze jest tam, gdzie należy, że widzi obiektywem to, co i my chcielibyśmy w danej chwili oglądać. Przyglądałem się kiedyś, jak „obsługują" mecz nasi. Za kamerą operator gotów na każde skinienie realizatora, który pilnie obserwuje boisko. — Włącz! — nakazuje w pewnej chwili. — Eeee, wyłącz! — Włącz, włącz! — No, nie, z tego nic nie będzie, wyłącz! W tym momencie padła bramka, której posłuszny operator nie zdążył „skręcić". Potem, na małym ekranie, redaktor opowiada z kartki, w jakich sytuacjach bramkarz kapitulował, podpierając się obrazem awangardowo montowanej bieganiny panów w strojach sportowych — raz w lewo, raz w prawo.

Tak czy inaczej: o ile uboższy byłby program telewizyjny, gdyby odjąć mu wszystkie audycje sportowe. Zatem nie w tym rzecz. Natomiast w tym, aby inicjatywy — przecież rozliczne — i możliwości — przecież niemałe — szły w parze z profesjonalizmem. Jeśli we współczesnym sporcie amator w gruncie rzeczy nie ma czego szukać, tym bardziej w telewizji. Niechaj Zbigniew Boniek i tu będzie wzorcowym przykładem.

Oby zdążył tylko przed rewanżowym bojem przeczytać „Pieśń Wajdeloty"!

**GRZEGORZ GAZDA** ■

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rekopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch". Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod. 90-103. Łódź. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 986 L-2.

# Solon nie wymyślił najstarszego zawodu świata

Solon przejął spuściznę legislacyjną Drakona, którego ustawy z r. 621 p.n.e. budziły sprzeciw nie tylko z powodu wyjątkowej surowości, ale i niesprawiedliwości, karząc jednakowo śmiercią za rozbój na drodze publicznej, jak i za zerwanie owoców z sadu prominenta Republiki Ateńskiej. Solon dokonał zmian w proporcji kar. Zwrócił również uwagę na dochody, czerpane przez kapłanów z tytułu kurateli nad prostytucją, którą zwano świątynną albo sakralną (religijną). P. Dufour w „Historii prostytucji" pisze: *„Solon widział ołtarze i kapłanów, bogacących się na wpływach z prostytucji wyświęconych pensjonariuszek, które sprzedawały się tylko cudzoziemcom."*

Solon chciał te pieniądze skierować do szkatuły państwowej. Solon głosił także, że poprawi bezpieczeństwo publiczne, gdyż w owym czasie zdarzały się niejednokrotnie napaści na przyzwoite matrony, żony zasłużonych obywateli. Tak powstał w Atenach pierwszy dom publiczny, jako *„instytucja ogólnego dobra, w którym niewolnice, zakupione środkami państwa i na jego koszt utrzymywane, pobierały codziennie haracz od nałogu ludności i pracowały swą niecnotliwością na powiększenie wpływów Republiki."* Wiele długich lat prosperował ów dom publiczny z *„umiarkowaną taksą wstępu"*. Jak nam przekazał Atenajos, następne pokolenia pensjonariuszek szczyciły się swym założycielem i patronem.

Z powodu tej inicjatywy Solon spotkał się z pochwałami oraz przyganami. Jakżeż mogło być inaczej nawet dwa i pół tysiąca lat temu! Nikander z Kolofonu zanotował w opracowanej przezeń, później zaginionej historii Aten, że *„Solon w swej pobłażliwości dla żądz niesfornej młodzieży nie tylko kupował niewolnice i osadzał je w domach publicznych, ale także zbudował świątynię ku czci Wenus-Nierządnicy z pieniędzy zebranych przez niecnotliwe mieszkanki tych domów."*

Poeta Filemon woła w „Delfijczykach", komedii dziś również zaginionej:

*„O, Solonie, Soloniel Zostałeś dobroczyńcą twoich współrodaków: widziałeś w takim zakładzie tylko zdrowie i spokój narodu. Bezwzględnie winno być inaczej w mieście, w którym burzliwa młodzież nie potrafi powstrzymać się od dawania posłuchu władczym prawom natury. Zapobiegasz wielkiemu złu i zamętom nie do uniknięcia, osadzając w pewnych domach do tego celu desygnowane kobiety, które kupiłeś dla potrzeb ogółu, i które — zgodnie z ich profesją — trzymane są, aby każdemu, kto gotów jest zapłacić, udzielać swych względów."*

Do tej opinii dołącza się Atenajos, uważając, że *„cena, ustalona przez Solona, była umiarkowana i że prostytutki uważane były za spełniające publiczną służbę: nie spotykało się u nich ani opieszałości, ani lekceważenia, ani też odmowy!"* Kierownika domu publicznego (dicterionu) wyznaczały władze miejskie.

Przywiązane do miejsca pracy pensjonariuszki domu publicznego Solona (i innych także) prawie że nie wychodziły do miasta. Zresztą, będąc z reguły obcymi w tym mieście, często nie znając miejscowego języka, nie miały tam co szukać: ani bliższych, ani dalszych krewnych lub znajomych. Jeżeli nawet w ograniczonym zakresie wolno było im pokazać się na ulicy, to tylko w przepisowym stroju, w wyznaczonych godzinach i z dala od określonych miejsc, gdzie *„obecność ich mogłaby wywołać zgorszenie lub zbyt dużą zwrócić uwagę."* Atenki z urodzenia i stanu wolnego traciły wszystkie obywatelskie przywileje z chwilą tej degradacji społecznej. Czy sto lat to długi okres dla dokonania się przemian obyczajowych? Nie minął nawet jeden wiek od śmierci Solona, a obyczaje złagodniały do tego stopnia, że *„prostytutki ze wszystkich stron wtargnęły do towarzystwa greckiego i bez żenady mieszały się na rynku z czcigodnymi kobietami."* Spokrewniony z Solonem tyran Pizystrat, a później jego synowie i następcy, Hippiasz i Hipparch, kontynuowali organizowanie uroczystych biesiad, na których przy wspólnym stole zasiadały prostytutki i matrony. Przekazał nam o tym w zachowanych fragmentach dzieł historyk grecki Idomenes. Znaleziono wzmianki u Plutarcha. Pizystrat, inicjator uroczystych obchodów, zarządził, *„aby w ustanowione dni świąteczne pola, winnice i ogrody dostępne były dla wszystkich tak, aby każdy znalazł odpowiednią rozrywkę dla siebie, a najpierw udał się do dicterionu Solona i zatopił się w jego misteriach."*

## W SPARCIE NIE PRZYWIĄZYWANO DO TEGO WIĘKSZEJ WAGI

W tym czasie w Koryncie i Sparcie problem prostytucji uchodził za margines życia, nie budził niezdrowych emocji i nie rodził nawet inspiracji do jej prawnego uregulowania. Prostytucja była tam *„całkowicie wolna i mogła rozwijać się niekaralnie pod wszelkimi możliwymi formami."* W Koryncie, gdzie krzyżowały się wszystkie szlaki komunikacyjne ówczesnego handlu, w Koryncie, który z tej racji w każdej porze roku gościł tłumy cudzoziemców, panujący tyrani popierali rozrywkę, a każdy, miejscowy i obcy, mógł się zabawić do woli i na swój ulubiony sposób. Sparta miała swego prawodawcę w osobie Likurga, który żył kilka wieków przed Drakonem i Solonem. Jako król i prawodawca, widział wyłącznie mężczyznę, Spartańczyka, od innych dzielniejszego, silniejszego i bardziej wojowniczego. Z tego powodu czyni mu zarzut Arystoteles w swej „Polityce":

*„Likurg chciał umiar narzucić wyłącznie mężczyznom, a nie kobietom. Te już przed nim żyły w nieposkromionym nieładzie i oddawały się prawie publicznie każdemu nadmiarowi rozkoszy."* Likurg nie zmienił niczego w faktycznym stanie rzeczy. Zresztą w mieście „spartańskich" cnót prostytucja mogła być tylko zjawiskiem sporadycznym, prawie obojętnym wyjątkiem. Koedukacja zachowała się w wiekowej tradycji spartańskiego wychowania. Młodzież obojga płci wspólnie zaprawiała się w ćwiczeniach gimnastycznych, zapasach i biegach, zrzucając z siebie przeszkadzające części ubioru i świecąc bez żenady nagim ciałem. Córki Spartańczyków otrzymywały męskie wychowanie.

Po wyjściu za mąż kobiety spartańskie *„nie ograniczały się do obowiązków żony, nie były przyzwoiciej ubrane i nie trzymały się także w większej odległości od towarzystwa mężczyzn"*. Ten pogląd nie jest w zgodzie z następującą opinią N. G. L. Hammonda, autora „Dziejów Grecji": *„Dziewczęta również zorganizowane były w oddziały. Chociaż mieszkały i żywiły się w domu, były podobnie ćwiczone w lekkoatletyce, tańcach i muzyce; swobodnie obcowały z młodymi ludźmi, dopóki nie włożyły zasłony w dzień ślubu: odtąd przebywały już tylko w domu."*

Trzeba wiedzieć, że chłopcy od siódmego roku żyli poza domem. Od lat 18 do 20 zaprawiano ich do wojny. Do 30 roku życia nadal byli skoszarowani. Na tym wieku kończyła się ich zasadnicza edukacja. *„Małżeństwa można było zawierać w dwudziestym roku życia, lecz mężczyzna nie zakładał domu, póki nie ukończył lat trzydziestu. Nawet wtedy w dalszym ciągu jadał w swoim syssitionie aż do lat sześćdziesięciu"* — pisze N. G. L. Hammond. Nic tedy dziwnego, że w takiej organizacji państwa Likurg nie widział problemu prostytucji na miarę istniejącej w Atenach. W niewielkich rozmiarach mogła być tolerowana, traktowana jako zło konieczne, bez potrzeby angażowania administracji do nadzoru.

Opinię na temat prostytucji w Atenach najlepiej zrekapitulował Atenajos:

*„Wiele osób, biorących udział w rządach państwa, wypowiadało się o prostytutkach, jedni ganili je, drudzy nawet pełni byli pochwał dla takich kobiet."* Tak było nie tylko za rządów Peryklesa, kiedy to „przyjaciółki" potrafiły mieć poważny wpływ na wydarzenia historyczne, ale już za jego poprzedników. Panowało ogólne przekonanie, że *„młody człowiek musi odwiedzać często osławione domy, aby doskonalić swoje wychowanie."*

## NAJBARDZIEJ OBAWIAŁY SIĘ OSKARŻEŃ O BEZBOŻNOŚĆ

Na tematy prostytucji głos zabierali pisarze greccy, którzy ze sceny bez ogródek piętnowali zepsucie obyczajów. W jednej z komedii Arystofanesa wieśniak woła: *„Prostytutka jest zarazą dla tego, kto ją żywi!"*

Anaksilas stawia takie pytanie w „Neottis":

*„Jeśli ktoś kiedykolwiek kochał prostytutkę, niechaj mi powie, czy jest coś bardziej obrzydliwego?"*

Zachowało się do dzisiaj 118 listów Alkifrona, z których właśnie dość dokładnie dowiadujemy się o tym, co działo się w Atenach w IV w. p.n.e. Areopag, najwyższa władza sądowo-polityczna, w pewnych okresach pełnił obostrzony nadzór nad zachowaniem się uprawiających nierząd kobiet i z nieubłaganą surowością karał wykroczenia, obciążając odpowiedzialnością nie tylko osobę oskarżoną, ale całą odnośną społeczność profesjonalną. Zdaniem niektórych badaczy tamtego okresu dziejów Grecji, prostytutki we własnej obronie zorganizowały coś w rodzaju cechu, którego statuty i regulaminy miały regulować działalność zawodową i postępowanie osobiste dla uniknięcia oskarżeń o wyłudzenie pieniędzy, namówienie do kradzieży, do niespełniania obowiązków wobec państwa lub do przetrwonienia majątku, o zły wpływ na młodzież i o bezbożność. Ostatnie oskarżenie groziło zawsze karą śmierci. Słynną Aspazję od takiego losu wybronił sam Perykles.

P. Dufour opisuje przypadek niejakiej Fryne, którą zazdrosny kochanek oskarżył właśnie o bezbożność i wniósł sprawę przed areopag. Znalazł się odważny adwokat, który podjął się obrony i uzyskał szczęśliwe zakończenie procesu. Wdzięczne prostytutki zapłaciły obrońcy wysokie honorarium. Oto fragment listu Bakchis, jednej z nich:

*„Bogom niech będą dzięki, nasz stan został uznany wynikiem tego niesprawiedliwego procesu. Zdobyłeś najświętsze prawo do wdzięczności wszystkich prostytutek. Jeśli jeszcze zgodzisz się na spisanie i opublikowanie mowy wygłoszonej w obronie Fryne, zobowiązujemy się wystawić Ci złotą statuę w Grecji, w miejscu, które sam wskażesz."*

Dalszych informacji brak, czy Hyperides opublikował swą mowę obrończą, wygłoszoną przed areopagiem, i czy wdzięczne prostytutki przeprowadziły zbiórkę pieniężną na wystawienie złotej statui w świątyni Wenus — Pandemos lub Wenus — Peribazji.

Oskarżenia o bezbożność obawiały się prostytutki najbardziej. Łatwo dawało się je spreparować. Najczęściej odnosiło się ono do rzeczy niesprecyzowanych i wydarzeń przeinaczonych. Częstokroć stosowano odpowiedzialność zbiorową. Wcześniejsze rozprawy przed areopagiem nie nastrajały optymistycznie. Każda spodziewana nowa sprawa sądowa przeciwko jednej pojedynczej prostytutce napędzała wiele strachu wszystkim przedstawicielkom tej profesji. W spuściźnie pisarskiej Demostenesa, największego mówcy starożytności, nie brak przykładów mów oskarżycielskich. Stara prostytutka imieniem Teokris, która po latach powodzenia w zawodzie zajęła się wróżbiarstwem i sporządzaniem napojów miłosnych, została skazana na śmierć na wniosek Demostenesa za to, że uczyła niewolników jak ciągnąć korzyści z majątku własnych panów i nie dać się złapać na gorącym uczynku. Rozgłosu nabrała sprawa przeciwko Neerze z wystąpieniem oskarżycielskim Demostenesa:

*„Nie jest dozwolone kobiecie, którą przyłapano na zdradzie małżeńskiej, aby wstępowała do naszej świątyni, aczkolwiek nasze prawa zezwalają cudzoziemcowi i niewolnicy na pobyt w niej, bądź to z powodu tylko chęci obejrzenia lub dla odprawienia modłów. Jedynie kobietom o dowiedzionej zdradzie małżeńskiej wstęp do świątyń jest zakazany."*

Demostenes szedł śladami swego nauczyciela Isajosa, również popularnego retora, który mawiał:

*„Publiczna niewiasta, która stoi do dyspozycji całego świata, i której życie jest łańcuchem występków, nie może ani wejść do środka świątyni z powodu bezbożności, ani też nie może pomagać przy sekretnych misteriach kultu."*

## NA WSZYSTKO BYŁY SPOSOBY

Ateńska społeczność kobiet lekkich obyczajów czuła się bezustannie zagrożona, nie przeczuwając, z której strony padnie następne uderzenie. Istniał zakaz noszenia przez nie imion, związanych z kultem, świętościami, igrzyskami... Bez przykrych następstw skończyła się przed areopagiem rozprawa przeciwko Nemei, która przybrała to imię od miasta Nemea ze świątynią Zeusa, gdzie odbywały się regularnie ogólnogreckie igrzyska na cześć zwycięskiego Herkulesa. Jej kochanek wyróżnił się w nemejskich igrzyskach, a ona sama oddała się pod opiekę Herkulesa. Istniał zakaz uczestniczenia w uroczystych obchodach pospołu z *„matronami i wolnymi kobietami albo obywatelkami."* Wyjątkiem jednak były afrodyzje, święto na cześć bogini miłości Afrodyty, kiedy to (opieramy się na świadectwach Atenajosa i poety Aleksisa) *„wolne kobiety i prostytutki spotykały się przy jednym stole na publicznej uczcie, świętowanej ku czci Wenus."* Osaczone z różnych stron pensjonariuszki „domów Solona" szukały opieki u bogów, którym składały na ołtarzach świątyń liczne i bogate dary.

Solon nakładał surowe kary na stręczycieli i rajfurki za deprawację młodzieży. Ajschines w jednym ze swych dialogów powtarza za Solonem:

*„Kto stanie się stręczycielem młodego mężczyzny lub młodej niewiasty, przynależnych do wolnego stanu, winien zostać ukarany śmiercią!"*

Uprawiający stręczycielstwo przeważnie wychodzili cało z opresji, ratując głowę grzywnami pieniężnymi, co zresztą po latach stało się normalną procedurą. Kara śmierci figurowała w tekście ustawy, werdykty zaś opiewały na niską karę 10 drachm, gdy np. za napaść na kobietę wolnego stanu trzeba było płacić dziesięć razy więcej. Wielekroć uwodziciel szukał pomocy u rodziców ofiary, aby wykazać wcześniejszą znajomość z uwiedzioną. W sukurs popleczników nieobyczajności szedł ustalony pogląd, według którego: *„jeśli młoda dziewczyna lub jej matka przyjęły podarunek od mężczyzny, dziewczyna przestawała być uważana za dziewicę i choć jej dziewictwo mogło być nadal nie naruszone, nie darzono tej panny więcej dawnymi względami i szacunkiem, jak gdyby już zadebiutowała w najstarszym zawodzie świata."*

Nieślubne dzieci nie cieszyły się ochroną prawną, jak pochodzące z legalnych związków małżeńskich. *I obojętnie, czy było to dziecko* prostytutki ulicznej czy konkubiny, mieszkającej pod jednym dachem z żonatym obywatelem i jego rodziną. Matki i dzieci oraz ojcowie, jeśli byli wiadomi, nie mieli żadnych zobowiązań wzajemnych. Prostytutki najczęściej pozostawiały noworodka na ulicy, a jego wychowaniem zajmowało się państwo. Nieślubne urodzenie *„było plamą, z której można było oczyścić się jedynie wybitnymi zasługami dla państwa."* Zdarzyło się *„za urzędowania archonta Fuklida* — pisze Pierre Dufour — *że retor Arystofon kazał opublikować ustawę, uznającą każdego za bastarda, kto nie będzie w stanie dowieść, iż urodził się z matki wolnej lub obywatelki."* Za swą surowość w stosunku do nieślubnych dzieci *„komediopisarz Kalliades wprowadził go na scenę i zaprezentował Arystofona jako syna prostytutki Chloris."* Jeszcze raz neofita okazał się *„bardziej katolicki niż sam papież."*

**Opracował:**
**WŁADYSŁAW LUBNAR**

# Towarzystwo dla pań według katalogu

Stephane ma 21 lat, 1,90 wzrostu, bardzo sympatycznego ojca, emerytowanego komisarza policji, kochającą mamę, którą ubóstwia, dwie siostry i całą masę kolegów. Ma też dyplom technika i pracuje przy urządzeniach radarowych w wielkim przedsiębiorstwie. Do pracy i na randki z przyjaciółeczka ubiera się w dżinsy i skórzaną kurtkę, jak każdy normalny chłopak. Ale dwa lub trzy razy w tygodniu dr Jekyll przeistacza się w mr Hyde'a. Ten porządny, zdrowy, wesoły młody człowiek przywdziewa strój nieodpowiedni dla swego wieku — piękny garnitur z alpagi, kapelusz Weston i krawat z firmy Hermes, przyozdabia kamizelkę grubą złotą dewizką od Cartiera i idzie „w pejzaż", aby — jak mówi — łączyć przyjemne z pożytecznym, a raczej, aby dorobić sobie pod koniec miesiąca, spotykając się z jakąś uroczą damą, która byłaby na tyle zachwycona jego towarzystwem, że zgodziłaby się zapłacić za wspólnie spędzone godziny. Krótko mówiąc Stephane jest prostytutką rodzaju męskiego, gigolakiem z kategorii tych „okazjonalnych", którym podwójne życie daje szanse opłacenia składki członkowskiej klubu lotniczego lub dwutygodniowego pobytu w Courchevel.

Gigolaki pracują samodzielnie albo też dla agencji. W tygodnikach często można znaleźć ogłoszenia różnych instytucji, które pod szyldem biur matrymonialnych lub klubów zapoznawczych oferują „wyzwolone" kontakty, proponują damy i panów do towarzystwa. Jedna z takich agencji, mająca swą siedzibę w nowoczesnej kamienicy w 20 okręgu Paryża, dysponuje katalogami, z których można sobie wybrać chłopców i dziewczęta na jeden „relaksowy" wieczór. W tym drobnomieszczańskim wnętrzu, gdzie ściany obite są tandetnymi tapetami w kwiatki, a na biurkach piętrzą się stosy kartotek nic nie pozwala przypuszczać, że dyrektorka zajmuje się po prostu stręczycielstwem. Trudno bowiem inaczej nazwać proceder dostarczania towarzystwa dojrzałej pani żadnej młodego ciała i to za astronomiczną opłatą. Za samą tylko informację płaci się 150 franków, a wskazanie odpowiedniego partnera i zorganizowanie spotkania kosztuje 500 franków. Gigolo z kolei musi wnieść opłatę za wpisowe, pokryć koszty fotografii oraz zwrócić agencji 35 proc. sumy pobranej za każdy wieczór.

O ile prostytutki żeńskiego rodzaju nie gardzą przedstawicielami żadnej warstwy społecznej, o tyle gigolaki poszukują tylko pań zamożnych. Aby zapłacić 1000 do 3000 franków za wieczór, trzeba mieć pokaźne konto bankowe. Niektórzy, jak np. Raoul, pracują tylko z „regularnymi".

— *To mniej męczące — mówi Raoul — nie trzeba za każdym razem dostosowywać się do partnerki, zgadywać na kogo się trafi, pilnować się, aby nie popełnić gafy. Po kilku tygodniach klientka staje się przyjaciółką, niemal kimś z rodziny, czujemy się swobodnie razem.*

Pani X zaprasza Raoula na weekend na swoim jachcie.

— *Czasami wcale się nie kochamy. To właściwie już nie jest robota.*

Po ulicach Paryża krąży około stu gigolaków. Mniej więcej 50 spośród nich obraca się w wielkim świecie, od la Croisette w Cannes do Gstadt i St. Moritz. Ale uwaga, nie każdy piękny chłopak może poderwać wielką arystokratkę, o nazwisku figurującym w almanachu gotajskim. Do tego trzeba znać obce języki, umieć rozmawiać zarówno o wyścigach samochodowych w Monte Carlo, jak i o szlachetnych kamieniach z placu Vendome, grać w brydża, degustować wina, całować w rączkę — słowem trzeba mieć ogólną kulturę, czyli „klasę".

Niektórzy mężczyźni utrzymywani przez panie pobierają honoraria iście dyrektorskie. Do tego dochodzą takie przywileje jak podróże, odpowiednie znajomości i prezenty, bardzo cenne, gdy już wydało się wszystkie pieniądze. Raoula nie interesują jednak złote zapalniczki i łańcuszki, luksusowe zegarki czy bajkowe samochody. On woli „brzęczącą monetę" (nie uznaje czeków). Uwielbia dolary i przyjmuje wszystkie karty kredytowe.

Jakie kobiety szukają płatnego szczęścia? Jak twierdzi Stephane, są to przede wszystkim starsze panie, które zawsze marzyły potajemnie o swych wnukach i podczas spotkań każą gigolakowi ubierać się w krótkie spodenki albo recytować lekcje. Na drugim miejscu są panie w wieku przekwitania, które nagle zaczynają tęsknić za wszystkimi szaleństwami, jakich nie popełniły, gdy miały 20 lub 30 lat. Są też takie, których wymaganiom nie sposób sprostać — zawsze są niezadowolone, a co za tym idzie nie chcą płacić. Wspomnijmy wreszcie o kobietach upojonych władzą, które ekscytuje sam fakt płacenia za miłosne doświadczenia.

Ariane Randall, autorka książki „L'homme a prendre" (Mężczyzna do wzięcia) twierdzi, że to rewolucyjne posunięcie, jakim jest dla kobiety kupowanie sobie mężczyzny, wchodzenie do „wyspecjalizowanego domu" i wybieranie sobie partnera według katalogu — stanowi ważny krok naprzód na drodze do całkowitej równości. Ale przecież w ostatecznym stadium to mężczyzna bierze kobietę, jak zawsze...

Co skłania gigolaków do uprawiania tego procederu? Oczywiście pieniądze, pieniądze zdobywane tanim kosztem.

— *Wolę zarobić 3 tysiące franków za godzinę miłości z paniusią, niż 3 tysiące franków miesięcznie za akordową pracę w zakładach Renault.*

Dla Pierre, który nie ma żadnego wykształcenia, 10 lub 20 tysięcy to niebywała gratka.

— *Zarabiam więcej niż mój lekarz.*

Innym potężnym bodźcem jest perspektywa przynależności do świata przepychu i luksusu. Biżuteria, ubrania z wielkich magazynów, futra, słynne restauracje, miękkie dywany, kosztowne meble i samochody — wszystko to fascynuje chłopaka, który świeżo wylądował na bruku paryskim z Dieppe czy jakiegoś innego małego miasta, gdzie mieszkał w tanim bloku.

— *Wychowałem się w bloku, gdzie na schodach czuć było baraninę, gdzie spało się na składanym łóżku, a w sobotę jedyną rozrywką było wałęsanie się po podwórku. Lepiej umrzeć, niż tak spędzić całe życie.*

Gigolaki mają wygórowane ambicje: chcą obcować z bogaczami, z ludźmi wpływowymi. Ale pod tą powierzchowną warstwą wyrafinowania bardzo szybko pojawia się wulgarność, ordynarność, podejrzliwość.

Stephane mówi, że podwójne życie dostarcza mu niezwykłych doznań i to stanowi dlań największy urok.

— *Gdybym nie miał swych potajemnych zajęć, umarłbym z nudów. Drobne radości moich kolegów biurowych wydają mi się mdłe aż do obrzydzenia.*

Poza tym, szczerze mówiąc, mimo swego młodego wieku woli jeść obiad u Ledoyen czy u Laurenta niż w barach szybkiej obsługi McDonalda.

— *Tam się więcej można nauczyć* — mówi.

Niektórzy przyjmują wszelkie propozycje, ale najwybredniejsi — i najwyżej się ceniący — ograniczają się do pań, przy czym i tutaj obowiązuje prawo selekcji. Raoul nie akceptuje starszych pań.

— *Takie po 70 nie odpowiadają mi zupełnie.*

Francois bierze nogi za pas, gdy proponuje mu się igraszki sadomasochistyczne lub zbiorowe.

Na emeryturę przechodzi się wcześnie. Trzydziestka to już koniec gigolaka. Stephane zamierza zaprzestać uprawiania procederu, gdy uzyska dyplom pilota — wówczas ożeni się i założy rodzinę. Hargues gromadzi oszczędności na własną szykowną restaurację lub nocny lokal. Raoul chciałby dzielić się doświadczeniem z młodzikami, którzy chcą rozpocząć karierę w „zawodzie", aby móc ich „chronić".

Francois żyje z dnia na dzień, nie ma określonych planów. Nic go naprawdę nie pociąga. Będzie więc „pracował" nadal, dopóki zdrowie i warunki mu na to pozwolą.

**Opracowano na podstawie artykułu**
**LILIANE DELWASSE**
**z „LE MONDE DIMANCHE"**